

23, rue Talbott, PARIS 9^e

CENA 0,80 F.
PRIX 7 F. B.

3-10 ^{sierpnia} _{août} 1969

Rok wydania XII
Nr 31-32 (615-616)

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE

PODWÓJNY

NUMER

WAKACYJNY

LATO
1969

W górach i nad morzem

W uroczyskach leśnych

nad jeziorami
na żeglarskiej
kolarskiej
lub
samochodowej
wędrowce

FOP 2373

Urlop letni — wakacje — wypoczynek. Czekaliśmy na to cały rok. Również i ta młoda dziewczyna, która postanowiła spędzić swe letnie ferie wśród fantastycznej scenerii z kamieni i drzew na Ziemi Rzeszowskiej w pobliżu Krośna, na tzw. Pogórzu Dynowskim. Kamienie te, zwane „Prządkami”, to według tradycji ludowej panny dworskie — dziewczęta zaklęte w kamień



KRAJ W OBIEKTYWIE

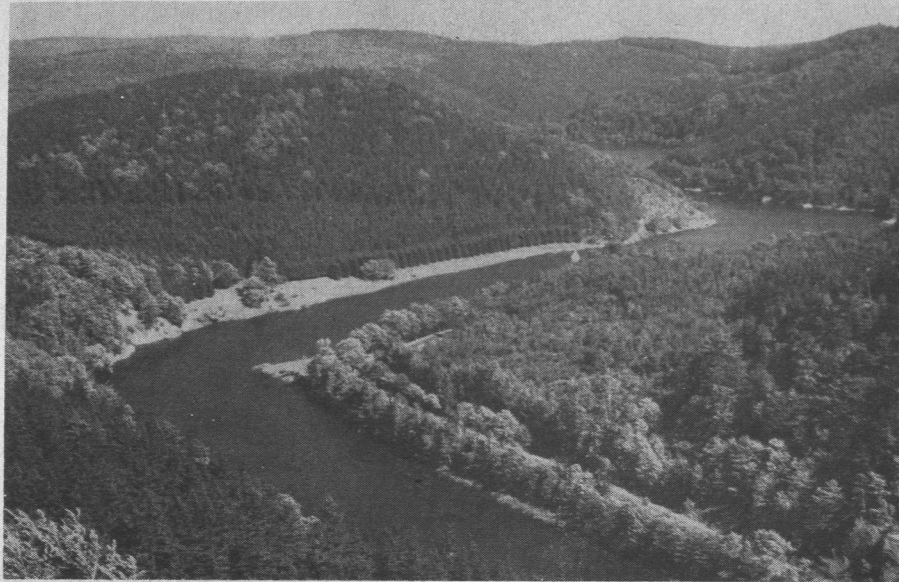
„Jeśli chcesz odpocząć gdzieś w górach czy nad morzem, umówić się ze słońcem na kilkanaście dni” — jak to zachęca wakacyjna piosenka — jedź nad Bałtyk, który w lecie przyciąga tysiące urlopowiczów (zdjęcie z prawej) lub w malownicze pasma górskie, pokrajane wstęgami potoków (niżej). Umiarkowany klimat, zapach kwiatu lipowego i żywicy uczyni nasz pobyt niezapomnianym



Następny numer
„TYGODNIKA
POLSKIEGO“

ukáže się z datą
17 sierpnia 1969 r.

Pamiętaj
o odnowieniu
prenumeraty

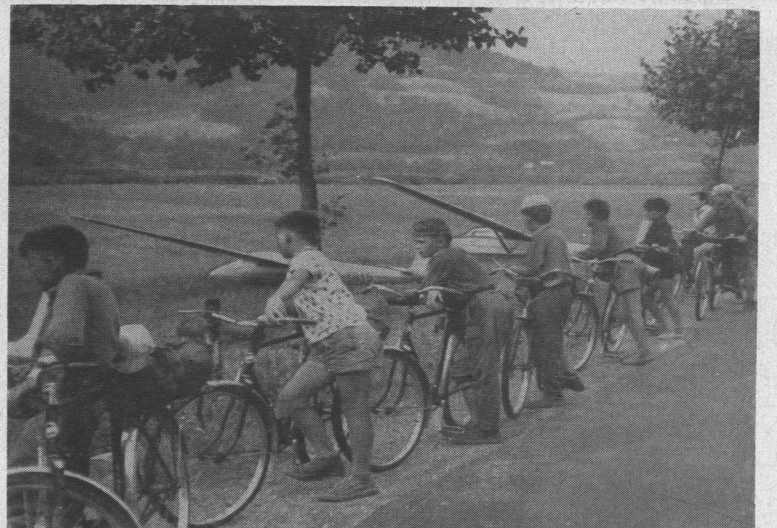


▲
Campingowy wypoczynek gwarantuje nam także własny samochód, którym udamy się w najbardziej odpowiadający nam zakątek Kraju, a więc na Rzeszowszczyznę (na zdj. u góry, z prawej jeden z ośrodków campingowych tam właśnie zorganizowanych, w miejscowości Wetlin) lub w inne regiony

Nawet całymi godzinami czekając na pstrąga w Dunajcu można znakomicie wypocząć, a potem długo opowiadać znajomym o „taakich rybach”, które brały jak nigdzie

▲
Młodzież uznaje przede wszystkim wypoczynek aktywny. Najlepszym środkiem lokomocji są dla niej rowery, którymi dotrzeć można do każdego zakątka. Tak się spędza czas zdrowo i pożytecznie

▲
Jak dobrze nam zdobywać góry i młodą pierśią wchłaniać wiatr — śpiewają uczestnicy wędrownych eskapad przemierzając pasma Tatr (na zdj. u dołu w głębi widać drogę na Swinice, a z prawej obserwatorium i stację kolejki na Kasprowy Wierch). Dla wodniaków zaś najpiękniejszy urlop to kajak, przy pomocy którego poznaje się tajemnicze zakola rzeczne (zdj. z lewej)



KAZIMIERZ ŻYGULSKI

O polsko-francuskich badaniach na temat roli kultury w wykorzystaniu wolnego czasu mówi doc. dr Kazimierz Żygulski — kierownik Sekcji Badań Przemian Kulturalnych Społeczeństwa Instytutu Filozofii i Socjologii PAN

JAK SPĘDZASZ WOLNY CZAS?

— Prace badawcze na temat roli kultury w wykorzystaniu wolnego czasu znalazły się w planie prac UNESCO na lata 1967—1968. Była to pierwsza faza badań; w przyszłości mają one objąć szereg krajów; realizację powierzono dwóm narodowym Komitetom d/s UNESCO: polskiemu i francuskiemu.

Trzeba było przedyskutować założenia i sposób realizacji podobnych badań w Polsce i we Francji — w krajach zbliżonych kulturalnie i o tradycyjnych więzach, ale należących do różnych systemów gospodarczych, społecznych, politycznych.

Pierwsze spotkanie ekspertów odbyło się w 1967 roku w Avignon. Dyskutowaliśmy wówczas we Francuskim Komitecie Narodowym d/s UNESCO o roli miast w życiu kulturalnym kraju. Strona francuska przedstawiła ankietę przygotowaną na podstawie szczegółowych badań prowadzonych we Francji. Ankietę tę wykorzystaliśmy także w badaniach prowadzonych w Polsce, oczywiście po odpowiednich modyfikacjach. Szukaliśmy również tematów najbardziej charakterystycznych dla naszej wspólczesności — tego, co określać będzie według wszelkich naukowych danych rozwój kultury w perspektywie najbliższych lat i w dalszej przyszłości.

Prace nasze podzielił na kilka głównych i dodatkowych tematów. Z głównych zagadnień wymienić należy kulturalną rolę telewizji w społeczeństwie socjalistycznym. Przeprowadziliśmy także szczegółowe badania roli teatru telewizji, który stał się najbardziej masowym ze znanych w historii teatrów i który w Polsce daje ponad 120 premier rocznie, jest słuchany i oglądany przez wielomilionowe audytorium. Część widzów teatru telewizji to ludzie, którzy nie chodzili nigdy do teatru lub chodzili bardzo rzadko.

W badaniach roli telewizji i teatru telewizji usiłowaliśmy określić jej funkcje w kilku wymiarach. A więc upowszechnienie kultury, dotarcie do środowisk, które poprzednio z różnych jej dóbr nie korzystały, zatarcie barier kulturalnych w skali całego kraju, czyli między wsią i miastem, różnymi kategoriami miast, integracja kulturalna, jaka się dzięki telewizji dokonuje. Zastanawialiśmy się także nad rolą telewizji jako forum, na którym nasi artyści, pisarze, plastycy, dramaturdzy mają okazję prezentacji swoich osiągnięć przed wielomilionowym audytorium. Uważamy, że skonfrontowanie roli telewizji polskiej z francuską, gdzie telewizja jest na wysokim poziomie, jest dla nas bardzo cenne.

Korzystając ze wzoru francuskiej ankiety, postanowiliśmy zbadać znaczenie, rolę i sposób planowania życia kulturalnego przez miasta różnej wielkości. Wzięliśmy na warsztat Toruń, miasto o dużych tradycjach, które jednak swój rzeczywisty awans kulturalny zawdzięcza ostatniemu 25-leciu. Na przykładzie tego właśnie miasta pokazaliśmy i przeanalizowaliśmy, w jaki sposób miasto nie będące centrum wojewódzkim, ale posiadające uniwersytet, środowisko artystyczne i plastyczne, duży aktyw społeczny — rozbudowuje swoje życie kulturalne, upowszechnia i rozwija kulturę, realizuje różnorodne i ciekawe inicjatywy.

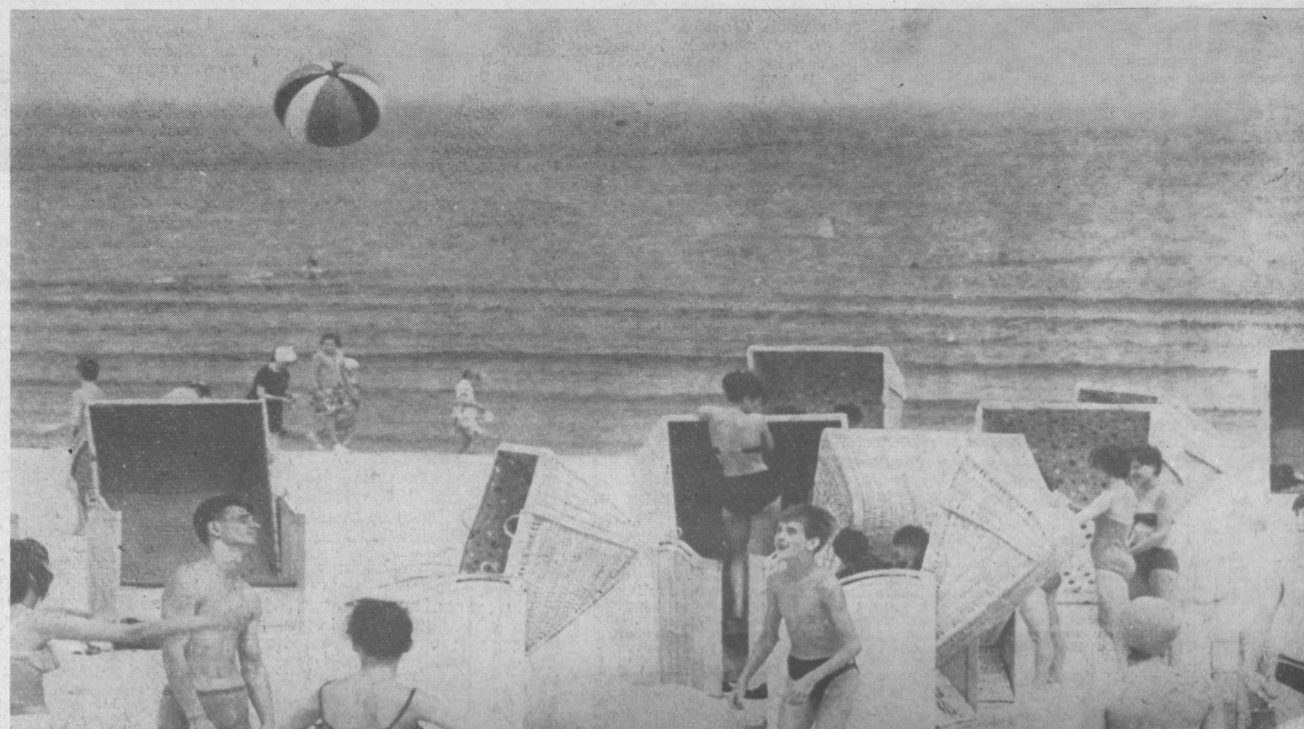
Następnym etapem naszych prac była analiza naszego systemu placówek kulturalnych — aż do organizacji na szczeblu wsi i gromady — a także kształcenie kadr dla tych placówek. Francuzów interesuje system polskich placówek kulturalnych, który odpowiada idei powszechności kultury. W ostatnim 10-leciu Francja przejęła z pewnymi modyfikacjami koncepcję socjalistycznego domu kultury i usiłuje wzbogacić swoje życie kulturalne na prowincji, stosując nasze wzory. Badania socjologiczne prowadzone we Francji wykazały, że znaczna część społeczeństwa znajduje się poza zasięgiem tzw. wielkiej kultury.

Dużo uwagi poświęciliśmy planowaniu życia kulturalnego i kosztom z tym związanym. Na prośbę strony francuskiej zajęliśmy się analizą kosztów życia kulturalnego, ustalając, ile pieniędzy przeznacza się u nas na te cele — w przekroju zarówno całego kraju, jak i poszczególnych województw, miast wydzielonych i mniejszych jednostek terytorialnych.

Oto — w bardzo dużym skrócie — tematyka naszych badań. Oba raporty złożone zostały, zgodnie z planem, w końcu ub. roku w UNESCO. W marcu 1969 roku w siedzibie UNESCO w Paryżu odbyły się dni polsko-francuskie poświęcone analizie badań, co pozwoliło na przeprowadzenie szerokiej dyskusji, a także na analizę wyników dwuletnich wspólnych badań.

W jesieni zamierzamy się spotkać z naszymi francuskimi kolegami i ustalić program następnych badań, gdyż obie strony są mocno zainteresowane w rozbudowywaniu tej współpracy.

Notowała: Teresa SKRZYŃSKA

**DZIŚ
W NUMERZE**

przeczytacie między innymi:

- Leopolda Marschaka — o wypoczynku w puszczy i nad wodą str. 5
- Krystyny Mańkowskiej — 4 dni w stolicy polskiej piosenki str. 6 i 7
- Wojciecha Natansona — o pobycie Jana Kochanowskiego w Paryżu str. 8
- Zbigniewa Flisowskiego — o słynnym dziele Florentina o Falaise wydanym po polsku str. 25
- Stanisława Kocika — o polskim ruchu oporu we Francji str. 26

obejrzyjecie:

- Władysława Sławnego — fotoreportaż o pracy plewtonurków na Morzu Śródziemnym str. 17
- Gwidona Miklaszewskiego — rysunki — humor na plaży str. 39

POZA TYM: jak się żyje Polakom w Vence. ● O krakowskim weselu w Belgii. ● O Bractwie Kurkowym w Petit Palais. ● O wycieczce Rodaków do Polski. ● Jak się bawią dzieci na koloniach w Kraju. ● Gdzie się robi pasy słuckie.

JAK ZWYKLE: ciekawostki dla dziewcząt i pań, dla młodzieży; film.

Ciąg dalszy: powieści „Znoiny chleb” oraz historii Westfalaków.

„LOT”-owski COCKTAIL W PARYŻU Z OKAZJI 40-LECIA

Z okazji 40 rocznicy powstania Polskich Linii Lotniczych „LOT” reprezentant tego Towarzystwa w Paryżu p. Tomasz Warski wydał cocktail dla przedstawicieli towarzystw lotniczych, biur podróży i prasy. Protektorat nad przyjęciem objął ambasador PRL w Paryżu.

W bardzo miłej, serdecznej atmosferze przyjmowani byli liczni goście, przybywający na przyjęcie: chargé d'affaires Ambasady p. Stefan Stanisławski, p. radca Jan Babiński, p. konsul Marian Wolny, nacelnik Installations Terminales na Bourget p. Fichet i wielu innych. Obecny był m. in. reprezentant dyrektora „Air-France” na Europie wschodniej p. Pichelin — wicedyrektor, p. Aubour oraz grono współpracowników, reprezentant Allitalia p. Zichella, reprezentant „Aeroflot”, p. Usaczew i dyrektor handlowy tego przedsiębiorstwa w Paryżu p. Sorokin, reprezentant „Malew” p. Sebok, reprezentant „Air Algérie” p. Berrouane.

Przybyło na cocktail bardzo wielu dziennikarzy z prasy specjalistycznej, fachowej, z prasy codziennej, periodycznej, z radia i telewizji. Redaktorzy „Télé-Magazine” oraz „Air-Cosmos” zwracali się do reprezentanta „LOT-u” w imieniu grona swych kolegów — ze szczerymi życzeniami dalszego pomyślnego rozwoju Polskich Linii Lotniczych. Życzenia te składała zresztą wszyscy uczestnicy tego miłego spotkania.

PIĘKNA ROCZNICA

BRUAY-en-ARTOIS. Tutejsza Polonia obchodziła uroczyste 45 rocznicę założenia swojego centralnego związku. Lokalne stowarzyszenia polskie były reprezentowane przez p. Lutowską. Obecny był z ramienia młodzieży p. Chmiel, p. Szybowski z Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, p. Kunkiewicz i p. Małecka ze Związku Kobiet Polskich. W czasie uroczystości śpiewał chór polski „Echo” p. dyrekcją p. Kamińskiego.

ODZNACZENIE ZASŁUŻONYCH MATEK

DOUAL. W salach recepcyjnych prefektury departamentu Nord otrzymały w ramach tegorocznych odznaczeń przyznanych przez ministerstwo do spraw rodziny francuskiej medale złote: p. Teresa Gawros-Nowak z Auberchicourt, p. Leonia Delbassée-Włodarczyk z Douai, p. Tedoroa Quava-Fenelczyk z Linselles.

PRZEZ cały lipiec Rzeszów i jego rozległe okolice rozbrzmiewały pieśnią, a wszystkie niemal estrady mieniły się kolorami strojów ludowych tanecznych par. W uszach mieszkańców do dziś tętnią harmonijne dźwięki melodii śpiewanych może nie najpoprawniej akcentowaną polszczyzną, ale z jaką pasją, z jakże narodowym temperamentem wykonywanych. Spokojna stolica Ziemi Rzeszowskiej pulsowała młodocia, polskim wigorem i fantazją, zabawami i emocjami, żyła Polonią zagraniczną. Nastrój ten potęgowały liczne imprezy i spotkania, sympozja naukowe i zebrania, a także odświętne udekorowane miasto.

W takiej aurze, w promieniach lipcowego słońca odbywał się w Rzeszowie pierwszy po drugiej wojnie Światowej Festiwal Polonijnych Zespołów Artystycznych. Na tę największą imprezę amatorskiego ruchu folklorystycznego złożyło się 30 dni, które pozostawiły niezapomniane wrażenia w pamięci uczestników Festiwalu i społeczeństwa rzeszowskiego. Ponad 450 młodych artystów-amatorów w dwunastu zespołach przybyło tam z Francji i Belgii, z Węgier i Holandii, z Czechosłowacji, a także zza oceanu, ze stanu Massachusetts, z Bostonu. Przywieźli oni w darze, na Srebrne Gody Macierzy swój bogaty dorobek artystyczny. Prezentując współrodakom polski folklor ludowy, barwne stroje narodowe, umiejętność władania językiem swych ojców — młodzi wykonawcy dowiedli dużego wkładu nie tylko do kultury kraju zamieszkania, ale pokazali również, iż są ambasadorami kultury polskiej za granicą.

I ten właśnie cel przyświecał organizatorom Festiwalu — Towarzystwu „Polonia” oraz gospodarzom Ziemi Rzeszowskiej, która nie przez przypadek została obrana miejscem Festiwalu.

Uczestnicy zwiedzili oprócz Rzeszowa średniowieczne grody: Jarosław z jego zabytkami kultury i sztuki oraz Przemyśl, a ponadto Krasieczyn z renesansowym zamkiem i pięknym parkiem przypominającym Wersalski Ogród; przejechali jedną z najpiękniejszych tras turystycznych — bieszczadzka pętlę — pasmo dzikich jeszcze gór z malowniczymi miejscowościami upamiętnionymi bohaterskimi walkami w czasie ostatniej wojny, zwiedzili nowoczesną zapórę wodną na Sanie, a także skarby Łańcuta, bazyliki i cerkwie, kościoły i muzea. Wszyscy przybyłe byli oczkiem w głowie gospodarzy, którzy aranżowali im udział w zabawach i różnych imprezach, umożliwili zwiedzenie zakładów pracy i przyjmowali „czym chata bogata”.

ŚWIATOWY FESTIWAL ZESPOŁÓW POLONIJNYCH W RZESZOWIE

(Od naszego wysłannika)

Odwdzięczali się członkowie artystycznych zespołów polonijnych tańcem i śpiewem. I tak lyoński „Ślask” z Lyonu wystąpił z koncertem w Przemyślu i Jaśle, czechosłowacka „Olza” w Dębicy, „Sokół” z Carvin w pięknym podkarpackim uzdrowisku Iwonicz-Zdrój oraz w Gliniku Zborowskim; amerykański „Krakowiak” wybił holubce w Stalowej Woli, a „Mazur” z Holandii krzesł ożnia w Nowej Dębie; Zespół Ligi Flandryjskiej był w Gorlicach, a belgijski „Polonez” sunął uroczystość po estradzie Sanoka, podczas gdy holenderska „Syrena” prezentowała dystynkcję i temperament w Łańcutcie.

Wzajemna serdeczność, wzajemne składanie sobie darów z serca płynących przyświecały Polonii i Macierzy. „Leży to w interesie i Polonii, i Polski — powiedział prezes Towarzystwa „Polonia”, członek Rady Państwa PRL prof. UJ dr Mieczysław Klimaszewski do młodzieży przybyłej na Festiwal. — Bez więzów i stałej łączności z żywą Polską, stanowiącą krynicę narodowego ducha, tradycji, kultury, języka, nikt z racji na wielkie odmetry ogromnego świata nie może na dłuższą metę zaspokajać swoich kulturalnych, społecznych i moralnych potrzeb, odczuwanych z racji swego pochodzenia”. Staramy się — podkreślił prezes Klimaszewski — aby goście czuli się w Ojczyźnie swych przodków jak u siebie w domu.

Tak też czuła się kilkusetosobowa rzesza młodych Polaków. A zadokumentowała to samopoczucie podczas konkursowych i galowych koncertów, pełnych wigoru i folkloru, za co nagradzana była tysiącami oklaskami, a także wysokimi nagrodami, wyróżnieniami i prezentami przygotowanymi przez organizatorów.

Wspaniałe puchary kryształowe ze srebrnymi plaketkami i wrytymi na nich słowami uznania, oryginalne kufry zawierające regionalne stroje ludowe, pamiątki i inne upomniki stanowiły ekwiwalent wielomiesięcznych wysiłków każdego zespołu artystycznego przybyłego na Festiwal. Poza materialnymi dowodami uznania organizatorzy przygotowali otwarte serca. I te wszystkie gesty Polonii dla Kraju i Kraju dla Polonii były najsilniejszą nicią serdeczności i wzajemnego zrozumienia.

Szczególnie pięknym akcentem, gdy minęły już emocje konkursowe, była wspaniała kawalkada młodzieży w barwnych strojach, która przemierzyła ulice Rzeszowa w dniu święta 22 lipca oraz uroczyste i pełne narodowej godności widowisko plenerowe, jakie odbyło się na rzeszowskim stadionie.

Każdemu uczestnikowi pozostaną w pamięci inne obrazy, inne wrażenia. Jednemu utkwily być może momenty z cudownej podróży po Bieszczadach, zajądanie bigosu przy ognisku w „miasteczku” namiotowym, innym fanfary orkiestry grającej dźwięki „Ukochany Kraj, umiłowany Kraj”, jeszcze innym — królewskie insygnia z uroczystych wyborów miss Polonia Festiwalu czy pamiętny koncert i zabawa z okazji święta narodowego Francji, które szczególnie uroczystość fetowała Polonia francuska.

Echa tego Festiwalu, tego pięknego spotkania, które stało się jednym z najważniejszych wydarzeń życia kulturalnego w Polsce w ubiegłym miesiącu — przekażemy naszym Czytelnikom w obszernej relacji i fotoreportażu w jednym z najbliższych numerów „Tygodnika”.

Krystyna KOZŁOWSKA

PO CO PRZYJEJĄDZAJĄ?

RASA krajowa niemal każdego dnia donosi o licznych wycieczkach polonijnych ze świata, które przybywają do Starego Kraju. W tym roku ruch ten jest wyjątkowo duży, bije rekordy poprzednich lat, co niewątpliwie łączy się z licznymi imprezami Srebrnych Godów Polski Ludowej. Uczestnicy niektórych wycieczek bynajmniej tego nie kryją i podkreślają, że właśnie w tym roku wybrali się do Polski, by spojrzeć obiektywnym okiem na to, co się w Kraju zmieniło w ciągu dwudziestu pięciu ostatnich lat. Stąd też tegoroczny sezon charakteryzuje się przede wszystkim tym, że poważny procent uczestników wycieczek polonijnych, większy niż kiedykolwiek przedtem, to ludzie, którzy Kraj odwiedzają po raz pierwszy od wyjazdu z niego, przy czym nie brak i takich, którzy opuścili ojczystą ziemię za chlebem jeszcze przed pół wiekiem. Przeważają jednak ci, którzy nie widzieli Polski od zakończenia ostatniej wojny lub też od 1939 roku.

Godny podkreślenia jest fakt, że wśród wycieczkowiczów polonijnych stosunkowo dużo spotyka się młodzieży urodzonej już na wychodźstwie, której rodzice lub dziadkowie przekazali kult i miłość dla swej pierwszej ojczyzny. Nierzadkie są wypadki, że w wycieczce biorą udział trzy pokolenia z jednej rodziny — a więc dziadkowie, rodzice — też często urodzeni na wychodźstwie — i ich dzieci, a jeden z reporterów doszukał się w jednej z wycieczek wśród Rodaków ze Stanów Zjednoczonych czterech pokoleń, bo i prawnuków, przy czym trzy ostatnie pokolenia urodziły się na wychodźstwie.

Jak dotąd podobne zjawiska w odniesieniu do swych emigrantów notowała tylko prasa irlandzka lub niemiecka. Jeżeli chodzi o Irlandczyków, to rzecz niemożliwa, więcej ich bowiem żyje na emigracji niż w ojczyźnie, podobnie zresztą jak Norwegów, Niemcy zaś bez względu na obywatelstwo, jakie przyjęli i pokolenie emigracyjne zawsze poczuwali się i poczuwają do utrzy-

mywania łączności z krajem pochodzenia i przodują w organizacji tej łączności.

U emigrantów polskiego rodowodu należało to raczej do rzadkości, i to nie ze względu na brak uczuć do Macierzy czy zobojętnienie, gniotła ich bowiem zawsze tęsknota, nie mniejsza niż wychodźców innych narodowości, ale przede wszystkim ze względu na brak środków materialnych na odbywanie długich i kosztownych podróży.

Polskie wychodźstwo zarobkowe, a ono przecież stanowi przynajmniej większość w około 10-milionowej masie Polonii zagranicznej, należało dawniej do ubogich środowisk emigracyjnych. Czasy się jednak zmieniają i choć daleko do tego, aby Polonia, głównie ta zaoceaniczna, swymi materialnymi możliwościami mogła dorównać wychodźstwu pochodzenia innych nacji, to jest ona dziś bez porównania bardziej niezależna i zasobna niż kiedykolwiek w przeszłości.

W statystykach wycieczkowych przytaczanych przez prasę krajową dominują przyjazdy ze Stanów Zjednoczonych, Australii, Kanady, a z Europy z Anglii. Jak wiadomo, emigracja w Australii i Wielkiej Brytanii wywodzi się z lat ostatniej wojny i w całości polskiego wychodźstwa liczące wiele pokoleń uchodzi za młodą, choć i ona notuje już wnuków. Reporter warszawskiego „Expressu Wieczornego” obliczył, że wobec odwiezienia Polski w tym roku przez ok. 20 tys. członków Polonii brytyjskiej, co szósty Polak osiadły na Wyspach Brytyjskich wybrał się, względnie jeszcze wyjedzie na wycieczkę lub urlop do Polski.

Wycieczki polskie w USA zgłoszone przez biura podróży obejmują w tym sezonie 25 tys. osób. Ich uczestnicy przybywają do Kraju zwykle na 3 do 4 tygodni statkiem „Stefan Batory” lub samolotami; 7 do 10 dni bawią u rodzin lub krew-

nych w różnych regionach Polski, by ją poznać od strony krajobrazu, zabytków i historii, a przede wszystkim przemian, jakie przyniosły ostatnie lata. Z reguły ich bezpośrednie wrażenia przerastają przypuszczenia na temat obecnego stanu, jakie mieli przed zwiedzeniem Kraju. Wielu pamiętających polskie ubóstwo sprzed kilkudziesięciu lat ogarnia entuzjazm, choć trzeba przyznać, że w poszczególnych sprawach zdarzają się też głosy krytyczne i pytania w rodzaju: „Dlaczegoście jeszcze tego nie zrobili?” — „To musicie koniecznie zrobić jak inne rzeczy...” itp. Ogólny jednak wydzwięk wrażeń wycieczek polonijnych jest dodatni, a nawet — można to śmiało powiedzieć — że bardzo dodatni.

Często przedstawiciele emigracji wyrażają swoje poglądy na obowiązki Kraju wobec wychodźstwa. I tak np. w „Słowie Powszechnym” znajdujemy wywiad z księdzem Wojciechem J. Kowalczykiem z najstarszej parafii polskiej w Chicago im. św. Stanisława Kostki. „Trzeba ratować polskość naszych Rodaków poza Ojczyzną — powiedział dziennikarzowi krajowemu ks. Kowalczyk, który przybył z wycieczką „Chicago Club Society”.

Urodził się on w Chicago, po skończeniu uniwersytetu w USA studiował w okresie międzywojennym w Lwowie i Krakowie, później pracował w parafiach polskich różnych regionów USA i zna doskonale potrzeby polskiego wychodźstwa na drugiej półkuli. Parafia, w której obecnie pracuje, liczy 100 lat.

W Chicago — mówił ks. Kowalczyk — na 4 mln mieszkańców jest 720 tys. pochodzenia polskiego. Są w Chicago polskie szkoły, również średnie. Szkoły i parafie utrzymują się z ofiar. Polonia potrzebuje nauczycieli, księży, dziennikarzy dla swej prasy, która walczy z dużymi trudnościami. Ks. Kowalczyk widzi oczywiście potrzebę możliwie bliskiego utrzymywania kontaktów emigracji z Macierzą. Dał on tym samym odprawę wszystkim tym politykom emigracyjnym, którzy dowodzą, że księża z Polski przybywający do pracy na wychodźstwie powinni zrywać wszelki kontakt z Krajem. Tylko bowiem w łączności z Krajem — dowodzi ks. Kowalczyk — można ratować polskość na wychodźstwie, co potwierdza cała historia naszej emigracji.

MIEJSCOWOSCI turystycznych godnych obejrzenia mamy na polskiej ziemi wiele i to takich, jakich bez zbytej megalomanii daremnie byloby szukać w krajach Europy zachodniej, a ja właśnie pozostaję pod urokiem i wrażeniem podróży, która zaprowadziła mnie niedawno do jednego z takich miejsc, w tzw. „krajnie wielkich jezior”. Znamy tę nazwę z polskich plakatów turystycznych: „Visitez la Pologne”, na tle białego żagla i rozległej tafli jeziora, ujętego w przepyszna zielonkawą klamrę pierwotnej puszczy, a to bynajmniej nie jest tylko reklamą. Przeciwnie, w tym wypadku plakat zapowiada mniej niż przynosi rzeczywistość, wobec której nawet artystyczna fotografia staje się niekiedy bezradna.

A ja właśnie fotografowałem i czyniłem pośpieszne notatki w Giżycku, wodnej „stolicy” Warmińskiego Pojezierza, która swoją powojenną nazwą upamiętnia postać Gustawa Gizewiusza-Giżyckiego, znakomitego etnografa z ub. stulecia i bojownika o polskość Warmii i Mazur, gawędziłem też chętnie z „wodniakami” rodowitymi i tymi, którzy, choć tu przywędrowali po wojnie, czują się w województwie olsztyńskim jak u siebie w domu, a wszyscy na równi są niewypowiedzianie serdeczni, gościnni.

Temat niewyczerpany: jeziora, lasy, zwierzyzna i taaakie ryby (!), ale chyba nikt o nich nie potrafi opowiedzieć tak, jak to czyni pan Franciszek Wojciechowski, zapalony myśliwy, kapitan Żeglugi Wielkiej, obecnie zaś dyrektor „Żeglugi Mazurskiej” w Giżycku, który dalekie szlaki mórz i oceanów oraz rozgwar światowych portów handlowych zamienił na ciszę jeziorańskich przystani, przekładając chłodną wilgoć mazurskiego poranka i sozystą zieleń tutejszych lasów nad żar tropików i egzotykę buszu.

— Istotnie — mówi p. Wojciechowski — ukończyłem po wojnie Szkołę Morską w Gdyni i przyjechałem na statkach PLO na liniach: pakistańskiej, indyjskiej i europejskich, ale nie rozstałem się ze swoim rezerwem ani nie straciłem kontaktu z wodą, żywiołem, któremu się poświęciłem. Wprawdzie statki, którymi teraz rozporządzam, to małe „pasażery”, ale za to bardzo komfortowe, posiadające pokłady słoneczne, kawiarnie i bary z dancingami przy „szafach grających”, z brydżem i z kabinami, które w chłodniejsze dni ogrzewamy elektrycznie. Mamy siedem takich nowoczesnych statków motorowych i jeszcze pięć wyremontowanych starych — to było wszystko, co pozostało z dawnej niemieckiej, zresztą zatopionej przy odurocie, wycieczkowej „floty”. Nową „białą flotę” stworzyła już nasza stocznia w Gdańsku, a jak była potrzebna niech świadczą liczby:

W roku 1947 w początkach „Żeglugi Mazurskiej” przewieziono na starych statkach 25 tysięcy pasażerów, dziś mamy ich w sezonie, tj. od wiosny do jesieni, ok. 300 tysięcy i to — podkreśla dyrektor Wojciechowski — daje mi naprawdę ogromną satysfakcję!

Bo też i jest tu co zwiedzać! Pojezierze Mazurskie, według słów mojego rozmówcy, posiada 3 300 naturalnych zbiorników wodnych, w tym 1 800 o powierzchni jednego hektara, a więc coś jakby na podobieństwo Finlandii. Największe jezioro — Sniardwo — ma 19 km długości, a 17 km szerokości; jeziora Mamry i Niegocin, połączone pięcioma sztucznymi kanałami, tworzą potężny szlak żeglowny o niezwykle urozmaiconym krajobrazie.

Są tu bowiem jeziora rynnowe i owalne, które tworzyła morena czołowa, są też i jeziora małe, ale bardzo głębokie, tzw. kociołki, powstałe w zamierzchłych czasach pod działaniem wodospadów lodowcowych. Brzegi o przebogatej rzeźbie, otoczone są przeważnie lasem, szczególnie uroczyste są małe wyspki, które w upalne dni lata udzielały schronienia tym, którzy szukając samotności najlepiej odpoczywają we dwoje. Lasów jest w bród.

Pan kapitan Żeglugi Wielkiej przemówił teraz głosem myśliwego: jest przecież Puszcza Piska na południu i Puszcza Borecka na północy...

— A w lasach chyba zatręszienie jagód i grzybów?

— To się rozumie samo przez się, ale ja wolałbym opowiedzieć o żubrach — uśmiechnął się mój uczynny rozmówca. — Bo trzeba panu wiedzieć, że mamy żubry w Puszczy Boreckiej i parę lat temu za specjalnym pozwoleniem władz (bo żubry są u nas pod ochroną) pewna księżna włoska ustrzeżliła jedną sztukę i nakręcono film z polowania.

W ogóle bogaty jest zwierzyzna lasów mazurskich: jelenie, kozły, dziki, wielka obfitość zajęcy, dziesiątki tysięcy kaczek wodnych, toteż w sezonie polowań przylega tu wielu myśliwych i z Kraju i z zagranicy.

Pan Wojciechowski niejednokrotnie towarzyszył naszym gościom na polowaniach, a zdarzały się przy tym rozmaite sytuacje: i komiczne i takie, które mogły się zakończyć dramatem. Ot np. w ub. roku z pewnym Austriakiem, który polował na jelenie. W pewnym momencie myśliwy ten podszedł za blisko do byka, który właśnie zabiegał o zdobycie jani. Jeleń ryknął i runął na przera-



Ognisko na Mazurach jest niemalą atrakcją dla urlopowiczów z Kraju i turystów zagranicznych

3300 JEZIOR • KRAINA WIELKICH JEZIOR • KAPITAN BIAŁEJ FLOTY • LASÓW W BRÓD • MIKOŁAJKI • SIELAWA W HERBIE • GDZIE DAWNIEJ DOMINOWAŁY FORTY — DZIŚ LAS NAMIOTÓW • ŻAGLE I PIOSENKA

W PUSZCZY I NAD WODĄ...

żonego Austriaka, który przewrócił się ze strachu i wypalił w powietrze ze swego sztucera. Na szczęście celny strzał Polaka zapobiegł nieszczęściu. To była opowieść prawdziwa. Ale p. Wojciechowski ma w zanadru i inne jeszcze opowiadania myśliwskie, np. o swoim „cudownym psie”, który nieomylnie potrafi znaleźć zakopaną w lesie fajkę swego pana.

— Jaki? Fajkę zakopaną gdzieś w puszczy? — zapytałem z niedowierzaniem.

— A tak, odpowiedział z niezmaconym spokojem myśliwy. — Bo na mojej fajce wymalowany jest zajak...

A potem popłynęliśmy z szybkością 70 km na godzinę do Mikołajek, bardzo popularnego nad jeziorami ośrodka wodnego, gdzie nas powitał na przystani rozbawiony tłum opalonych na brąz postaci — przeważała, oczywiście, młodzież, zresztą w porze wakacji Mazury to jej najbardziej ulubiony teren.

W Mikołajkach są świetne ryby — jest tu nawet figura „króla sielaw” — ryby z koroną na głowie, wzięta z dawnej rybackiej legendy, a na stole w restauracji — węgorz wędzony i smażony — palce lizać!

Kto zechce zatrzymać się tu na jedną noc czy na dłużej, znajdzie przyzwoitą kwatery prywatną u rybaków. Podobnie jest w Rucianem i w Węgorzewie, podobnie w Piszku i w samym Giżycku, gdzie opiekę nad turystami sprawuje Przedsiębiorstwo „Warszawa-Olsztyn” oraz PTTK, mające w rejonie jezior swoje schroniska. Natomiast „Warszawa-Olsztyn” posiada przyzwoite hotele i campingi. Np. w Giżycku turyści mogą zamieszkać w hotelu „Zamek”, mieszczącym się w średniowiecznym zamku krzyżackim, w którym tylko wnętrze zostało przebudowane i dostosowane do potrzeb hotelowych, a międzynarodowy camping rozlokowany wśród zieleni nad Kanałem Łuczajskim wynajmuje 2-osobowe domki oraz namioty.

Największą jednak „atrakcją hotelową” rozporządza położony niedaleko Kętrzyn, tam bowiem w miejscowości Gierłoż, na terenie dawnej głównej kwatery Hitlera, oddano do dyspozycji turystów komfortowy hotel, przerobiony z kasyna esesmanów, współczesnych „krzyżaków” z przybocznej straży „führera”.

Oczywiście, w pełnym sezonie nie wystarcza na Mazurach ani tych kilka hoteli, ani nawet kilka tysięcy miejsc w campingach, przepływa przecież tędy przeszło pół miliona wczasowiczów i turystów. Podobnie jest teraz wszędzie na świecie w atrakcyjnych ośrodkach — więcej turystów niż



Jeziora mazurskie to raj dla wędkarzy. Obok — wielkie jeziora połączone są sztucznymi kanałami

miejsc. Ale większość z nich nie szuka na Mazurach miejskich wygod. Przyjeżdżają tu z własnym namiotem i z własnym „gospodarstwem kuchennym”. Najmilsze im są noce pod rozgwieżdżonym niebem na leśnych polanach, najlepsza „restauracja” — to ta przy ognisku, gdy na patelni skwierczy i apetycznie się rumieni tylko co w jeziorze złowiona ryba. Powiedźcie, gdzie w Europie możecie rozpalić nad jeziorem własne ognisko?

Piękna, zielona i rozległa jest kraina mazurskich jezior, której przyroda nie poskapiła swoich darów. Oto aleja kilkusetletnich „dębów królewskich”, wskaże Wam drogę do Rucianego, oto Słynna Wyspa Kormoranów w Ostrowiu Wysokim, oto kolonia dzikich łabędzi na jeziorze Łukajno, podobno największa w Europie, rezerwat czapli siewej nad jeziorem Sniardwo, zakład doświadczalny PAN niedaleko Mikołajek, gdzie hoduje się lesne koniki — tarpany i bobry... I leśniczówka Franie nad Jeziorem Nidzkim, gdzie niemal co roku spędzał swe poetyckie wakacje Konstanty Ildefons Gałczyński...

Miasta nad jeziorami jakby odmłodniały. Któż pozna dziś po Giżycku, że w styczniu 1945 było ono w tym rejonie — według słów Guderiana — „najlepiej uzbrojona i najlepiej rozbudowana twierdza”? Zniszczone też zostało potężnie i opustoszałe, a dziś — proszę spojrzeć! — ozdobiło kwiatami i zielenią osiedla swoich nowych domów, a z rozbudowanego „mola” w również rozbudowanym porcie — uczyniło ulubioną arterią spacerową dla mieszkańców.

To samo da się powiedzieć o Rucianem, o Mikołajkach, o Węgorzewie, a wreszcie i o średniowiecznym Kętrzynie, który w wyniku działań wojennych przestał w połowie istnieć. Dziś trudno byłoby tu znaleźć jakieś ślady po ruinach, chyba że fragmenty starych murów obronnych, bowiem zamek już jest dawno odbudowany.

Białe i kolorowe żagle kwitujące nad rozlewiskiem zielonkawych wód, setki żwawych kajaków uwijających się między wysepkami, pływające sklepy na motorowych barkach, kolonie namiotów pod lasami, tłumy ludzi na plażach, tłumy na ulicach miast i miasteczek, tłumy w kafejkach pod parasolami, śmiech, piosenka, swoboda — oto dzień dzisiejszy Ziemi Warmińsko-Mazurskiej w 25 lat po powrocie do Ojczyzny. Ziemi już na zawsze polskiej...

Pływający sklep dociera latem do najbardziej odległych zakątków Pojezierza Mazurskiego



Cztery dni w stolicy polskiej piosenki

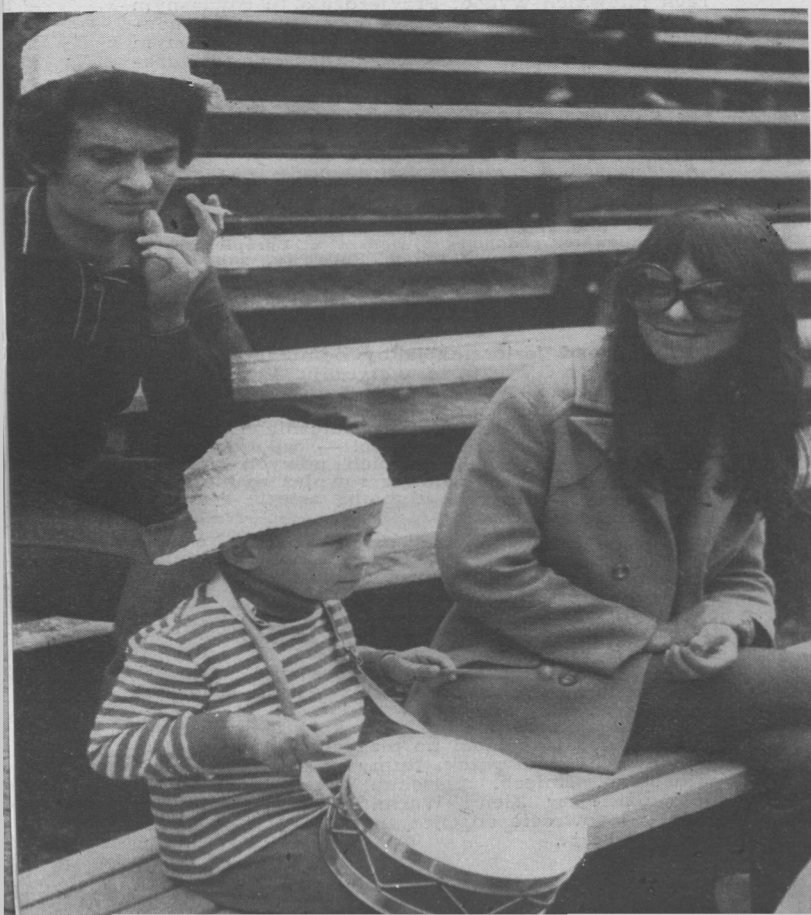
OPOLE 1969

KRYSTYNA MAŃKOWSKA



W czasie koncertów publiczność bawiła się znakomicie. Tylko wykonawcy i fotoreporterzy pracowali ciężko

Ten malec zainteresowanie muzyką przejął od mamy



Popularny sekstet żeński „Alibabki” i w tym roku zdobył laury

Rena Rolska zachwycała nie tylko głosem, lecz i kracjami



Opole szczyli się największym amfiteatrem naturalnym

W SZYSTKO zaczęło się przed 6 laty, pewnego zimowego poranka 1963 roku. Do Opola przybyli dwaj redaktorzy Polskiego Radia. Złożyli szereg oficjalnych i mniej oficjalnych wizyt, przeprowadzili dziesiątki rozmów i... swój cel osiągnęli. Zapalili gospodarzy miasta do swego pomysłu — organizowania dorocznych festiwali polskiej piosenki.

Tak zaczęła się kariera muzyczna Opola, które co roku pod koniec czerwca staje się na okres czterech dni stolicą polskiej piosenki. Czerwcowe festiwale wypełniły lukę istniejącą od lat w polskim „przemysle” rozrywkowym, dały szansę kompozytorom, autorom tekstów, a wreszcie wykonawcom, dla których polskie spotkania stały się swoistą giełdą pozwalającą skonfrontować ich siły i możliwości. Opole jest dziś wielką rewią, ogólnokrajowym przeglądem wzorów, na jakich opiera się polska piosenka rozrywkowa. Tutaj ocenia się aktualne mody i słuszność kierunków artystycznych oraz — wylawia talenty. To właśnie Opole pozwoliło odkryć znaną i cenioną w wielu krajach, w tym również we Francji **Ewę Demarezyk**, **Annę German** — której rosnącą popularność przerwała długotrwała choroba, czy **Mieczysława Świącieckiego** — aktora i niezrównanego wykonawcę romansów rosyjskich i popularnych melodii okresu międzywojennego. Tu po raz pierwszy zażyły talentem zdobywając ogromną popularność zespoły big-beatowe — „Czerwone Gitary” i „No To Co”, o których pisaliśmy w naszym „Tygodniku”. Największą wartością Festiwalu polega przede wszystkim na tym, że jest on **impresją prezentującą młode talenty, że jest Festiwalem młodych**.

Tegoroczny, VII Festiwal Piosenki miał charakter wyjątkowo uroczysty. Odbywał się bowiem w roku „srebrnego wesela” Polski Ludowej. Nic więc dziwnego, że wesoła, żartobliwa piosenka o tym samym tytule śpiewana przez jednego z laureatów, **Wiktora Zatwarskiego**, na koncercie „Premiery 69” — stała się nie koronowanym hymnem Festiwalu. Pierwszy koncert Festiwalu poświęcony też był piosenkom dwudziestopięcioletnia.

Kilkutysięczna publiczność w amfiteatrze oraz setki tysięcy telewidzów i radiosłuchaczy tego wieczoru ze wzruszeniem słuchali dawnych melodii. Kiedyś, gdy były nowe, często podlegały ostrej krytyce. Lecz tego wieczoru, prezentowane w nowej aranżacji przez gwiazdy polskiej piosenki: **Marię KOTERBSKĄ**, **Irenę SANTOR** czy polskiego Chevaliera — **Mieczysława FOGGĘ** — były przyjmowane przez publiczność owacyjnie.

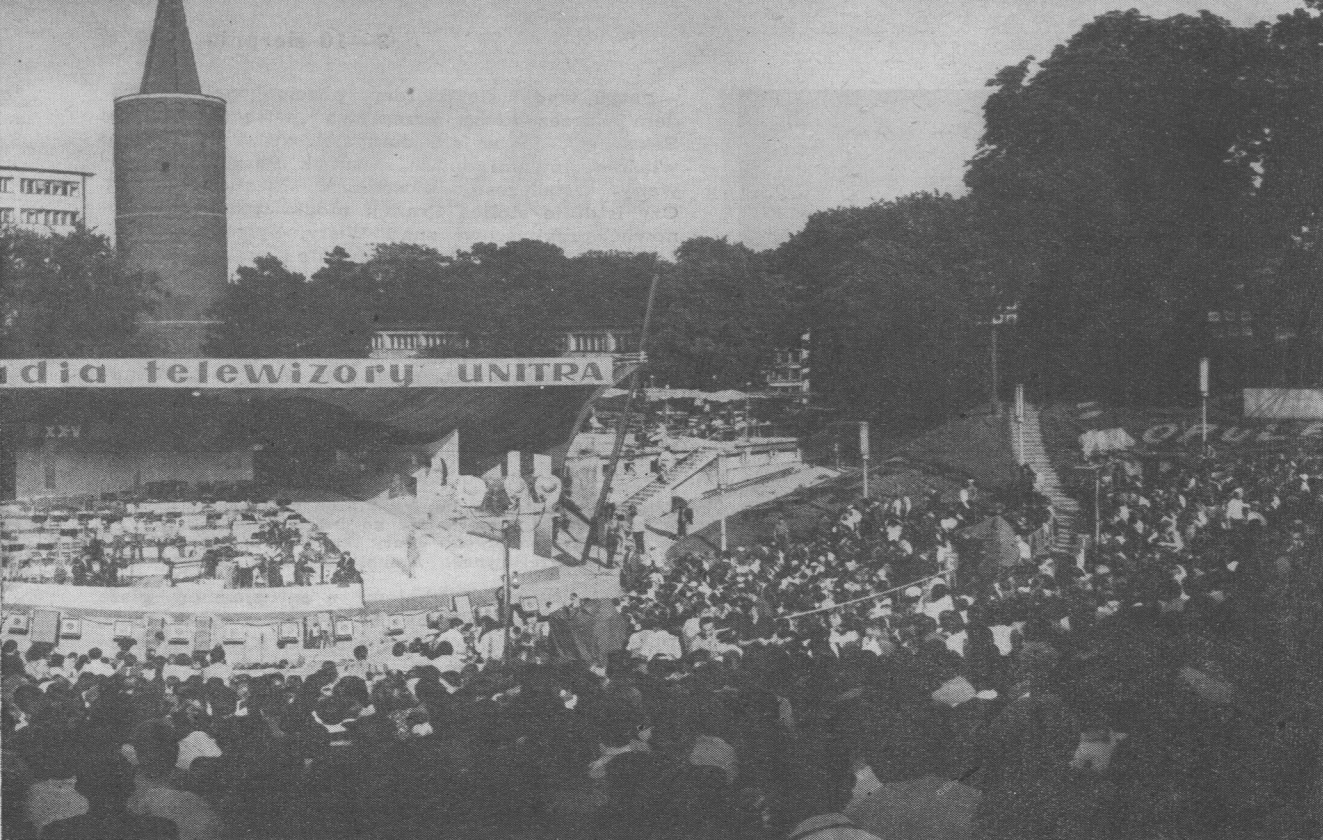
I jak tu nie mówić, że Polacy są sentymentalni! Słuchało się więc piosenek o Warszawie, o tym jak się ją budowało, o spacerach w Łazienkach, o tym, że „Warszawa da się lubić” i że choćbyś był nie wiem jak daleko, to jednak warszawiaku „Powrócisz tu, gdzie nadwiślański brzeg”. Były piosenki o pierwszym siwym włosie na ukochanej skroni — i... „pomyśl miła ile to już lat idziemy przez ten świat”...

Koncert zakończył się zbiorowym wykonaniem przez piosenkarzy i publiczność spopularyzowanej na całym świecie przez „Mazowsze” pieśni „Ukochany kraj”.

Od tego wieczoru zapanowała w Opolu atmosfera rodzinna, atmosfera radości, przyjaźni i wzajemnej życzliwości, jaką potrafią stworzyć młodzi.

Warto podkreślić odrębność polskiej piosenki, często wywodząca się z tematu opartego na polskim folklorze, jednak przy zachowaniu modnych rytmów i form muzycznych. Uderza również w artystyczną wartość tekstów, których autorami są utalentowani młodzi poeci. A przecież tematy były dość banalne — jak to w piosenkach: sentymentalne, żartobliwe, satyryczne, patriotyczne i tak modne ostatnio „horror”. Szczególnie zgrabne i dowcipne teksty zaprezentował najpopularniejszy w Kraju Wojciech **MEYNAŃSKI** — poeta i wykonawca wielu własnych piosenek. Ciekawie też rozwija się twórczość spółki autorskiej — **Jonasza KOFTY** i **Jana PIETRZAKA**. Ich piosenki to życzliwa satyra na polską rzeczywistość.

Wśród wykonawców większość stanowili studenci. Świadczy to o dużym zainteresowaniu muzycznym ludzi, których głównym celem życia jest zdobycie zupełnie innego zawodu. Jest to również znak, że piosenka jest rzeczywiście zjawiskiem mądrym wśród młodzieży. Pozwolił też Festiwal wyłonić kilka prawdziwych talentów. Usłyszyszmy zapewne jeszcze nieraz o **Jolancie Borusiewicz** — wykonawczyni piosenki pt. „Dzień się budzi”, która będzie reprezentowała Polskę na Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie.



Festiwal udał się pod każdym względem. Nawet pogoda — zwykle kapryśna — tym razem dopisała



Najmłodsza uczestniczka, 15-letnia Danusia Sobik

Do najbardziej utalentowanych należy także najmłodsza uczestniczka Festiwalu Opolskiego — 15-letnia uczennica VIII klasy z małego śląskiego miasteczka Gotastowice — Danusia SOBIK, Drobnutka dziewczynka o mocnym, czystym głosie, podbiła bez reszty widownię, śpiewając piękną piosenkę „Wiatr wiosenny gitarzysty”. Oklaskiwana gorąco przez publiczność Danusia ze wzruszenia i chyba tremy rozplakała się na scenie, co nie umniejszyło w niczym jej sukcesu.

Warto wspomnieć jeszcze o licznych imprezach towarzyszących Festiwalowi, które aczkolwiek nie punktowane przez jury, były w większości bardzo interesujące i świadczyły o odradzających się dobrych tradycjach polskiego kabaretu. Do takich należy przede wszystkim rewelacyjna czwórka aktorско-autorska pod dowcipną nazwą „Silna grupa pod wezwaniem”. Trzonem tego kwartetu jest oryginalny wykonawca własnych tekstów opartych na ludowych gawędach i bardzo popularny Kazimierz Grześkowiak oraz Tadeusz Chyła — najpociesniejszy piosenkarz wśród malarzy młodego pokolenia. Ich show stał się półtoragodzinnym koncertem zabawy i śmiechu do łez.

Bardzo dowcipnie i inteligentnie zaprezentowali swój satyryczny program młodzi studenci z Wrocławia z kabaretu „Ad libitum”.

Wiele było atrakcji podczas tegorocznego Festiwalu, ale do największych wydarzeń zaliczylibyśmy występ jednej z czołowych polskich piosenkarek Joanny Rawik. Zaśpiewała ona piosenkę opartą na motywie pięknego poloneza As-dur Fryderyka Chopina pt. „Romantyczność”. Świetny głos, pełne kultury wykonanie, przyniosły Joannie Rawik nagrodę „Złotej Podkowy” ufundowaną przez akredytowanych na Festiwalu dziennikarzy.

Znaczenie dorocznego Ogólnopolskiego Festiwalu w Opolu rośnie z roku na rok. Właściwa ocena wartości autorów i wykonawców piosenek pozwala na wyeliminowanie merkantylnego charakteru tej świetnej kulturalnej imprezy. Choć w tym roku zjawili się na Festiwalu kilkunastu zagranicznych impresariów zainteresowanych polskimi piosenkarzami, nie zmieniło to jednak ogólnej atmosfery, jaka towarzyszy co roku największemu spotkaniu polskiej piosenki. Festiwal „Opole” to zaspokojenie wielkiej potrzeby radości i zabawy Polaków.

Foto: Marek KAREWICZ



Maryla Rodowicz otrzymała nagrodę za balladę o chłopcu, który jest kochanym draniem

„Silna grupa pod wezwaniem” — ulubieńcy publiczności i dziennikarzy

Zdobywający popularność T. Woźniak w piosence „Dzień się budzi”





Jan Kochanowski



Henryk II

WOJCIECH NATANSON

PARYSKIE IMPRESJE KOCHANOWSKIEGO

Znany krajowy krytyk literacki Wojciech Natanson przygotował do druku interesująca książkę o polsko-francuskich stosunkach literackich na przestrzeni dziejów. Ukazuje się ona niebawem w Krakowie w tamt. Wydawnictwie Literackim. Poniżej drukujemy fragment z tego dzieła, dotyczący paryskiej przygody wielkiego pisarza i poety polskiego z XVI wieku — Jana Kochanowskiego (red.).

10 LIPCA 1559 roku wydarzył się w Paryżu straszny wypadek. Podczas turnieju rycerskiego, urządzonego z okazji zaślubin dwóch córek królewskich z hiszpańskim monarchą i księciem Sabaudii, król Henryk II, biorący udział osobisty w tym turnieju — został raniony w oko. Rana była w ówczesnym stanie wiedzy medycznej nie do wyleczenia. Drzewo przeniknęło aż do mózgu. Po dziewięciu dniach król zmarł nie odzyskawszy przytomności, mając zaledwie 41 lat.

Był to wielki monarcha, który krajowi swemu zapewnił siłę i pokój. Można sobie wyobrazić żal, jaki zapanował we Francji; tym większy, że Henryk pozostawił tylko małoletnich synów, z których najstarszy liczył wtedy 15 lat, a trzeci książę orleański (przyszły Henryk Walezy) — zaledwie 7. Żal i niepokój udzieliły się także i zagranicznym przyjaciółom Francji, wśród których był nasz wielki poeta Jan Kochanowski. Mamy na to dowód, jak śmierć króla Henryka odczuł przyszły autor „*Odprawy posłów greckich*”. Podczas panowania tego monarchy, w 1558 roku (a więc rok wcześniej) bawił Kochanowski we Francji, zwiedził Marsylię, brzegi Loary i Rodanu, Flandrię, może Bretanię i Normandię, a przede wszystkim Paryż. Wywiózł niezapomniane wrażenia. Teraz, w łacińskiej elegii „*Do Karola*” opisywał wstrząsające wrażenie, jakie na nim wywarła śmierć króla; wyobrażał też sobie, co w tej chwili myśli francuski poeta, Ronsard.

At nunc Henrico crudeli morte premopto
quas illum credam diffuere in lacrimis?

Julian Eysmond przełożył łacińskie utwory Jana Kochanowskiego i ogłosił je w 1919 roku. Przedruk ukazał się w 1953 roku, w Państwowym Instytucie Wydawniczym. W tym tłumaczeniu zalety owe strofy Kochanowskiego:

A dziś, gdy Henryk zginął śmiercią tak okrutną
iakoż rozpaczać musi, iakoż we łzach tonie...

Już we własnym imieniu, tak nowoczesny w swym myśleniu, stwierdzał Kochanowski tragiczny paradoks:

Tylekroć doświadczając odmiennej fortuny
wielkie wojny prawicą swoją wiodłeś śmiecie.

Oszczędzany przez groty, waleczny Monarcho,
bez trwogi uderzałeś na nieprzyjaciela...

Teraz, w czasie pokoju y zabaw rycerskich
krwią ciekący porwanyś za wody Styksowe,
tam gdzie światłość dochodzi przez szparę w przyłbicy
straszna kopia przeszyla ci na wylot głowę...

Otóż myśl o tej tragicznej śmierci naturalnym biegiem rzeczy kojarzyła się polskiemu poecie ze wspomnieniami niedawnych paryskich wędrówek. W elegii „*Do Karola*” rzecz zaczyna się od obrazu pożegnania z owym przyjacielem. Właśnie umarła matka Kochanowskiego, ojciec nie żył już od lat dziesięciu. Dom osierocony wymagał powrotu. Odjazd był koniecznością, ale nie tylko Karola żałował autor elegii:

Y Loara y Rhodan żałować mają odczuły,
gdy mi przyszło opuszczać miley Galliey strony...

Jak się Kochanowski znalazł we Francji? Miał 28 lat, ukończył długotrwałe studia we Włoszech. Biograf Jana z Czarnolasu prof. Stanisław Windakiewicz w swej pięknej książce z 1930 roku (wznowionej w „*Czytelniku*” w 1947) zwraca uwagę: „z elegii padewskich widać, że we Włoszech kilkakrotnie myślał o podróży do Francji”.

Dlaczego pragnął odbyć ową wycieczkę? Czy tylko ze względów turystycznych, wiedziony ciekawością świata, głodem wędrówek? 28-letni Polak, humanista, przemierzył Francję wszszere i wzdłuż. „*Hospes in ecsternis vagus erro locis*” pisze, co Windakiewicz tłumaczy pesymistycznie, wyobrażając go sobie „*bląkającego się po nieznanych drogach, w rozpacz i bezradności, co ze sobą począć*”. Ale „*blądzić po obcych krainach — może też oznaczać — wędrówkę wcale nie rozpaczliwą, wałęsanie się pełne ciekawości*”. Jeśli Kochanowski długo marzył o Francji, trudno przypuszczać, by wędrówka po jej obszarach mogła go wprowadzić w depresję. To pewne, że do pełnego osiągnięcia celu tej wędrówki dopomógł mu poznany we Francji przyjaciel, zapewne humanista i znawca kraju, ów — nie wymieniony z imienia w elegii — Karol:

Z tobą zwiędziłem ową nadmorską Marsylię,
niwy Belgów, celtyckie domy, Akwitany...

Razem byliśmy, kędy wielki gród przepływa
wartkimi nurty wstęga błękitnej Sekwany...

Myślę, że „celtyckie domy” to może być Bretania lub Normandia, uderzająca odrębnością i surowością krajobrazu. Południowa Francja to dla wędrownika polskiego była nie tylko Marsylia, ale zapewne i Avignon. Co do Paryża, można sobie wyobrazić, że Jan z Czarnolasu „blądził” wśród uliczek nad Sekwaną, koło Place Saint-Michel, może po Huchette, gdzie niegdyś stał Villon, po rue St. André des Arts, po Cité i Wyspie św. Ludwika, gdzie teraz tyle polskich śladów i pamiątek...

Paryż wydał się naszemu poecie „wielkim grodem”, przez który przepływa „wstęga błękitnej Sekwany”, jakby się domyślał, że kiedyś tymi właśnie słowami opisze stosunek Paryża do Sekwany współczesny piosenkarz Jacques Prevert. Czy istotnie stolica Francji mogła wtedy zaimponować przybyszowi znad Wisły, byłemu studentowi krakowskiej Wszechnicy, ale i znawcy Włoch?

Maurice Fombeure pisze w książce „*Paris m'a souri*” (Editions Alpina 1959), że wedle szacunkowego spisu z 1533 roku ludność paryska liczyła około 300—400 tysięcy mieszkańców. Jak na wiek XVI było to niemało, a od 1533 roku do 1558 ludność mogła się jeszcze pomnożyć. Nic dziwnego, że wrażenie było zaskakujące. Ale najważniejsze wydarzenie wspomniane jest w następnej strofie tej samej elegii:

Tu Ronsarda, na lutniewy któren grał oyczystey
uirzałem... Y stuchałem go pelen zdumienia
jak gdybym słyszał mury Theb poruszające
onego przestawnego Amphiona pienie...

„Tu Ronsarda... uirzałem” z entuzjazmem pisze polski poeta. Urodzony 11 września 1524 roku, Pierre de Ronsard był starszy od Kochanowskiego o 6 lat. Ale dość wcześniej ogłuchł.

Od tej chwili wiódł życie dość odludne i samotne, poświęcone studiom i poezji. Jego dwa zbiory wierszy — „*Ody*” i „*Miłości*” (Amours) wzbudziły powszechny entuzjazm. Siostra króla francuskiego księżniczka Sabaudii, Margueritte, ogłosiła się jego „*protektorką*”. Uwielbiała poezję Ronsarda Maria Stuart. Jeden z francuskich królów odwiedził go w jego samotni. Potem w 1575 roku Torquato Tasso czytał mu pierwsze pieśni swej „*Jerozolimy Wyzwolonej*”, którą miał przełożyć bratanek Jana, Piotr Kochanowski. Pod koniec życia miał swój własny dom w Paryżu, koło Faubourg Saint-Marcel (przy ulicy o dziwnej nazwie: rue Neuve-Saint-Etienne-du-Mont).

Ronsard zmarł w 1585 roku, czyli w rok po Kochanowskim. W młodości studiował grekę i zgłębiał pisma starożytnych wraz ze swym przyjacielem Antoine de Baif. Już wtedy marzył, by swej ojczyźnie dać w narodowym języku arcydzieła podobne do tych, które stworzyła Hellada, Rzym i Włochy. Potem Ronsard i Baif spotykają Joachima de Bellay, snującego podobne ambicje i nadzieje. Choć Ronsarda z de Bellayem miały na krótko rozdzielić rywalizacja i pretensje o pierwszeństwo, tworzą jednak wspólnie „szkołę literacką” o charakterze estetycznie „rewolucyjnym” (jak to określał francuscy krytycy), zwaną z razu „*Brygadą*”, a później „*Plejadą*”. Oprócz trójki założycieli należeć tu będą także: Belleau, Pontus de Thyard, Jodelle, Dourat. Ronsard został uznany za wodza tej „grupy”.

Idea stworzenia w piśmiennictwie francuskim tych wszystkich gatunków poetyckich, jakimi się szczylic Grecy, Rzymianie, a w tym momencie także i Włosi, łączyła poetów owej „konstelacji”, których we Francji i poza nią nazywano „*Plejadą*”. Można bez trudu pojąć, z jaką ciekawością i zapalem myślał Kochanowski o poetach francuskiej „*Plejady*”, szczególnie o ich wodzu, Piotrze de Ronsard. Jak oni przeszedł szkołę humanizmu włoskiego; jak oni marzył o obdarzeniu polskiej literatury nowymi gatunkami literackimi, wynoszącymi ją na poziom uwielbianej starożytności; jak oni miał od wczesnej młodości głębokie przekonanie o dostojeństwie, o wielkiej roli artysty w społeczeństwie; jak oni zbliżał się do filozofii stoickiej, choć miłość życia, kobiety i piękna nie była obca ani poetom „*Plejady*”, ani Kochanowskiemu.

Wróćmy jeszcze na chwilę do owej elegii „*Do Karola*” z 1559 roku. Kochanowski wspomina, że widział Piotra Ronsarda „*na lutniewy któren grał oyczystey*”. Czy zwrot ten należy pojmować tylko metaforycznie? Słowo „lutnia” gra dużą rolę w poetyce Jana z Czarnolasu. Ale w okresie Renesansu wcale często podkładano muzykę pod ulubione wiersze znanych poetów. Także i Ronsarda. Owa muzyczność wierszy renesansowych we Francji — a także w Polsce — odgrywała rolę, którą miała uzyskać dopiero za czasów symbolizmu, Verlaine'a, Młodej Polski. Tylko że w wieku XVI miała ona raczej charakter akompaniamentu, a nie melodii „wewnętrznej”. W każdym razie, także i ten element przyczynił się do spotęgowania wrażenia, które Kochanowskiemu pozostawił jedyny jego pobyt nad Sekwaną, a szczególnie spotkanie z nieszczęśliwym, obarczonym klęską głuchoty, a przeciwieślnym w słuchaniu w melodię słowa i akompaniamentu poetą „*Plejady*”.

Ów pobyt Kochanowskiego miał rozpocząć ważny rozdział w dziejach naszej kultury, który polegał na ściślejszej i bezpośredniej współpracy literackiej polsko-francuskiej.

BRACIA KURKOWI W PETIT PALAIS



Wszystkich fascynuje kogut, ofiarowany przez Zygmunta Augusta bractwom kurkowym

Delegacja Związku Bractw Kurkowych z Pas-de-Calais przed paryskim Petit Palais

— Przyjechaliśmy do Paryża specjalnie, żeby zobaczyć złotego koguta z Krakowa — godło strzelców kurkowych. Chcemy porównać, czy jest taki sam jak kogut poznański!

Złoty kur krakowski znajduje się obecnie na wystawie tysiąca lat sztuki polskiej w **Petit Palais** w Paryżu. Paryżanie, turyści z prowincji i z zagranicy odwiedzają licznie tę wystawę. Jest wśród nich wielu Polaków. Przychodzą indywidualnie lub grupami. W ostatnich dniach zajechał przed Petit Palais autobus z 30-osobową delegacją **Związku Bractw Kurkowych z Lens**. Związek ten zrzesza około 300 członków z Lens, Dourches, Sallaumines, Méricourt-Maroc, Calonne-Ricouart, Divion. Prezesem jego jest **p. Wojciech Krawczyk** z Divion, skarbnikiem **p. Jan Paternoga** z Calonne, sekretarzem generalnym — **p. Witold Nowak** z Billy-Montigny.

O zorganizowaniu wycieczki do Paryża podjął decyzję zarząd. Życzeniem jego było, aby jak największa ilość członków wzięła udział w niej,

jednakże lipiec okazał się niezbyt sprzyjającym okresem; okazało się, że wielu ludzi jest już na urlopiach.

Mówiąc o tym, że przyjechali zobaczyć tylko koguta, **p. Witold Nowak** oczywiście żartował. Cała grupa „kurkowców”, ich żony i dzieci z wielkim zainteresowaniem zapoznawali się ze skarbami sztuki polskiej różnych epok, oglądali obrazy, rzeźby, zbroje, tkaniny, zachwycali się bogactwem i różnorodnością dorobku artystycznego tysiącletniej Polski. **Wspaniały złoty kogut, dzieło renesansowego snycerstwa**, był jednym z setek bezcennych eksponatów pochodzących z muzeów całej Polski, które — w większości — po raz pierwszy eksponowane były we Francji.

Po spędzeniu paru godzin w Petit Palais uczestnicy wycieczki z Pas-de-Calais resztę czasu poświęcili na zwiedzanie zabytków Paryża. Wieczorem wracali do swych domów pod silnym wrażeniem poznanych arcydzieł, które pozostawiają im wspomnienia na całe życie.



Przy okazji pobytu w PARYŻU

nie zapomnij odwiedzić

La Boutique Polonaise

25 rue Drouot
PARIS 9^e

téléphone: 770-83-37
c.c.p. Paris: 189.46.68

NA KOLONIE...

NA LOTNISKU LE BOURGET

UWAGĘ ZWRACA duża grupa dzieci z Normandii. Jest wśród nich wielu takich, którzy lecą do Polski po raz drugi lub trzeci nawet. Ci są już bardzo pewni siebie, wszystkie formalności związane z odlotem załatwiają próbując samodzielnie. Znają dobrze profesora Mula, który kieruje całą operacją przy rejestrowaniu bagaży, wydawaniu biletów, wypełnianiu formularzy etc., etc. Dla większości jednak jest to pierwszy lot — „baptême de l'air”. Dzieci z Normandii przyjechały z Potigny, Dives-sur-Mer, Soumont.

Bardzo dużo młodzieży przyjechało z Paryża oraz bliższych lub dalszych okolic stolicy. P. Kamiński z XVII

okręgu Paryża, ojciec trojga dzieci, odprowadza swą najstarszą córeczkę, 12-letnią Krysię. Młodsze dzieci przyjechały również, by pożegnać siostrzyczkę. P. Zygmunt Rzyski odprowadza Sylwię i Marie-Josée, które już były na koloniach w Polsce i które wracają tam znnowu z wielką radością. P. Wiktor Wojtkowiak żegna swego 16-letniego Michasia, który poleci pierwszy raz w życiu samolotem. P. Stanisław Szarek również wypuszcza synka Andrzeja po raz pierwszy w tak daleką podróż.

Wszystkie formalności przed odlotem załatwane są szybko i punktualnie, o przewidzianej godzinie polski samolot opuszcza port lotniczy Le Bourget.

Kryśka Kamińska z Paryża z matką i rodzeństwem Rysiem i Lidką na lotnisku Le Bourget. Jeździła już do Polski z rodzicami samochodem na wakacje, teraz leci samolotem na kolonie

Każdy odlot dzieci do Polski z lotniska Le Bourget stanowi swego rodzaju wydarzenie. Zjawiają się one zawsze wielkimi grupami, aby zappełnić 100-osobowy samolot IŁ-18 Polskich Linii Lotniczych „LOT”. Wraz z nimi przyjeżdżają na Bourget ich matki, ojcowie, bracia, siostry, ciocie i inni członkowie rodziny, a nawet wielu przyjaciół i znajomych. Wyjazd na wakacje do Polski, a przy tym niezwykłość podróży samolotem, nadają temu wydarzeniu charakter wyjątkowy. Wszyscy są ożywieni, trochę podnieceni i bardzo szczęśliwi.

Z Normandii przyjeżdża co rok duża grupa młodzieży na kolonie letnie. Są to dzieci z Potigny, Dives-sur-Mer, Soumont. Są to w większości starzy bywalcy kolonii, jadą do Polski weseli



Formalności na lotnisku Le Bourget przed odlotem dzieci na kolonie do Polski. Z prawej grupa młodzieży wyjeżdżającej na kolonie z Persan i Beaumont. Od lewej: p. Stanisław Szarek i syn Andrzej, p. Zygmunt Rzyski i córki Sylvia i Marie-Josée, obok Michał Wojtkowiak i jego ojciec, — p. Wiktor Wojtkowiak. Wszyscy podnieceni i ciekawi Polski



Z LILLE DO WARSZAWY



Dzieci idą do samolotu. Słócenzi na tarasach lotniska rodzice i znajomi śledzą uważnie do ostatniej chwili swe pociechy udające się w tak daleką podróż

Ostatnie zdjęcie przed odlotem na tle samolotu Polskich Linii Lotniczych LOT — IŁ-18. Wśród dzieci reprezentant LOT w Paryżu p. Tomasz Warski



Przed odlotem dzieci odbyła się konferencja prasowa. Konsul generalny PRL w Lille p. Tadeusz Wegner poinformował dziennikarzy o celach i rozmiarach tegorocznej akcji kolonijnej w Kraju

ODLOT OSTATNIEJ GRUPY młodzieży na wakacje do Polski nastąpił z Lille. Czwarty z kolei samolot Polskich Linii Lotniczych „LOT” zabierał do Kraju ostatnią z czterech setek dzieci z północnej Francji, które spędzą lato na koloniach polskich.

Na lotnisku obecny był konsul generalny PRL w Lille p. Tadeusz Wegner, p. konsul Ryszard Korczewski, attaché konsularny — kierownik akcji kolonijnej — p. Andrzej Cieślak, prezesi komitetów departamentalnych Stowarzyszenia „France-Pologne” w Nordzie i Pas-de-Calais pp. Roger Legrand i Aimé Laly, reprezentant Związku Zawodowego Górników p. Emile Ważny, reprezentant Polskich Linii Lotni-

czych „Lot” w Paryżu p. Tomasz Warski i wiele innych osobistości oraz liczni przedstawiciele prasy z całego regionu.

Dla poinformowania dziennikarzy francuskich o rozmiarach akcji kolonijnej prowadzonej od lat i o jej celach zorganizowana została krótka konferencja prasowa. P. konsul generalny Wegner oraz p. konsul Korczewski przypomnieli, że od r. 1961 co rok duże grupy dzieci odlatają samolotami PLL „LOT” na miesiąc wakacji nad morzem, w górach lub w innych malowniczych miejscowościach Polski. W tym roku, w 25-rocznicę Polski Ludowej, około 630 dzieci Polonii francuskiej odwiedzi Zakopane, Gdynie, Soplicowo i wiele innych uroczych zakątków Polski, aby odpocząć, wzmocnić zdrowie, a jednocześnie zobaczyć rodzinny Kraj swych przodków i poznać lepiej język polski.

P. konsul Wegner przemówił również i do dzieci oraz ich rodziców, życząc im miłych wakacji w Polsce, wyrażając nadzieję, że dzięki koloniom więź ich ze starym Krajem zacieśni się jeszcze mocniej.

Po długich i serdecznych pożegnaniach dzieci, fotografowane wielokrotnie przez licznych reporterów, wsiadły do potężnego IŁ-18 Polskich Linii Lotniczych „LOT”. Nastąpił start, podczas gdy zebrani na tarasach dworca lotniczego rodzice powiewali chusteczkami żegnając ze wzruszeniem odlatującą młodzież.

„Un verre d'amitié”, podczas którego p. konsul Ryszard Korczewski wyraził podziękowanie reprezentantowi „LOTu” p. Tomaszowi Warskiemu i wszystkim pracownikom portu lotniczego za ich ofiarną i sprawną pracę.



Z poczekalni na lotnisku Le Bourget do samolotu dzieci przewiezione zostały autobusami. Całe szczęście, bo właśnie lunął deszcz i byłaby kąpiel!

W SAMOLOCIE

— Kapitan Dauksza wraz z załogą wita Was na pokładzie samolotu Polskich Linii Lotniczych „LOT” — IL-18. Samolot leci do Krakowa na wysokości siedmiu tysięcy metrów. Szybkość lotu — 650 kilometrów na godzinę. Lot trwać będzie dwie godziny i dwadzieścia minut...

TAK POWITANO dzieci z okręgu paryskiego i z północnej Francji, gdy usadowiły się na swych miejscach w samolocie. Dla większości wtedy rozpoczęła się pierwsza ich podróż samolotem do Polski na kolonie letnie — do Piwnicznej-Zdroju, Wisły i Mikuszowic. Pierwsze samodzielne chwile podróży samolotem były pełne napięcia i emocji. Trzeba było przed startem zapiąć pasy bezpieczeństwa, zjeść polski cukierek (taki zwyczaj) i oto samolot wzbił się w górę...

Niektóre dzieci znały się już z ubiegłorocznych wakacji i usadowiły się razem. One już też wiedziały, jak wyklada się stoliczek, gdy stewardessa następnie podała tacę z kanapkami, ciastem i sokiem.

Na pytanie, czy dzieci zadowolone są że lecą samolotem i czy się boją trochę, odpowiedział chór młodych głosów:

— *Bardzo nam się podoba lot samolotem. Nie boimy się wcale. Jaka to frajda, w tak krótkim czasie pokonać tyle kilometrów! Zawsze chcielibyśmy latać samolotem mimo wszystko...*

To „mimo wszystko” okazało się po pewnym czasie dość uzasadnione, gdyż, niestety, warunki atmosferyczne tego dnia nie były najlepsze i mimo że dzieci trzymały się dzielnie, niektóre nie najlepiej znosiły lot.

Te niespodzianki lotniczej podróży wynagrodziła im załoga samolotu — kapitan Mieczysław Dauksza, drugi pilot Romuald Chlebowski, mechanik pokładowy Mieczysław Korecki, nawigator pokładowy Włodzimierz Nowik i radiotelegrafista Jan Jakóbiak, od lat już przewożący polonijne dzieci na kolonie do Kraju i znający dobrze swych młodych pasażerów.

Przed kabiną pilota tłok był więc duży. No, bo przecież jakże na własne oczy nie zobaczyć, jak się steruje taki samolot, jak to wygląda z bliska. Szczególnie interesowało to chłopców.

Potem znowu trzeba było zapiąć pasy. Zbliżało się lądowanie. Tak, to już był Kraków, witający dzieci z Francji piękną słoneczną pogodą.



Stewardessa p. Danuta Switalska roznosiła podczas lotu kanapki, ciasto i owoce oraz tradycyjnie podawane w samolocie cukierki



Philippe Monti z Valenciennes (od lewej), Marie-Thérèse Albera i Collette Albera z Orleanu — nie zamieniliby samolotu na inny środek lokomocji. Są spokojne i zadowolone

Andrzej Wienchol z Paryża (pierwszy od lewej) również. Nowicjuszem jest siedzący pośrodku uśmiechnięty Michel Wojtowiak z Persan



Wygodne są fotele w samolocie i dzieci czuły się jak w swoich łóżkach



Ten pawilon w Parku Nałęczowa (20 km od Lublina) kryje w sobie Źródło Miłości i naturalną wodę leczniczą tzw. hipertoniczną, odznaczającą się małą zawartością soli mineralnych i lekkim działaniem przepłukującym. Woda ta znana jest w Polsce pod nazwą „Nałęczówki” i podawana również w lokalach

U Źródła Miłości

O A Z A DLA CHORYCH NA SERCE

KRAJ tu falisty o łagodnie zaokrąglonych wzniesieniach i bogatej roślinności. Na mapach Polski oznaczony jest jako Wyżyna Nałęczowska. Wyżyną nieznaną, bo przeciętnie sięgająca 225 metrów ponad poziom morza. W jej centrum rzeczka Bystra wyżyłobiła Dolinę Nałęczowską, bogatą w wąwozy, jary i bujną roślinność. Oddalony od głównego traktu Warszawa — Lublin (11 km), już w 1800 r. stał się Nałęczów miejscowością uzdrowiskową.

Miejscowe tereny należały do Małachowskich, rodziny, która wydała m. in. marszałka Sejmu Wielkiego, a dziełem tego Sejmu była — jak wiadomo — Konstytucja 3 Maja. Od XVII w. był tu mały zamek obronny. Resztki zamku, przerobionego później na mieszkanie — już za czasów zdrowiska — trwają w Parku Zdrowym w bezpośrednim sąsiedztwie Pałacu Małachowskich, mieszczącego m. in. artystycznie wyposażone sale rozrywkowe, a także Muzeum Bolesława Prusa, autora „Lalki” i „Faraona”.

Prus upodobał sobie Nałęczów podobnie jak wielu innych wybitnych ludzi pióra i spędzał tu rokrocznie długie miesiące. Budził on wśród miejscowych dzieci sensację swym welo-cypedem, był bowiem jednym z pierwszych w Polsce kolarzy i w Muzeum przeczytać można listy, jakie doń wysłało Warszawskie Towarzystwo Cyklistów (WTC) jako swego działacza.

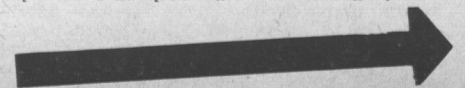
Na początku XVIII wieku odkryto w Nałęczowie źródła mineralne o właściwościach

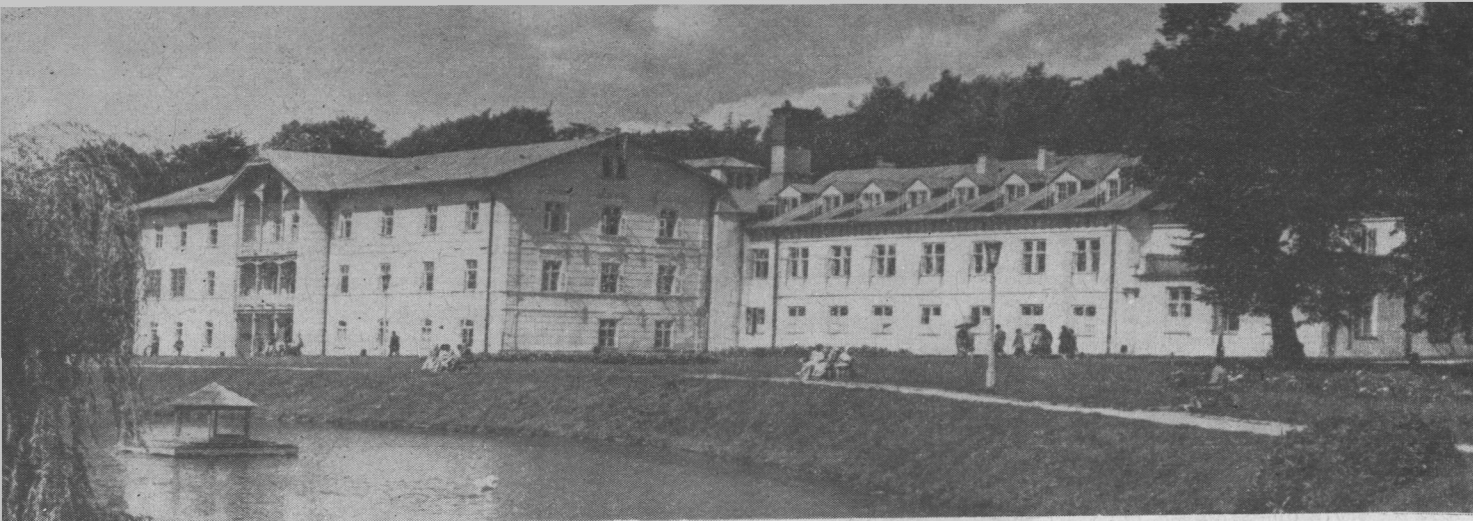
leczniczych, a także borowinę. Wkrótce stał się Nałęczów dla tej części Polski, która znajdowała się pod zaborem carskim, nie tylko modnym, ale i skutecznym ośrodkiem leczniczym.

Wyrastały budynki sanatoryjne, lazienki, wille prywatne, osiedlali się tu lekarze; podjęto ochronę pięknego drzewostanu, pomysiano o atrakcjach. A że w tych czasach wyjazd do Krynicy lub Sopotu był wyjazdem za granicę, Nałęczów zdobył sobie wysoką markę. Był uzdrowiskiem prywatnym, przechodzącym z rąk do rąk.

Wielu wybitnych ludzi związało z nim swe życie. Oprócz Prusa, najbardziej lubował się w Nałęczowie Żeromski. Rozwinął on tu działalność społeczną, doprowadził do powstania kilku cennych placówek, tu się ożenił, tu pochował ukochanego syna, przedwcześnie zmarłego Adasia i w jego Mauzoleum zarezerwował także miejsce dla siebie. Stefana Żeromskiego pochowano jednak w Warszawie.

Przybywali często do Nałęczowa Henryk Sienkiewicz, Andrzej Strug, a wcześniej Odyniec — przyjaciel Mickiewicza, powieściopisarka Deotyma (Jadwiga Łuszczewska); mieszkali tu i dokonali żywota: malarz, ilustrator „Pana Tadeusza”, b. powstaniec i emigrant M. E. Andriolli oraz Kazimierz Gliński, poeta i muzyk. Obaż spoczywają na cmentarzu przy kościele w Bochothnicy Wielkiej, położonej na wzgórzu, stanowiącej dziś część Nałęczowa. Są także na tym cmentarzu groby pierwszej żony Żeromskiego Oktawii oraz wielu powstańców z 1863 r., którzy po różnych kolejach losu, emigracji, obrali sobie ten nałęczowski zakątek na ostatnie lata życia.





Sanatorium nr 1 nie należy do najnowszych. Siega roku 1880, niemniej jednak wciąż oddaje duże usługi. Położone wśród bogatego i różnorodnego drzewostanu nad sta-

wem, przez który przepływa rzeczka Bystra, może pomieścić jednorazowo 145 osób. Po przeciwnej stronie parku wyrasta już nowy gmach. Będzie gotowy w 1970 r.



Ten domeczek wznosił Stefan Zeromski. W nim pracował twórczo. Dziś mieści się tu małe Muzeum pisarza

OAZA DLA CHORYCH NA SERCE

Dokończenie ze str. 11

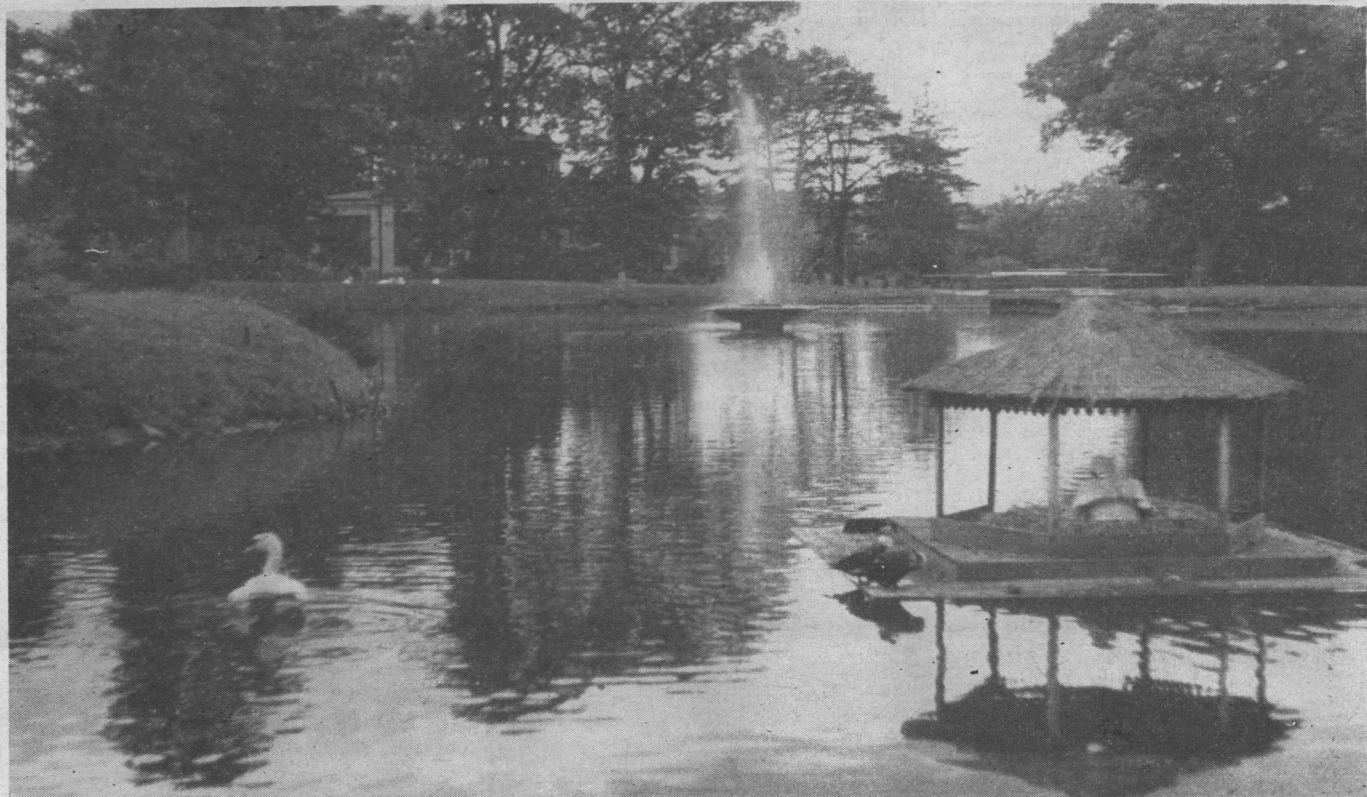
Po drugiej wojnie światowej odkryto w Nałęczowie nowe jego walory: mikroklimat, wywodzący się z małych różnic ciśnieniowych atmosfery. Dawne właściwości lecznicze Nałęczowa — jego wód i borowiny, nie straciły wprawdzie na znaczeniu ale zeszyły odtąd na drugi plan. Mikroklimat okazał się kojącym czynnikiem dla ludzi chorych na serce. Walory klimatyczne samoczynnie regulują tu u chorych ciśnienie: jeżeli jest za wysokie — sprowadzają je do normy. Szczególnie zalecają lekarze Nałęczów ludziom, którzy przeszli zawały serca lub też potrzebują wypoczynku, by zawału uniknąć. A wobec faktu zwiększania się ilości chorób serca, zwłaszcza u prowadzących nerwowo i wyczerpujący tryb życia, rola Nałęczowa, jako oazy dla sercowców wybitnie wzrosła. W Nałęczowie chorzy na serce używają minimalnych ilości lekarstw, albo w ogóle ich nie stosują. Leczy ich cudowny klimat, spokój, cisza, bogactwo zielonej przyrody, z tym że pozostają pod lekarską kontrolą specjalistów-kardiologów.

Nic też dziwnego, że Nałęczów rozrasta się i wymaga dalszych inwestycji. Związek Nauczycielstwa wznosił tu swoje sanatorium, a dwa dalsze — „Uzdrowisk Państwowych” i Związku Zawodowego Pracowników Komunalnych, są w pośpiesznej budowie.

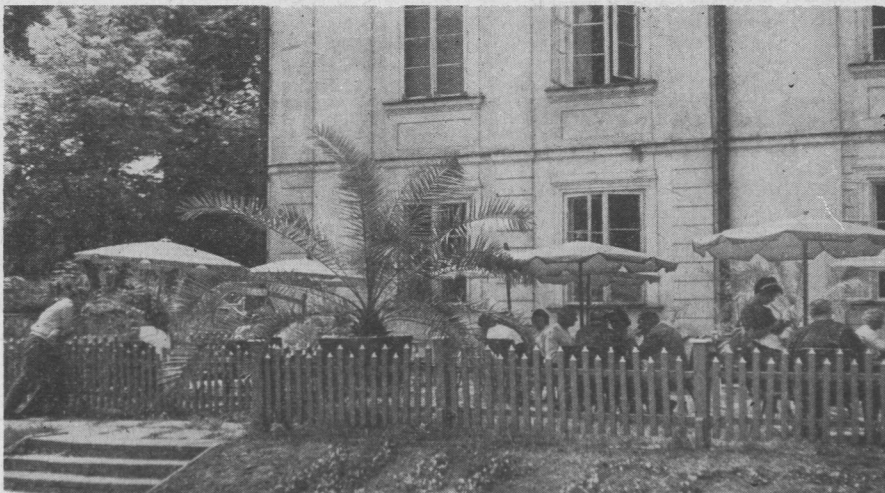
Ponadto Nałęczów jest ośrodkiem ciekawych szkół. Kompleks gmachów szkolnych wzniosła tu polska spółdzielczość, czemu początek dała szkoła powstała jeszcze z inicjatywy Zeromskiego. Budynek tej szkoły, choć stary — wchodzi w skład kompleksu nowoczesnych gmachów i mieści m. in. ciekawe Muzeum Spółdzielczości. Jest to więc — obok zbiorów po Zeromskim i Prusie — trzecie Muzeum Nałęczowa.

Drugim interesującym zakładem naukowym jest Technikum Szkół Plastycznych. Ma ono także nowoczesne budynki, a to, co jego uczniowie prezentują na wystawach konkursowych w zakresie nowoczesnej sztuki połączonej z elementami ludowego folkloru, przeraża często wyroby eksportowane przez „Cepelie”.

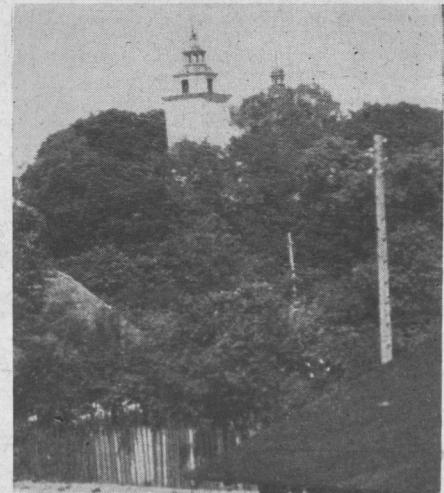
Jeszcze jedno: Zespół Sanatoriów nr II dysponuje m. in. pawilonem, który powstał z inicjatywy Angielki **P. Sydow Ryder**. Jej narzeczony, Polak, lotnik RAF, zginął w czasie drugiej wojny w walce z hitlerowcami. Pani Ryder zachowała po nim wdzięczną pamięć i od lat prowadzi akcję pomocy na rzecz b. więźniów obozów hitlerowskich i ofiar wojny. Na pawilon w Nałęczowie złożyły się ochotnicze prace harcerzy polskich w Nowej Zelandii i Tasmanii. Pawilon pobudowano w pierwszych latach po wojnie, kiedy uzdrowisko nałęczowskie dźwigało się ze zniszczeń, jakie pozostawili tu po sobie okupanci. I choć ma charakter prowizoryczny, wciąż oddaje usługi.



Fragment zdrojowego parku z widokiem na rozległy staw, na którym żyją królewskie łabędzie i kaczki. Ich zwyczaje, szczególnie w okresie wylęgu młodych łabędzi, stanowią nie lada atrakcję dla kuracjuszy i turystów



Fragment kawiarni w Pałacu Malachowskich z 1777 r. Poniżej przedszkole Adama Zeromskiego, ukochanego syna wielkiego pisarza Stefana, przedwcześnie zmarłego i pochowanego w Nałęczowie. Dom zbudowano jako pierwszą w tej miejscowości szkołę, staraniem komitetu powołanego przez Zeromskiego



Pomnik Stefana Zeromskiego i widok na kościół w Bochothnicy Wielkiej, na który w czasie pracy spoglądał pisarz z okien swego jednoizbowego domku



KRAKUSOWE WESELE

BYŁO to już drugie „krakusowe” wesele w Zwartbergu, w Belgii. Pierwszą panną młodą była **Joanna Frasołek-Strzemiecka**, teraz została nią **Danusia Stala-Sujew**, córka kierowniczkii zespołu p. **Wandy Stalowej**, od dziesięciu lat tańcząca w zespole.

A zaczęło się też wszystko w „Kra-kusie”. **Zbyszek Strzemiecki** przyprowadził kiedyś na próbę zespołu **Aleksandra Sujewa** i tak już został on w zespole. Było to przed czterema laty. Potem Aleks z Danusią zdecydowali, że się pobiorą, ale nie bardzo było kiedy. Stale próby i występy zespołu. I oto nadszedł ich wielki dzień. Tradycyjne błogosławieństwo rodziców, gdyż państwo Stalowie dużą wagę przywiązują do polskich tradycji, i ceremonia zawarcia związku małżeńskiego w kościele i urzędzie gminnym. I tam nowożeńców czekała miła niespodzianka: przed urzędem gminnym powitali ich członkowie zespołu — chłopcy w strojach góralskich, dziewczęta — w pięknych strojach rzeszowskich. Potem w świetlicy odbyło się też staropolskie powitanie chlebem i solą, no i tradycyjnym kieliszkiem wódki. Ponad sto osób uczestniczyło w uczcie weselnej. Były i oczepiny, a na drugi dzień, też jak każda tradycja, poprawiny.

Życzeń i prezentów otrzymali nowożeńcy moc — nie tylko od swych najbliższych, rodziny, przyjaciół, od koleżanek i kolegów z zespołu, lecz i premię z okazji ślubu od koła Polskiego Stronnictwa Ludowego w Zwartbergu, które tak serdeczną opieką otacza zespół „Kra-kus”, i od Towarzystwa „Polonia” z Warszawy, Polskiego Radia i Telewizji, za co nowożeńcy tą drogą jeszcze raz składają serdeczne podziękowanie.

Rodzice panny młodej, znani działacze polonijni — p. Wanda Stalowa — kierowniczkia „Kra-kusa” oraz p. Bronisław Stala — prezes PSL w Zwartbergu



Pierwsza panna młoda zespołu „Kra-kus” **Joanna Frasołek-Strzemiecka** (po lewej) wręczyła prezent ślubny.

Do serdecznych życzeń przyłącza się też redakcja „Tygodnika Polskiego”. Sto lat dla nowożeńców!

uk

**Czytajcie
i
prenumerujcie
czasopismo
„TYGODNIK
POLSKI”**



Tradycyjne powitanie młodej pary chlebem i solą, no i kieliszkiem wódki

Oto młoda para: **Danusia Stala** i **Aleks Sujew** po ceremonii zawarcia związku małżeńskiego przechodzą pod ciupagami góralskimi swych kolegów z zespołu



DOKTOR IGNACY WALDE

DOKTOR Ignacy Walde ma już 78 lat. Ludzie w tym wieku nie pracują zawodowo, korzystają z zasłużonej emerytury i wypoczynku. Ale nasz dzielny Rodak z Nicei nie przerywa swej praktyki lekarza-dentysty. Przyjmuje pacjentów, leczy ich uzębienie i nie dopuszcza myśli, że mógłby pędzić życie beczynnie.

U dr Waldego jest sprawa nie tylko wieku, ale i zdrowia. Aresztowanie, śledztwo prowadzone przez gestapowców, więzienie, wreszcie zsyłka i ucieczka z pędzącego pociągu — wszystko to zrujnowało mu zdrowie i system nerwowy. Wskutek odniesionych ran doktor nie może spać, nie może położyć się do zwykłego łóżka. Kilka godzin w nocy spędza w fotelu, siedząc i rano wstaje znów pełen energii do codziennych zajęć.

Energii ma tak dużo, że praca zawodowa mu nie wystarcza. Przez całe życie działał aktywnie społecznie i dzisiaj również jest ciągle gotów do zajmowania się innymi, do niesienia pomocy innym, do służenia idei.

Mimo że z Polski wyjechał we wczesnej młodości, jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej (przerwał studia i wyemigrował, ponieważ groziła mu mobilizacja do armii austriackiej) o Kraju, z którego pochodzi, nigdy nie zapomniał. Dziadek doktora Waldego walczył pod rozkazami Langiewicza w r. 1863, w Powstaniu Styczniowym i wnuk o tym pamięta. Gdy tylko dotarł do Francji, przed pięćdziesięcioma z górą laty, od razu zgłosił się jako ochotnik do polskiego biura wojskowego. Pracował jako lekarz wojskowy w Sables d'Olonne, w Wandei. Potem, po zakończeniu wojny, praktykował przez 25 lat w Paryżu.

W czasie ostatniej wojny cała rodzina działała aktywnie w Ruchu Oporu, nie tylko doktor, ale i jego córki oraz zięciowie. Jeden z nich walczył w armii gen. de Lattre de Tassigny. Wszyscy mają wysokie odznaczenia wojskowe.

W tej chwili przedmiotem wielkiej troski dr Ignacego Waldego jest koło stowarzyszenia „France-Pologne” w departamencie Alpes-Maritimes. Koło to istnieje i ma już w swym dorobku pewne osiągnięcia, ale dr Walde nie chce, aby na tym poprzestano. Pragnie doprowadzić tę organizację do prawdziwego rozkwitu, pragnie, aby stała się ona ośrodkiem życia polskiego na Lazurowym Wybrzeżu.



Doktor WALDE ma 78 lat i nie wyobraża sobie życia bez pracy i bez działalności społecznej, której poświęcił na terenie Nicei wiele pracowitych dni

Dzień jak co dzień

W VENCE ŻYJEMY JAK BASZOWIE

SŁOŃCE praży jak w „Faraonie” Bolesława Prusa. Niebo błękitne jak oczy Majusiakowej Zośki, tej, co to się w niej podkochiwałem, zanim wyjechałem do Francji. Zośka to było cudo, nie dziewczyna, powiadam Wam. Włosy jasne jak żyto. Usta jak wiśnie. Mówiła do mnie: „Waloś, ty kochanie moje”, a ja drzałem jak ta osina. Tak mówiła, ale wyszła za innego, za starej Barańczaczki Franka, jęzka jedna. Pamiętam, że rozbiłem się wtedy jak wszyscy diabli, i że taki byłem struty, że chciałem skoczyć do studni. Szczęściem nawinęła się akurat Maryniakowa Jadwisia i skończyło się na tym, że skoczyłem w Jadwisine objęcia.

Wracam do rzeczy. Przywiózł mnie tu autem mój zięć. Byłem już raz na Lazurowym Wybrzeżu — dwa lata temu, w La Napoule — ale mimo to zachwycałem się wszystkim tak, jak gdybym oglądał to wszystko — ten kraj, gdzie, jak rzekł poeta, cytryna dojrzewa, i gdzie pomarańcz blask majowej złości drzewa — po raz pierwszy. Może dlatego, że w Vence, gdzie teraz przebywam, jest jeszcze ładniej niż w La Napoule.

Vence nie leży nad samym wybrzeżem, jest ono od niego oddalone o kilka kilometrów. Ale co mi tam po morzu, nie jestem marynarzem. Tu jest o wiele przyjemniej niż nad morzem, nie ma tłoku. Mieszkamy w przestronnym, otoczonym ogromnym parkiem gmachu. W parku prócz pomarańczy i cytryn rosną drzewa migdałowe, oliwkowe, krzaki laurowe, eukaliptusy, cyprysy... Górujemy nad całą okolicą, bo nasz dom stoi na wznieśieniu. Co my tu robimy? Ano, nic. Laufujemy po parku. Zajmujemy się, jeśli tak można powiedzieć, oddychaniem świeżym powietrzem i przybieraniem na wadze. Młodzi, jak mogą, to szczerzą zęby do rozebranych do rosółu kobietek. Kto — my? Ano, my — górnicy. Bo, widzicie — powinienem być o tym wspomnieć na samym początku, ale przez te Zośczyne oczy wszystko mi się pokiełbaśiło — w Vence znajduje się dom wypoczynkowy dla górników, i ja od tygodnia przebywam właśnie w tym domu.

Żyjemy jak jacy baszowie. Wstajemy o pół do ósmej, futrujemy śnia-

danko i albo zabieramy się do przeglądania gazet, albo wybieramy się na spacer do parku. O godzinie dziewiątej wielu podają do warsztatów. W warsztatach uczą garncarstwa, introligatorstwa, koszykarstwa, itd. Inni udają się na lekcje. Lekcji udziela codziennie specjalny nauczyciel. Można na nich pogłębić swoje znajomości w różnych dziedzinach wiedzy. Cudzoziemcy mogą również uczyć się języka francuskiego.

O jedenastej przychodzi poczta. O dwunastej pałaszujemy obiad. Jedzenie jest wyśmienite, ale Stanis Nowak — emerytowany górnik z okolicy Auchel, który jest tu już od dwóch miesięcy, i z którym dzielę pokój — powiada, że klusek na parze i pierogów to tu nie podają nigdy. Marne widoki. No ale co robić. Po obiedzie aż do godziny trzeciej leżymy w łóżku. To się nazywa sješta, drzemka poobiednia, rychtyk tak jak na koloniach letnich. Po sjeście niektórzy na nowo wałęsają do warsztatów, zasię inni grają — kto w futbol stołowy, kto w bilard, kto w „bule”. Bo to wszystko tu jest. Wszystko tu mamy. I gry rozmaite, i bibliotekę, i bar, i dobrą opiekę lekarską. Naprawdę jest tu fajnie. Wieczorem papiemy kolację i albo ogląda się program telewizyjny, albo idzie się nynać. Stanis twierdzi, że jak już tu pobędę miesiąc, to będą równie urodziwy jak on:

brzuszek będę miał iście dyrektorski, a papę jak księżyc. Ano, zobaczymy.

Opisuję wszystko tak dokumentnie dlatego, że może nie wszyscy emerytowani górnicy wiedzą o tym domu wypoczynkowym w Vence, a warto, żeby wiedzieli o nim wszyscy. Zapomina się tu w mig o hałdach, „pikach”, „ruczkach”, i jakoś się człowiek czuje lepiej. Pogadać jest z kim, bo Polaków i górników pochodzenia polskiego jest tu zawsze co najmniej kilku. W tej chwili jest nas tu — nas, to znaczy górników polskich — pięciu. O Stanisie już mówiłem. Poza Stanisem jest jeszcze Franek Walczak — taki śmieszny chłop spod Douai, który je za czterech (daj mu Boże zdrowie!), i po każdym posiłku twierdzi, że „tyle zysku, co w pysku”; jest Józef Ratajczak z Valenciennes, który, choć gorączka panuje w tych dniach w Prowansji prawdziwie afrykańska, to on jednakowoż ani myśli rozstawać się ze swoimi ciepłymi, zimowymi, długimi gaciami; i jest Antek Paprocki spod Dechy, który zaraz po swoim przyjeździe sam nadał sobie tytuł „dyrektora świeżego powietrza”.

Z tego, co dotąd napisałem wynika, że czujemy się w tym naszym górnicy domu w Vence tak dobrze, jak u Pana Boga za piecem. No bo niby to prawda. A jednak wszyscy mamy jakieś zmartwienia. Stanis ciągle myśli o tym, co też tam na Nordzie robią je-

go gołębie. Franek Walczak martwi się o swój ogródek. Podobno jego kobieta to tylko umie pić „bon café” i plotkować z sąsiadkami, a o ogród to dba jak o piąte koło u wozu. Józef Ratajczak, którego żona pojechała do Polski, obawia się, że powyzdychają mu króliki. Antek Paprocki cierpi z tego powodu, że tu jest gorąco, a on jest mocno spaśny. No a ja, kiedy pomyślę o tym, że przez całutki trzy miesiące nie będę widział ani klusek na parze, ani pierogów, to gotów jestem się rozbeczeć.

Wczoraj o jedenastej przybyło nam nowe zmartwienie. Franek Walczak otrzymał od żony list, w którym stało, że po Nordzie krąży pogłoski, jakoby Grzybek — ten co pisze do „Tygodnika” — chciał się rozwieść ze swoją żoną i ożenić się z panią Anną, tą od „Rad do serca”. Józef Ratajczak, zaraz zaczął martwić się o żonę Grzybka. „Gdybym był kawalerem, to zaraz bym się tą kobietą zaopiekował!” — rzekł. Antek Paprocki, który długo służył w wojsku, twierdził, że skoro Grzybek zrobił „takie coś”, to musi on być byłym kawalerzystą (?). Ja cały czas zastanawiałem się nad tym, czy aby Grzybek nie wpadł z deszczu pod rynnę.

Nie wpadł. To wszystko nieprawda. Dzisiaj Franek Walczak wyjaśnił nam, że on całą tę historię wysłał z palca, żeby nas trochę podekscytować. To ci jucha! Chciałem go zbesztać, ale mi się nie chce. No bo słońce praży jak w „Faraonie”, niebo błękitne jak oczy Majusiakowej Zośki, tej, co to... itd. Chce się tylko próżnować i marzyć. Przyjeżdżcie. Sprawdzicie. Sami się przekonacie.

WALENTY GAWĘDA

PKO

23, rue Taitbout — PARIS IX-ème

Tél. 824-42-02 Métro: Chaussée d'Antin

BANK POLSKA KASA OPIEKI S.A.

- Udziela wszelkich informacji osobiście, telefonicznie i odpowiada na zapytania listowne.
- Przyjmuje zlecenia z FRANCJI do POLSKI na towary PKO oraz pieniądze jako pomoc i dary dla rodzin i znajomych w Polsce. Dostawa towarów i gotówki następuje wprost do domu adresata.
- Przekazuje wpłaty na koszty podróży dla osób zabraczących z Polski do Francji.
- Przyjmuje wkłady na oprocentowanie oraz załatwia wszelkie inne operacje bankowe.
- Na żądanie wysyłamy nazwa prospekty, cenniki i materiały informacyjne.

Bardzo niskie koszty, szybka i wykwalifikowana obsługa

WSKRZESIŁ SZTUKĘ SPRZED 300 LAT



Marian Strzelecki

POLSKA była i jest w tym szczęśliwym położeniu, że leżąc na skrzyżowaniu wielkiego szlaku komunikacyjnego między Wschodem i Zachodem, od wieków pełnymi rękami czerpie i przyswaja wartości kulturalne tych dwóch wielkich kręgów cywilizacyjnych, dwóch kontynentów. Będąc krajem par excellence europejskim, dzięki miejscu geograficznemu które zajmuje, mogła — a co więcej — umiała korzystać z wielkiego, często fascynującego dorobku kultur azjatyckich.

A zaczęło się aż w Persji! W tradycyjnym polskim stroju, tym który widzimy na scenach teatralnych, choćby tego lata na przedstawieniach „Strasznego Dworu” Moniuszki, z którym przyjechała do Belgii Opera Poznańska, mnóstwo jest elementów pochodzenia wschodniego. Kontusz, żupan, nawet „polska” szabla karabela — to wszystko przejęte wzory wschodnie. A ów, zdawałoby się, najcharakterystyczniejszy akcent staropolskiego stroju: pas słucki, wywodzi się prościutko z Persji.

Mógłby ktoś powiedzieć: cóż nas obchodzi pas z drogiej tkaniny, który nosili tylko panowie szlachta, raczej nawet tylko magnaci, w takiej był wysokiej cenie. Tak? A któż ten pas zrobił? Wyrobnik ze starej manufaktury, chłop pańszczyźniany czy ubogi plebejusz miejski? Dziś po wiekach pasy takie oglądamy w muzeach nie jako symbol wywyższania się strojem takiej czy innej warstwy, lecz jako klejnot sztuki i kultury narodowej i całego narodu własność stanowiącej.

Pierwsze pasy tego typu przywozili do Polski w XVII wieku kupcy ormiańscy. Niewielka była ich kolonia w dawnej Polsce, ale ciesząca się wielkim szacunkiem. Mężczyźni — doskonałi, rzetelni kupcy, wprędce dorobili się znacznych fortun, nabywali dobra, zajmowali wysokie nawet urzędy ziemskie.

Umiejętność wyrobu tkanin cienkich, trwałych i niezwykle kosztownych nazywana była w Polsce dawniej **persjarstwem**, ponieważ ten szczególny rodzaj tkactwa wzorowany jest właśnie na perskim. Odróżniano dwa rodzaje tkaniny: złotogłów i srebrnogłów, zależnie od tego, z jakiego metalu był cieńszy od włosa metalowy drucik oplatający podstawową nitkę. Złotogłów, srebrnogłów i jedwab stanowiły podstawowy surowiec najparad-



Pas „słucko-sopocki” — dzieło p. Strzeleckiego, przedmiot marzeń dla wielu

niejszych tkanin, z których szyto uroczyście stroje — delie i kontusze. Podobny był wyrób pasów tkanych. Szybko podjęto ich produkcję w Polsce, w manufakturach w Nieświeżu, Drzewicy, Sokołowie czy Przeworsku. Najśłynniejsza z nich mieściła się w Słucku i ona dała potoczną nazwę — pas słucki.

Właśnie ten pas to nie była prosta kopia perskich wzorów, lecz ich adaptacja, przetworzenie według rodzimych potrzeb i gustów. Dla historyka sztuki jest prawdziwą rozkoszą śledzenie, jak ornamenty pochodzenia perskiego zmieniały się pod ręką polskiego tkacza, jak nabierały własnego życia.

Sztuka tkania pasów słuckich trwała w najlepsze jeszcze w XVIII wieku, lecz prądy oświecenia wypierały szlachecki strój staropolski, który wkrótce stał się i był rzeczywiście symbolem konserwatywności i zacofania, noszony był przez tych przedstawicieli warstwy rządzącej w Polsce przedrozbiorowej, którzy opierali się reformom obozu postępowego. Z rozbiorami sztuka ta upadła i zaginęła zupełnie.

Urodził się w roku 1924, ukończył gdańską Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych w r. 1951, gdy jeszcze mieściła się w Sopocie. Dyplom uzyskał w roku 1955 z malarstwa i tkactwa artystycznego, a raczej ściślej trzeba powiedzieć — z malarstwa i tkactwa, bo tkactwo jest tylko jednym ze sposobów wyrabiania tkanin. Sopotowi pozostał wierny — tu mieszka w zbudowanej przez siebie willi wraz z żoną, panią Zulą, również malarką, która poza malowaniem obrazów zajmuje się gobelinarstwem, Pan Strzelecki jest znaną i barwną postacią Wybrzeża.

Otóż Marian Strzelecki ma swoją własną drogę dochodzenia do udziału w kulturze i sztuce współczesnej. Frapują go kultury stare, to, co stało się już klasycznym. Persjarstwo to przecież klasyka tkactwa artystycznego, zaaklimatyzowana w Polsce i zasymilowana całkowicie. Rzecz prosta, nie ma mowy o tym, by współczesny artysta naśladował dawne wzory. Może natomiast szukać w nich punktu wyjścia do własnych dzieł, może też posługiwać się dawnymi technikami.

Mowy nie ma o tym, by można było współcześnie odtworzyć złotogłów i srebrnogłów. Owszem, są rzadkie miejsca na świecie, gdzie wyrabia się złotolite i srebrnolite tkaniny. Na przykład w Syrii. Jeden jard czyli 91 centymetrów wąskiego, przetykanego metaliczną nicią syryjskiego brokatu kosztuje... minimum kilkadziesiąt dolarów. Oczywiście dla polskiego artysty nie tędy droga. Ale można zastosować technikę brokatową... I można dać wzór, tkaninę artystyczną najwyższej wartości. Wartości sztuki, która zawsze cenniejsza jest niż złoto.

W Polsce jego tkaniny dekoracyjne zdobią wnętrza większości zagranicznych ambasad w Warszawie, są w Pałacu Ostrojskich, gdzie mieści się Towarzystwo im. Fryderyka Szopena, są w reprezentacyjnych wnętrzach w warszawskim MDMie, w gabinetach ministrów, zabytkowych pałacach i zamkach po całej Polsce.

Zna jego prace Polonia. Wielka dekoracyjna tkanina Mariana Strzeleckiego otwierać będzie ekspozycję nowego Muzeum Polskiego w Chicago — będzie to wykonana wspólnie z panią Zulą brokatowa makata z herbami starych miast i miasteczek polskich. Gdy zaś przewodniczący Rady Państwa PRL Marian Spychalski składał w tym roku w Teheranie wizytę szachowi Iranu Reza Pahlavi, darem rządu polskiego dla szacha była brokatowa tkanina Strzeleckiego, o głównym motywie srebrnych orłów polskich od najdawniejszych piastowskich aż po ich dzisiejszy wzór. Tak po trzech wiekach Polacy zrewanżowali się Persom za sztukę tkania brokatów, której się trzydzieści lat temu od nich uczyli.



Makata brokatowa z orłem polskim, tak jak zmieniał się on w ciągu wieków

Dwa zajęcia państwa Strzeleckich: tworzenie tkanin artystycznych i hodowla psów



STANISŁAW PIGON

ZIARNO NA CHLEB DLA UBOGICH



Poniżej zamieszczamy fragment z ostatniej książki zmarłego niedawno wybitnego uczonego polskiego, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego i członka Polskiej Akademii Nauk, syna Ziemi Rzeszowskiej — Stanisława Pigonia. Książka zawiera urywki wspomnień z różnych okresów życia uczonego i nosi tytuł „Z przedziwa pamięci”. Przytoczony urywek wyjaśnia znaczenie słowa „pokłosie”. Autor nawiązuje przy tym pamięcią do swego wiejskiego dzieciństwa, kiedy to jako bosy chłopiec zbierał wraz ze swymi rówieśnikami kłosa zboża na polu uprzętnym już przez żniwiarzy. Ziarno z tych kłosów przeznaczone było na chleb dla ubogich. (red.)

ZIARNA zboża zebrane w pokłosiu są co do jakości takie same, jak i owe szcześliwsze, zebrane w pełnym żniwie; dojrzewały przecież na tym samym zagonnie, tyleż samo wymagały uprawy i trudu, teje same są też konsystencji. Pokłosie — to nie posład.

Żeby wyrozumieć, o co chodziło, trzeba się przyjrzyć uważniej wyrazowi „pokłosie”. Stał się on przysłowiowy, a więc do pewnego stopnia zdawkowy, osłuchany, wytarty; nie wywołuje już przed wybobrażeniem samej istoty rzeczy, właściwie jego znaczenie straciło swą dawną pełną wyrazistość. Dzisiaj pokłosia po żniwie już się zapewne nie zbiera i na ogół nie wiadomo chyba także, jak to się robi. Obawiam się, że zanika nawet sama postawa psychiczna, z której ów trud pokłosia w praktyce się wywodził. Wyrażała się zaś ona w poszanowaniu plonu choćby najdrobniejszego, osiągniętego rzetelnym trudem.

Czymś zwyczajnym była postawa ta w czasie i środowisku, z którego wyrosłem. W latach młodości zdarzało mi się widywać, jak gospodarz (wcale nie chałupnik, ale kmięć), zobaczywszy na swej ścięzce uroniony kłos czy ziarno fasoli podnosił je i ucałowawszy kładł do kieszeni. Ocalał przed zmarnowaniem, a zarazem jakby przeproszał za poniewierkę plon powszedniego, znojnego trudu.

Z takiej to postawy wyra- stał obowiązek zadbania o pokłosie.

W czasie żniwobrania, zwłaszcza w dniach posuchy, bywało dość często tak, że kłos ciężki ziarnem ułamywał się u samej nasady i spadał w podszycie rżyska. Był on tym samym narażony na zaturę. W snop nie dało się go wwiązać, wsunięty między trawistą ściernię nie dał się zająć grabiami, z wysoka trudno go było nawet dojrzeć. Znano tylko jeden sposób uratowania go: trzeba było schylić się po każdy z osobna. Trud niby niewielki, ale żmudny.

Przydzielano go dzieciom. Kiedy snopy zwieziono pod dach i łan zgrabiono, matka dawała nam koszyk i wysyłała „na kłóską”, po pokłosie. Dla malców nie było to zadanie łatwe. Młoda ostra ściernia raniła boscie stopy, grzbiet bolał od ustawicznego pochylania się, na palcach rąk wydrapujących z trawy krótkie ułomki robiły się zanokcice krwawiące i bolesne, słońce prażyło, a zagony nie przeszukane — jakby się wydłużały. Trud dobrze się da-

wał we znaki, ale nie godziło się marnować owocu pracy ludzkiej; oracza, siewcy, żniwiarza.

Wyzbierawszy potraczone kłosa samiśmy je suszyli, wybijali ziarna, odwiewali śmieci i plewy, a czysty plon odnosili matce. Meła go i starym prawem zwyczajowym piekła z tej maki osobne bocheneczki, którymi obdarzała ubogich chodzących po prośbie. Wystarczy sięgnąć do „Złotej gałęzi” Frazera, by się dowiedzieć, że w tym zwyczajku pobrzmiwa z odległych przedczasów idące, a dziś już ostatecznie zacinające echo pierwotnych przeświadczeń magicznych, i nabrać przekonania, że bocheneczki owe to dar składany Duchowi Zboża, którego zgłodzeni biedacy byli tylko rękodajnymi.

W ten sposób na żniwnym łanie mieścili się użytecznie wszyscy pracujący: i ten, co szerokim zamachem kosy kładł zagonami zboże „na ścianę”, i ci, co je po nim układali w pomieci czy wiązali w snopy, i ci, co na trudniejszych do zbioru polaciach uważnie podejmowali zboże sierpami, i ta wreszcie gromadka, co za nimi troskliwie i wytrwale wyszukiwała pogubione kłosa. W całym tym użętku ziarno było jednakże, jednakowo cenne, jednakim opłacone trudem. Wymiar tego trudu rolniczego, i jego społeczną użyteczność rozpoznawali w swym szczupłym zakresie własnym dziecięcym wysiłkiem. Bywało to niejedyn raz i pamiętało się długo.

TEN z domu wyniesiony szacunek dla rzetelnego mozołu, pracy — sic vos non vobis — nie dla siebie przecież był podjęwaną, nie wykretnej, ale najuczciwszej, tę w niej sumienność niewyrachowaną nauczyłem się uważać za wartość, za gwiazdę przewodnią życia, pragnąłem jej dochować wierność, a w ramach zawodu mego starałem się zobowiązywać do niej także innych. Z jakim skutkiem? Któż to może osądzić?

We własnej też praktyce naukowej starałem się nie żywić obojętności dla żadnego kłosa, nawet dla jego ułomka, choćby niepozornego, z chęcią schylałem się po każdy napotkany. Nie chciałem tracić z uwagi i pamięci tego bochenka, na który złożyła się kiedyś uzbierane drobne ziarno i który komuś potrzebu- jącemu może się kiedyś przydać. Miałem to sobie za powinność w stosunku do całego rozległego łanu naszej pracy dziejowej, nikomu przecież nieobojętnego.

Tygodnikowa
GAWĘDA▼ O polskiej turystyce w ogóle,
a górskiej w szczególności

LATO. Urlopy. Coraz więcej ludzi w Polsce lubi spędzać je nie na jednym miejscu. A więc — turystyka. Krajowa i zagraniczna. Dziś parę słów o zagranicznej.

Oczywiście turystyka zagraniczna rozwija się najwydatniej z krajami sąsiadującymi dla prostego powodu: bliżej, a więc taniej i więcej ludzi może sobie pozwolić na wyjazd. Lubi ludzi w Polsce jeździć i chodzić za granicę, popatrzeć, jak to jest za rubieżą. Trzech głównych partnerów wymiany turystycznej ma Polska: ZSRR, Czechosłowację i NRD. Oto, jak kształtował się ruch turystyczny Polski z tymi krajami w latach ostatnich:

wyjazdy z Polski	1960	1965	1967	1968
do ZSRR	14024	96197	185178	182997
do Czechosłowacji	71748	307670	204026	93732
do NRD	31095	128720	203563	162969

Ogółem liczba polskich turystów, którzy w tych latach wyjeżdżają za granicę, przedstawiała się jak następuje:

	1960	1965	1967	1968
w tym do krajów socjalistycznych	175058	702730	833798	635710
do pozostałych krajów	41382	75712	96631	92376

Z krajów zachodnich najwięcej obywateli polskich w tym czasie zwiedziło Francję i W. Brytanię:

	1960	1965	1967	1968
Francja	7086	13084	17456	16093
W. Brytania:	5410	10713	13735	13383

Ponieważ w dalszym ciągu opowiem tym razem o sprawach wymiany turystycznej z Czechosłowacją, chciałbym w tym miejscu uzupełnić te dane statystyczne jeszcze liczbami dotyczącymi przyjazdów południowych sąsiadów do Polski. Kształtowały się one jak następuje:

	1960	1965	1967	1968
Ogółem przyjechało do Polski cudzoziemców	183970	1162877	1573386	1983364
w tym z Czechosłowacji	51780	355774	443975	467534

Jak wynika z tych danych, między rokiem 1960 a 1965 nastąpił poważny wzrost wymiany turystycznej z różnymi krajami, setki tysięcy obywateli polskich wyjeżdża co roku za granicę, a jeszcze więcej obywateli innych państw odwiedza Polskę. Jeżeli chodzi o wymianę turystyczną z Czechosłowacją, obie strony podpisały konwencję turystyczną, która umożliwia bezwielkich formalności obywatelom obu państw zwiedzanie leżących w pobliżu granic państwowych terenów sąsiada, na podstawie tzw. wkładki do dowodu osobistego, którą dostaje się za parę złotych w milicji. Stąd też tak dużo wzajemnych wizyt. W ubiegłym roku spadła ilość wyjazdów Polaków do Czechosłowacji, zapewne ze względu na wydarzenia w tym kraju, sądzić należy jednak, że w roku bieżącym ponownie wzrosła. Natomiast mimo wszystko wzrosła ilość przyjazdów turystycznych Czechów i Słowaków do Polski, jak wynika z powyższej tabeli — z 443975 w roku 1967 do 467543 w roku ubiegłym.

Konwencja turystyczna z Czechosłowacją istniała jeszcze przed wojną, była jednak ograniczona jedynie do wąskiego pasma Wysokich Tatr. Obecnie istnieje pięć obszarów turystycznych, na których dokonuje się „konwencyjna” wymiana:

1. Obszar Dukli: po stronie słowackiej jest to teren od Przełęczy Dukielskiej do Piśanej lub Havrańca.

Przełęcz Dukielska jest to najniższa przełęcz w głównym grzbiecie Karpat. Poza pięknym przyrodą są tu dodatkowe atrakcje turystyczne w wyniku wydarzeń z czasów ostatniej wojny: 25 lat temu, we wrześniu 1944 roku Czechosłowacki Korpus, wchodzący w skład 38 armii radzieckiej, przeszedł tędy wraz z wojskami radzieckimi po hitlerowskich grzbiecach na teren Czechosłowacji. Polscy turyści idący tą trasą zwiedzają po drodze stanowiska I i III brygady czechosłowackiej, zatrzymują się przy pomniku dukielskim i cmentarzu poległych bojowników wolności. Po polskiej stronie obszar turystyczny wiedzie wzdłuż drogi od przełęczy przez Barwinek Lipowiec do Dukli i jej okolic.

2. Klasyczny turystyczny obszar Tatr wiedzie po stronie słowackiej drogą do Bobrowa i do słynnych Demanowskich Jaskiń. Trasa Liptovsky Hradok, Smokovec, Tatranska Lomnica do Starej Vsi Cervenego Kláštoru znana jest dobrze polskim turystom.

Po stronie polskiej czekają tu turyści czechosłowackich jeszcze dodatkowe atrakcje; nie tylko Wysokie Tatry, lecz i nawet dalekie od nich tereny objęte są konwencją turystyczną: mogą więc sobie turyści wybrać się trasą przez Nowy Targ, Wieliczkę (Kopalnia soli!), Myślenice do Krakowa lub, również przez Nowy Targ, Myślenice, Wadowice, Zator do Państwowego Muzeum w Oświęcimiu i zwiedzić tam tereny największego hitlerowskiego obozu śmierci, w którym zginęło również wielu obywateli czechosłowackich.

Obszar turystyczny Kłodzka, trzeci już więc, jest jednostronny, dla obywateli Czechosłowacji. Natomiast po Karkonoszach wędrują turyści z obu stron, podobnie jak i Droga Przyjaźni. Tak nazwano turystyczny szlak, wiodący grzbietem Karkonoszy, gdzie z jednej strony jest Słowacja, z drugiej Polska. Droga Przyjaźni, chętnie odwiedzana przez ludzi, dla których szlak tatrzański jest może zbyt wyczerpujący, choć lubią „garbatą górską przyrodę”, ma jeszcze dodatkową zaletę: tu nie wymaga się nawet wkładki do dowodu osobistego, wystarczy po prostu mieć dowód, a uczniom wystarczy nawet legitymacja szkolna, by móc ruszyć na tę ładną wycieczkę.

Można ruszyć na „konwencyjną wymianę” na własną rękę, można też za pośrednictwem biur turystycznych, które wówczas załatwią wszystkie formalności, z wkładką paszportową, wymianą pieniędzy i noclegami „po drugiej stronie” włącznie. Można wybrać się pieszo, można na „kółkach” (jeśli się je ma), można też i autokarami biur podróży.

Konwencyjna wymiana turystyczna ma wielu zwolenników. Oto dane porównawcze z ubiegłych lat, obejmujące turystów z obu stron, którzy przekraczali granicę polską względnie czechosłowacką, właśnie na podstawie konwencji:

	1960	1965	1967	1968
do Polski	18776	203385	191965	160190
do Czechosłowacji	45596	253263	154419	54072

Wymiana turystyczna między obu bratnimi krajami będzie się z pewnością rozwijała nadal. Spotkania polsko-czeskie i polsko-słowackie np. na trasach tatrzańskich (miałem wiele takich spotkań) nacechowane są serdecznością i przyjaźnią. Każdy mówi swoim językiem, ale jest i wspólny język.

MARIAN

HOTEL OPERA - LAFAYETTE
RESTAURANT

CATEGORIE **A

Dyrekcja: Zenon LUBINSKI

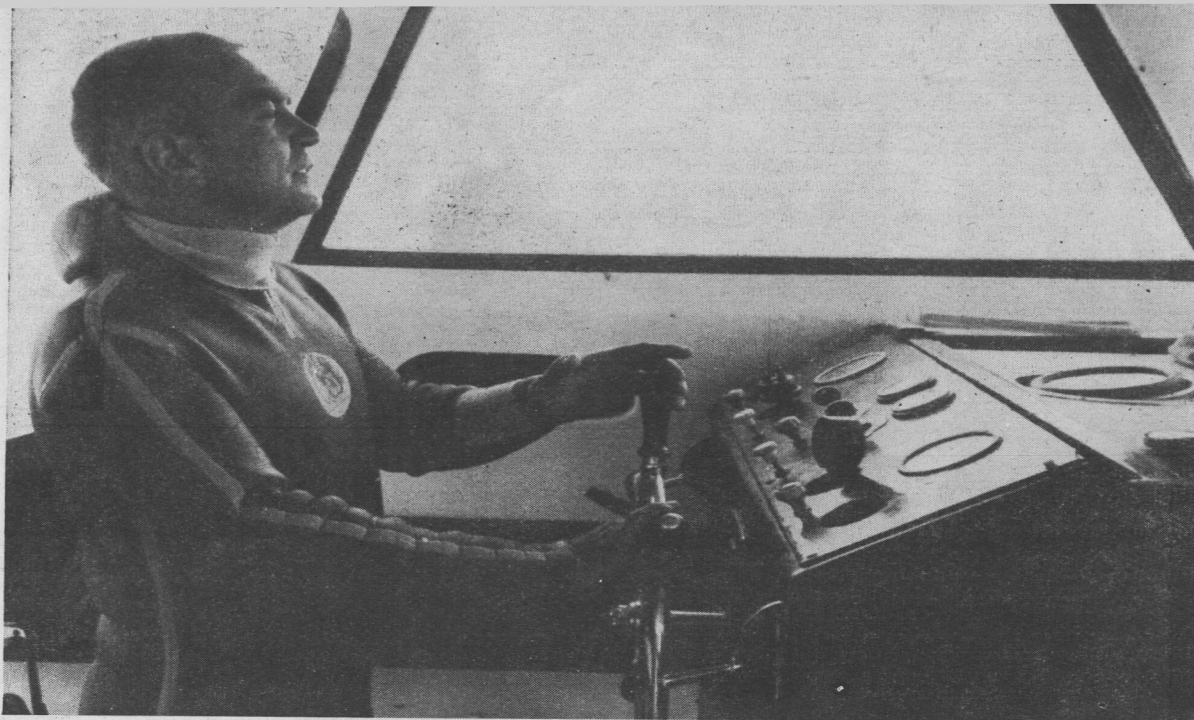
80, rue Lafayette-PARIS 9-ème

Métro: CADET lub POISSONNIERE

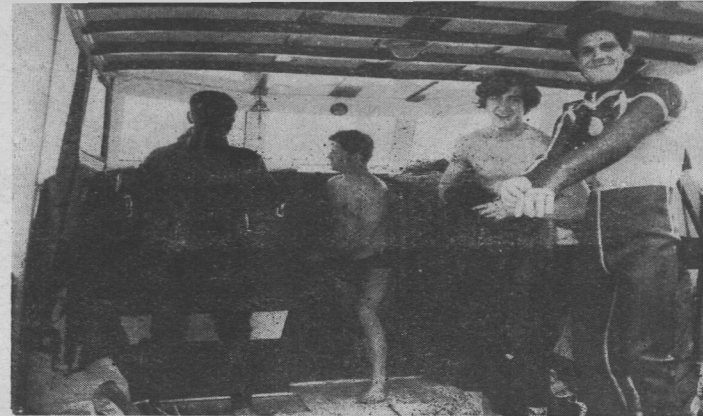
Téléfon: 770-43-43 824-41-50

(Face Square MONTHOLON)

Mówi się po francusku oraz po polsku, angielsku, niemiecku, hiszpańsku, rosyjsku i włosku



Wypływamy z portu. Każdy członek ekipy obejmuje wyznaczone stanowisko. Przy sterach p. Winowski



Po zakotwiczeniu łodzi ekipa ubiera się w kostiumy pletwonurków i przygotowuje do nurkowania.

„Spondyle-Club”
W
Juan-les-Pins



W butli tej znajduje się 2100 litrów powietrza sprężonego pod ciśnieniem 180 atmosfer. Pozwoli ono na oddychanie około 25 minut pod wodą

Rekinów tu wprowadzić nie ma, ale czasami zaplątać się można w grube wodorosty. Każdy pletwonurek musi mieć więc ze sobą ostry sztylet



WŚRÓD PŁETWONURKÓW NA MORZU ŚRODZIEMNYM

NURKOWANIE podmerskie staje się dzisiaj jednym z najmłodniejszych sportów. W małych portach na wybrzeżu Morza Śródziemnego spotyka się coraz częściej ludzi odjeżdżających motorówkami z ekwipunkiem pletwonurków. Czarne obcisłe kostiumy z gąbczastej gumy, okulary i maski, butle ze sprężonym powietrzem, długie płetwy przypinane do stóp (tzw. palmy) — razem 35 kg wagi — wszystko to sprawia na człowieku dość niezwykle wrażenie, ale nie jest już dzisiaj niczym niezwykłym.

P. Raymond Winowski, o którego ciekawej pracy przy fabrykacji szkła artystycznego pisaliśmy już w „Tygodniku”, jest zamiłowanym pletwonurkiem. Po długich godzinach spędzanych przy ognisku pieców hutniczych w Biot, pogrąża się z przyjemnością w otchłaniach świeżej wody morskiej. Wraz z całą ekipą amatorów tego oryginalnego sportu, zrzeszonych w „Spondyle-Club” w Juan-les-Pins (nazwa wzięta od skorupiaka spotykanego często w tym rejonie Morza Śródziemnego), odbywa dwa razy w tygodniu przez cały letni sezon seanse podwodnego nurkowania.

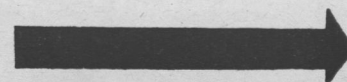
„Spondyle-Club”, którego kierownikiem jest **p. Mercier** — instruktor stopnia ogólnokrajowego — zrzesza obecnie 250 członków. 110 spośród nich posiada dyplomy nurków (brevet de plongeur), a nowi kandydaci zasilają nieustannie szeregi klubu.

Z nurkowaniem wiążą się możliwości podmerskich badań archeologicznych. Nad zatoką **Antibes** wznosiło się w IV wieku przed naszą erą miasto greckie i dno morza w całej zatoce usiane jest przedmiotami pochodzącymi z zatopionych starożytnych statków.

Spotyka się nawet i całe statki, czasami dobrze jeszcze zachowane. Badania archeologiczne dna morskiego odbywają się dzisiaj systematycznie, według ustalonego planu. Wyniki ich są okazale i zbiory Muzeum Archeologicznego w Antibes wzbogacają się dość często o coraz nowe okazy.

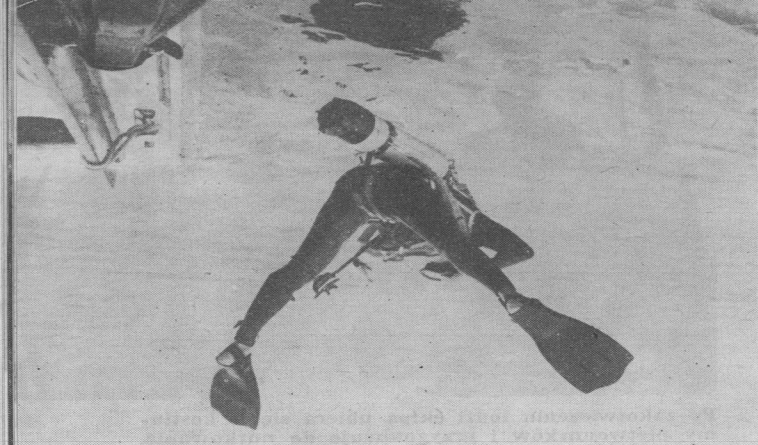
P. Raymond Winowski, nasz Rodak z Biot, bierze w tych pracach czynny udział. Wraz ze swymi przyjaciółmi bada dokładnie, kawałek za kawałkiem, dno morza, na którym spoczywają fragmenty statków, potłuczone amfory i inne przedmioty, liczące sobie około dwóch i pół tysiąca lat. Szczęście im na ogół dopisuje. Znajdują sporo, a nawet raz, zupełnie przypadkiem, wyłowili wielką, pięknie zachowaną amforę etruską z IV wieku przed naszą erą.

Znaleziska tego rodzaju pobudzają oczywiście ambicję nurków i zachęcają ich do coraz nowych wysiłków. W ten sposób sport, do niedawna jeszcze zupełnie nie znany, nabiera charakteru niezwykle ciekawej i cennej aktywności, która przynosi wartościowe zdobycze dla wiedzy o starożytnych dziejach basenu Morza Śródziemnego.



Łódź (amerykańska Vedette) pozostaje w stałym kontakcie z portem za pomocą tzw. talkie-walkie





Obeznaní doskonale z techniką nurkowania „Spondyle” — klubowcy nie boją się nawet takich trudnych akrobacji



Kierownik grupy pan Mercier ma w swym różnorodnym ekwipunku zegarek wodoszczelny i głębokościomierz także

WŚRÓD PŁETWO- NURKÓW



Członkowie ekipy skaczą kolejno do wody. Pozostaną tam ok. 25 min., dopóki starczy zapasu powietrza

Przed zanurzeniem się na głębokość 30 m dają sobie umowny znak: „O”, tzn. wszystko w porządku

FOTO: WŁADYSŁAW SŁAWNY

Pływając płytko pod wodą nurek oddycha przez rurkę, która wystaje ponad powierzchnię wody





Do ekwipunku dodać można gumowy kołnierz, połączony rurką z butlą. Gdy napełni się go powietrzem, nurek z łatwością wypływa na powierzchnię



Ta amfora z IV w. przed n.e. wyłowiona została przez nurków „Spondyle-Club”. W zatoce Antibes jest wiele zatopionych skarbów sprzed 2,5 tysiąca lat

La Pêche sous-marine est devenue un sport d'été parmi les plus populaires. D'ailleurs, il ne s'agit pas uniquement de pêcher car ce que recherche l'amateur de voyages sous l'eau, c'est surtout le silence absolu et des découvertes extraordinaires. C'est pourquoi notre compatriote de Biot, M. Raymond Winowski, aime passer quelques moments agréables près d'Antibes, au sein du „Spondyle-Club” de Juan-les-Pins dirigé par M. Marcier. M. Winowski apprécie d'autant plus la fraîcheur de l'eau et le grand silence de la mer qu'il travaille dans les bruyantes et suffocantes fonderies de sa ville.



Trudno opisać piękno widoków, jakie ogląda się w głębinach morza i na dnie — zachwyca się p. R. Winowski

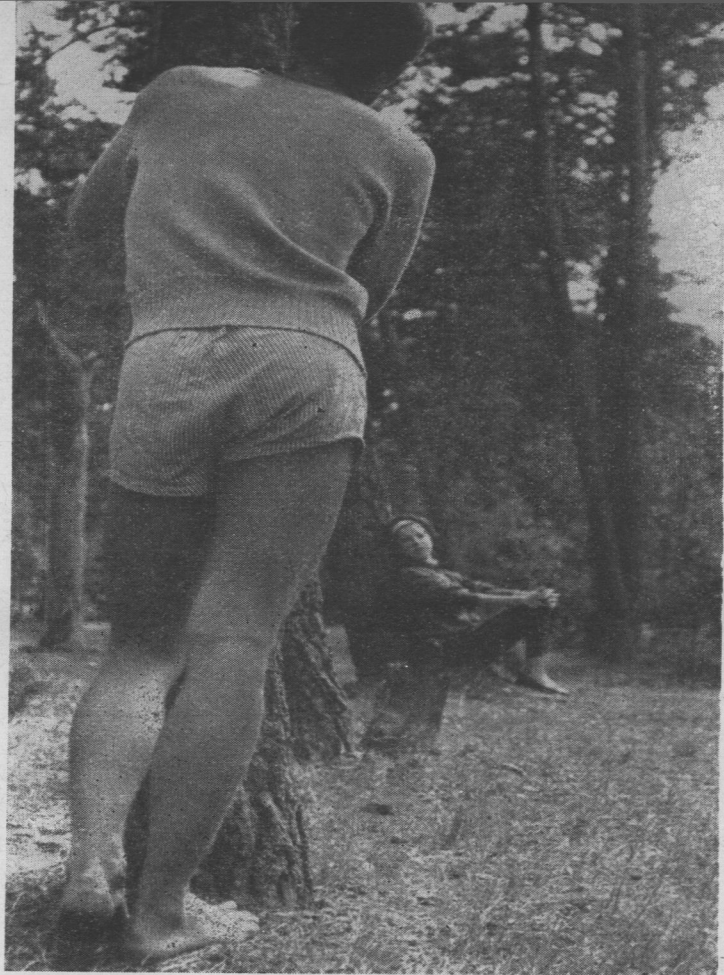


Na dnie morza znaleźć można gałazki koralu, spondyle i inne prehistoryczne skorupiaki, za którymi uganiają się liczni turyści na Côte d'Azur

Wiek dozwolony dla pletwonurka: od 16 do 40 lat. Średnia wieku w „Spondyle-Club” wynosi dwadzieścia pięć lat

Po powrocie na pokład najpierw trzeba nieco odpocząć, potem podzielić się ze współtowarzyszami klubowymi bogatymi wrażeniami, a następnie sporządzić protokół z penetracji głębin morskich

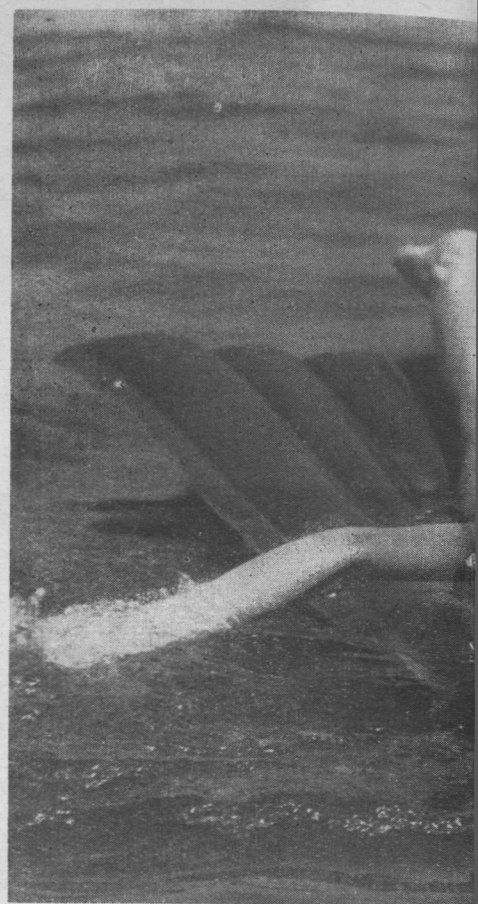




Czekałam na Ciebie...



Chodź! Umiem pięknie żeglować!



Znaleźli szczęście w koszu



LUD I UP

BIOLOGICZNIE człowiek jest ssakiem, i do tego takim, które chciałoby żyć — stosownie do życzenia — w wodzie, w chłodzie, w słońcu, na wysokościach, w powietrzu, w głębinach morza, a ostatnio także w kosmosie. Mamy w sobie coś takiego, co zmusza nas do przystosowania się do wszelkich warunków.

Nawet w czasie największych upałów pozostajemy jednak sobą. Najczęściej zabieramy ze sobą domowe przyzwyczajenia. Razem z wystawianymi na słońce zapasami tłuszczu, chwytamy za karty i próbujemy gry ze swą małżonką. W co gramy? Nie wiadomo, ale reporter podpatrzył dobrze.

Nawet noga w gipsie nie przeszkadza. Na pewno gorąco pod twardym opatrunkiem, ale cóż poradzić, skoro lekarze po złożeniu złamanych kostek przepisali długie pauzowanie. Jednak to niemożliwe, by siedzieć w domu, gdy ONA zamierza iść na plażę. Może wybierze innego, bardziej opalonego, któremu gips nie będzie ciężki na nodze?

☆

Najczęściej szukamy natury wtedy, gdy jest gorąco. Zimą chcielibyśmy siedzieć w domu, jak borsuki w jamie. Lato jest okresem kontaktu z przyrodą tylko trudno doprawdy zrozumieć, dlaczego wybieramy taką rozrywkę — w wielkich zespołach, a właściwie rojowiskach?

Każda plaża jest przecież rojowiskiem. Setki tysięcy ciał wystawionych na słońce. Człowiek jedzie zatłoczoną autostradą, wdycha dym spalin benzynowych, męczy się jazdą w pudle rozgrzanego wozu, a później zrzuca z siebie wszystko, no nie zawsze: tyle tylko, ile można — by być z naturą w najbliższym kontakcie.

Cywilizacja jest piękna, jest bardzo piękna, ale nas — ludzi — jest, jak się zdaje, nieco za dużo. Roimy się jak



Pływam, jak żabka



Przyjaciel nie został w domu



Co za szczęście — z mamą na plaży



Noga w gipsie, żadna przeszkoda



Szuka piękna w ruchu

OZIE AŁY

Plaża jest dla wszystkich

mrówki w wielkich miastach przez cały rok, a gdy nadchodzą upały — roimy się na plażach. Najczęściej zamiast zawarcia prawdziwego kontaktu z naturą, zawieramy kontakty ze sobą. W lesie, w koszu na plaży. Nawet bowiem najbardziej surowa cywilizacja nie zburzy największego pragnienia człowieka: miłości.

Człowiek pragnie być kochany, i ten rodzaju żeńskiego, i ten rodzaju męskiego. Czasem na plaży cienie rzucają domyślne obrazy na białej osłonie z płótna, czasem widzimy kogoś, kto nagle, z nie znanych nam przyczyn, zaczął się bardziej podobać niż któkolwiek inny.

Takie bowiem jest życie. C'est la vie!

✱

Dopiero później przychodzi coś innego: piękne, zgrabne ciało obrasta warstwami zbytecznego tłuszczu lub fałdzi się niepotrzebnie, a na plażę w największy upał ciągnie, bo pragnie się słońca. Jak długo jeszcze?

Nasza cywilizacja, nasz piękny wspomniały świat potrafi dostarczać samoloty, samochody, wspaniałe włókna z węgla, ropy, siarki i czegoś tam jeszcze; nasza cywilizacja, która potrafi z ropy naftowej preparować paszę dla świnek — równocześnie niszczy coś niepowtarzalnego na naszej ziemi: prawdziwą przyrodę, której człowiek nie przestał kochać, choć tak niedobrze się z nią obchodzi.

To smutne myśli, które nadchodzą, gdy upał. Może właśnie dlatego warto korzystać z plaży, póki ropa nie zaleje piasku nad Atlantykiem po jakiejś kolejnej katastrofie tankowca, póki są ryby w naszych rzekach i jeziorach, póki ptaki jeszcze latają w powietrzu.

A może człowiek pomyśli, że jednak ten prawdziwy, piękny świat trzeba mimo wszystko zachować?

FOTO: ANDRZEJ WIERNICKI





Mewy żegnały oddalający się konwój

○ DPLYWALI pozostawiając poza sobą smutne wraki zatopionych statków, których maszty sterczały nad falami. Była to pozostałość po ostatnim nalocie Luftwaffe. Z każdą minutą horyzont ciemniał, a kontury wysepek znikły w oddaleniu. Dowódca „Lisette” chcąc oderwać załogę od ponurych myśli zarządził pogotowie przeciwpożarowe, a następnie alarm przeciwlotniczy. Ze wszystkich zakamarków zaczęto wywłóczyć pompy, gaśnice, aparaty tlenowe, a „gunnerzy”, czyli strzelcy, klnąc ile wlezie, biegali tam i z powrotem do swoich cekaemów i działka przeciwlotniczego sterującego na rufie. Biegania i zamieszanie spowodowało interwencję kapitana sąsiedniego statku, płynącego opodal, który zaniepokojony kazał podać sygnał:

— Co tam się u was dzieje?!...

— Dobrze mu żartować — mruknął spoza gęstej brody Gaston la Roque, dowódca „Lisette”. — Gdyby miał taką załogę, jak moja, to chyba płakałby z żalu nad statkiem i nad sobą. Jeden „galley-boy” — kuchcik okrętowy jest zadatkami na marynarza, a reszta, to zbieranina!...

Gaston la Roque trochę przesadzał, niemniej jednak załoga „Lisette” nie zaliczała się do najlepszych. Francuscy marynarze, którzy przyprowadzili „Lisette” do Anglii, zesłali z pokładu po głośnym incydencie w Oranie.

Przypominając to sobie kapitan ciężko westchnął. I dla niego była to straszna chwila, kiedy dowiedział się, że okręty brytyjskie zatopiły w Mers el-Kébir pod Oranem francuski pancernik „Bretagne”, a pancerniki „Provence” i „Dunkerque” ciężko uszkodziły. Ale rozumiał, że Anglicy nie mieli innego wyjścia. Po klęsce i francusko-niemieckim zawieszeniu broni obawiali się, że flota ich niedawnego sojusznika może wpaść w ręce wroga i przeważać szalę wojny na morzu na korzyść hitlerowców. Dowódca francuskiej eskadry w Oranie, wiceadmirał Gensoul, odrzucił propozycje brytyjskie, aby jego okręty przyłączyły się do sił morskich narodów sprzymierzonych lub popłynęły do portów w Indiach Zachodnich i tam pozostały do zakończenia wojny.

Widocznie nie wierzył w zwycięstwo aliantów i w słowa gen. de Gaulle’a, który wzywał swych ziomków do walki o honor Francji.

On, Gaston la Roque, wierzył i dlatego przyprowadził swój statek do portu brytyjskiego. Chciał utrzymać na „Lisette” francuską banderę i po zejściu z pokładu jej dawnej załogi musiał skompletować nową. Stąd miał teraz na swoim statku Hindusów i Chińczyków, z którymi z trudem mógł się porozumieć, a nawet jednego Polaka, zamustrowanego jako „galley-boya” —

lić? — pomyślał — aby w razie czego mógł zastąpić kogoś z obsługi. Lepiej nadaje się do tego aniżeli Hindusi czy Chińczycy!

Chłopiec tak szybko opanował obsługę działka i cekaemów, że zadowolony kapitan spojrzawszy na przydzielonych mu w charakterze „gunnerów” obieżyświatów, węszących po statku za alkoholem, i półżartem powiedział:

— Pamiętaj Pierre, jak oni się wystraszą albo będą pijani, to my dwaj bronimy statku!...

Pierre, czyli Piotrek Zaremba, kiwnął poważnie głową i zapewnił kapitana, że go nie zawiedzie.

— Jestem tego pewny — uśmiechnął się dowódca — Francuzi i Polacy zawsze mogą liczyć na siebie. Tak było za Napoleona i tak jest do dzisiaj.

Rozmowę ich przerwało pojawienie się flag sygnałowych na najbliższym statku.

Na horyzoncie widać było sylwetki statków zbierających się w konwój. Były różnego kształtu i wielkości zbiornikowce, duże frachtowce i jakieś mniejsze statki, które chyba więcej naddawały się do pływania na przybrzeżnych wodach aniżeli na pełnym morzu.

Prowadzący konwój „komodor”, wielki frachtowiec z flagą na przednim maszcie, wysunął się na czoło, a płynące statki zaczęły ustawiać się za nim. Nie obyło się bez zamieszania, w którym „Lisette” miała swój skromny udział. Ale interwencja „komodora” konwoju i pomoc okrętów eskortujących szybko zlikwidowały „nieporozumienie” i powiewające flagami sygnałowymi statki uformowały się w wielką kwadratową kolumnę.

„Lisette” płynęła w prawoskrzydłowej kolumnie na przedostatnim miejscu. Z lewej burty znajdował się konwój, a z prawej było morze i pustka. Było to zrozumiałe, że statki, które

Przez pierwszych kilka godzin nie mieli chwili spokoju.

Podniósł się wiatr i rozkołysało się morze.

„Lisette” przewalała się z burty na burtę. Ponadto była stakiem na którym ciągle coś się psuło, urywało i tłu-kło.

La Roque tkwił na pomoście, z którego co jakiś czas zbiegał na pokład i zapędzał kryjących się w zakamarkach ludzi do roboty. Potem wracał na pomost, aby wykonywać rozkazy nadawane sygnałami przez „komodora” i wysłał całą swą wiedzę żeglarską, aby utrzymać statek na wyznaczonym mu miejscu w konwoju.

Po czterech godzinach na pomost wszedł pierwszy oficer, który miał po nim objąć wachtę. La Roque przekazał mu ją, lecz został na pomoście. Chciał zobaczyć, jak jego zastępca będzie sobie dawał radę z manewrowaniem w bliskim sąsiedztwie tak wielu statków.

Morze było coraz bardziej burzliwe i niespokojne. Płynące w konwoju statki z trudem utrzymywały się w szyku i idąc pod fale nabierały dziobami całej tony wody, która przewalała się po pokładzie.

Wiatr, niesiony z północy, wył w takielunkach i nadbudówkach.

Fale, wciąż olbrzymie, stawały się coraz krótsze i rzucały statkami, które wlatywały na szczyty białych grzywaczy i spadały w wielkie przepaście wody. Ostry mróz coraz silniej dawał się we znaki ludziom pełniącym służbę na pokładzie.

Zbliżał się wieczór. Przepływający obok „Lisette” niszczyciel z eskorty przypomniał im bliskim sygnałom o zaciemnieniu statku.

Kapitan zszedł z pomostu, aby dopilnować pozakrywania brezentem wszystkich wejść i luków.

Potem zszedł na dół do kabin załogi.

Pod pokładem nieopisany chaos. Hamaki wylatują ze schowków, naczynia i taborety fruują w powietrzu, ludzie koziolkują po podłodze, na próżno starając się uchwycić równowagę. Większość załogi nie wytrzymuje hustania i zaczyna chorować. Ze wszystkich stron słychać jęki, przekleństwa i narzekania.

Nad ranem wszystkie statki przypominają lukrowane zabawki.

Rozbryzgi wody, ochlapujące statki, zamieniły się pod wpływem mrozu w grube wiaty lodu pokrywające wszystko szklistą, białą powłoką.

Ledwo utrzymujący się w szyku konwój przekracza linię koła podbiegunowego i spotyka dodatkowe okręty osłony.

W parę godzin później zarządził alarm.

Pierre wypadł na pokład. Dojrzał na mostku kapitana i odwrócił się w stronę, w której bliski ognia zwiastowały nieprzyjaciela.

Nagle, w samym środku konwoju wystrzelił wysoki słup ognia i rozległ się przygłuszony odgłos detonacji.

Po chwili drugi wybuch — bliżej.

Strzępy poszarpanego torpeda statku fruują w powietrzu.

WŁADYSŁAW KISIELEWSKI

BANDERA W GÓRĘ

kuchcika okrętowego. Kapitan wiedział, że chłopiec dodaje sobie lat, aby uchodzić za starszego, ale przeszedł nad tym do porządku dziennego. Zwłaszcza że uważał go za dobrego nabYTEK. Chłopiec był bardzo pojętny ponad wiek rozwinięty i silny, mówił nieźle po angielsku i trochę po francusku. Widać było, że już trochę pływał. Prawdopodobnie na jachtach, ale znał się na żeglarstwie i na „Lisette” lepiej dawał sobie radę niż inni zwerbowani przez kapitana marynarze.

Obserwując chłopca Gaston la Roque zauważył, że interesuje go działko i karabiny maszynowe zamontowane na ich statku.

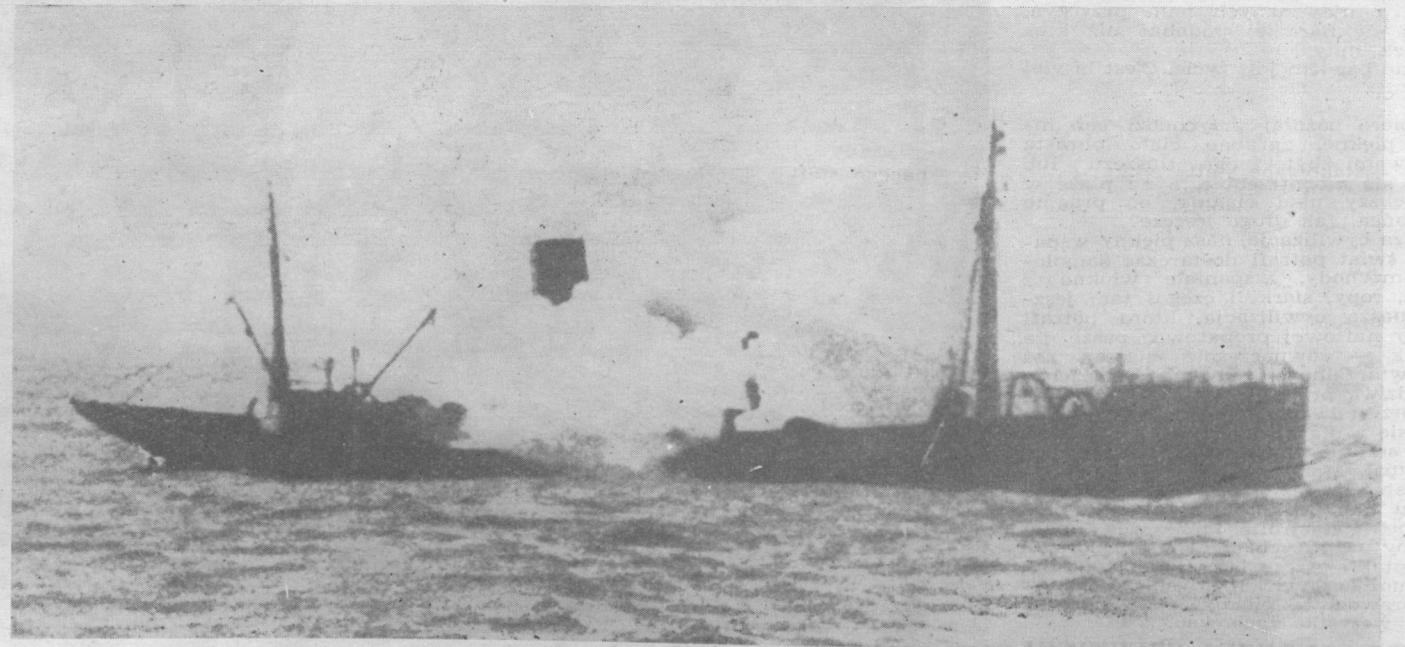
— Może warto go trochę podszko-

wiąz najcenniejszy ładunek, jak: samoloty, czołgi, amunicję i ropę, zajmują najbezpieczniejsze miejsce — w środku konwoju. Natomiast statki mające na pokładach mniej cenne towary płyną z boku, narażone na pierwsze uderzenie.

Osiłona konwoju, złożona z dwóch niszczycieli i korwet, była stosunkowo silna. Wszyscy wiedzieli o tym, że trasa do Murmańska jest bardzo niebezpieczna i z poprzedniego konwoju tylko część statków dotarła na miejsce przeznaczenia.

— Podobno Niemcy zwiększyli ilość dywizjonów lotniczych stacjonujących w Norwegii, a „U-boty”, niemieckie okręty podwodne, krążą na wodach północnych całymi stadami — słychać było szepty różnojęzycznej załogi „Lisette”. — Jeżeli jeszcze wyjdą na nas ich jednostki nawodne, to koniec!...

Dostał frachtowiec, który odbił od konwoju i próbował samotnej ucieczki



Słychać wybuchy min głębinowych i huk działek.

Szalonym pędem nadpływa ku nim korweta osłony i wyrzuca bomby głębinowe.

Eksplodze wstrząsają ich statkiem, który zatacza się jak pijany.

Po jakimś czasie huk i cichną i następuje odwołanie alarmu.

NADCHODZI NOC. Ciemności i silna fala utrudniają atak „U-botów”, ale brzegi Norwegii są coraz bliższe i może już niedługo będą musieli odpierać atak niemieckich bombowców.

Zjawily się nad ranem.

Na maszcie sygnałowym widać flagę oznajmującą nalot.

Dźwięki klaksonów alarmowych i tupot nóg na pokładzie.

Obsługa działka i cekaemów „Lisette” nie widzi jeszcze nadlatujących samolotów, ale wie, że nadchodzą. Sygnalizują je coraz bliższe skrzyżowania pocisków świetlnych, które wystrzelwane z różnych statków zbiegają się w jednym punkcie.

— Są! — słychać okrzyk Piotrka, zastępującego jednego z członków obsady działka, który powalony chorobą pozostał pod pokładem.

Na skraju konwoju ukazuje się sylwetka niemieckiego bombowca. Cały ogień obrony koncentruje się na nim. Bombowiec obramowany pociskami świetlnymi zbliża się ku „Lisette”, zrzucając bomby do morza i zamieniony w gorejący pochodnię wali się do wody.

To niszczyciel z osłony zmiotł go z powietrza celną salwą. „Lisette” jest przedwczesna, bo z tyłu nadchodzi drugi atak. „Heinkle 111” uzbrojone w torpedy. Lecą w półkolistym szyku i zalamują kął lotu nurkując w stronę statków pozbawionych osłony, bo niszczyciel i korwety odpierają atak z drugiej strony konwoju.

Załoga jednego z okrętów eskorty dostrzegła nadlatujące „Heinkle” i zwraca gnając co sił na odsiecz atakowanym statkiem. Słychać łoskot dział armatnich bijących salwami. Wybuchła jedna z torped wyrzucanych przez „Heinkla”. Błyski strzelających dział mieszają się z rozpryskami rakiet pękających w górze. Potworny zgiełk kotłujący się nad konwojem osiąga szczyt kulminacyjny. Jeden z „Heinkli” przeszedł bezkarnie przez zaporę ogniową i w płytkim locie nurkowym idzie wprost na statki płynące w tyle konwoju. Dwa bronią się rozpaczliwie. Trzeci, prawdopodobnie Norweg, zostaje zaskoczony podczas wykonywania skrętu uniemożliwiającego załodze otwarcie ognia obronnego. „Heinkel” spadł jak jastrząb na bezbronnego Norwega, zapominając o „Lisette” płynącej opodal, której szybkostrzelne działko zanosilo się od jaszgotu, szarpając taśmę pocisków gonących się tuż nad wodą w szaleńczym pędzie do mety, którą był bombowiec niemiecki. Trafiony celnym pociskiem „Heinkel” zatoczył się w powietrzu, błysnął ogniem i runął do morza. Z mostku kapitańskiego słychać triumfalny krzyk dowódcy „Lisette”. Na maszcie obronnego Norwega ukazują się dziekcyjne sygnały.

— Ale to jeszcze nie koniec!...

Na horyzoncie zjawia się cała sfera nurkowców „Ju-87”. Lecą długą linią i kręcąc półboczki zwalają się na skrzydła, spadają na wybrane cele.

Tylko ludzie o stalowych nerwach mogą wytrzymać ich atak i nie zalać się widząc rosnące w celownikach sylwetki samolotów, które z przeraźliwym wyciem lecą wprost na nich.

Ze wszystkich stron słychać gwałtowny jazgot szybkostrzelnych działek i ciężkich karabinów maszynowych. Pojedyncze strzały zlewają się w jeden bezustanny łoskot.

Atakowane statki znikają w gęstwinie dymu i fontannach wody wzniesionych podmuchem bomb spadających do morza. Woda ochlapuje celowniki i oślepia załogi działek. Jedna z bomb trafia płynący w środku konwoju statek z amunicją. Wyrzucone w powietrze szczątki statku z pluskiem wpadają do morza. Potężna pomarańczowa łuna rozjaśnia widmowym blaskiem konwój i całe niebo.

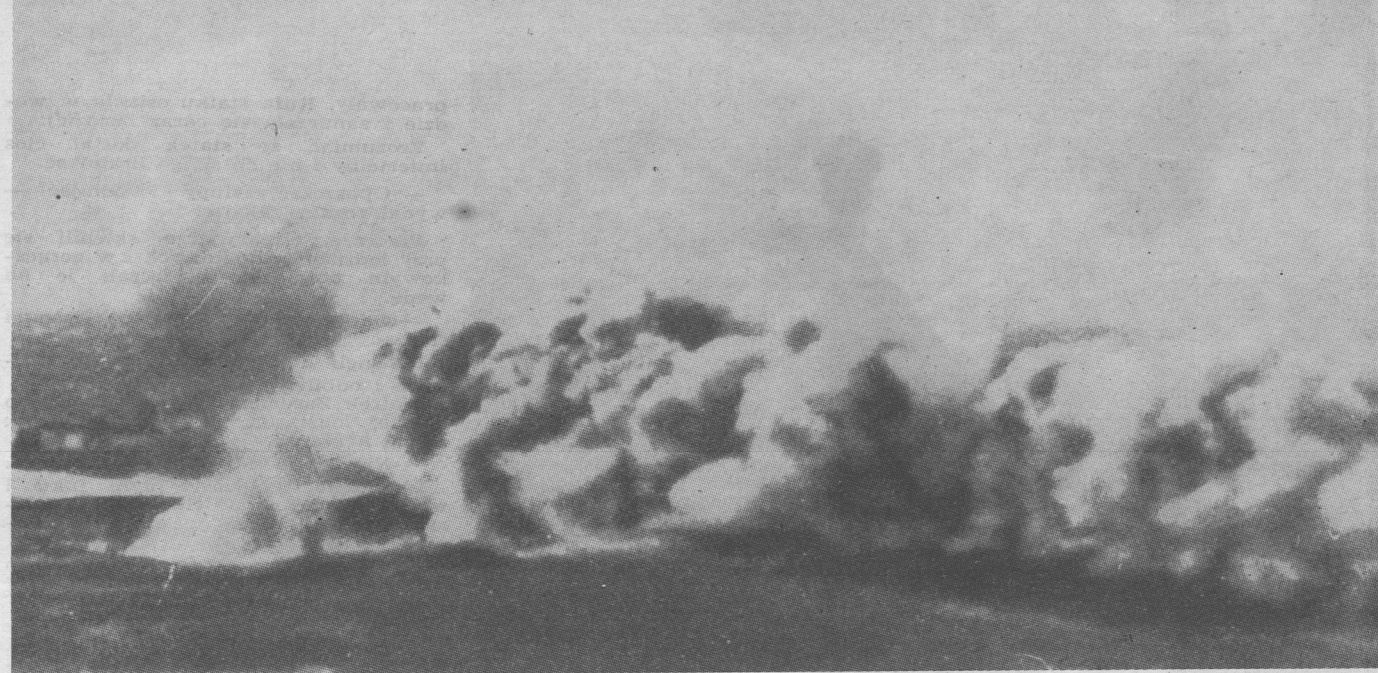
— Trafili ich w amunicję! — stwierdza z opóźnieniem dowódca „Lisette”, niespokojnym wzrokiem rozglądając się po niebie.

NA PRZODZIE konwoju toczy się tymczasem zacięta walka. Słychać strzały armatnie i wybuchy bomb głębinowych.

To wilcze stado „U-botów” podeszło od czoła i podjęło atak.

Płynący w środku konwoju zbiornikowiec dostał torpedę i płonie.

Ropa chlustająca kaskadą z rozdarłego kadłuba rozlewa się po morzu,



Alarm! Tankowiec pośrodku konwoju płonie!

które staje w ogniu. Hucząca zasłona ogniowa wzniosła się nad morzem. Uciekające statki omijają z daleka płonący zbiornikowiec. Zar bije od niego, jakby był gorejącym piekłem na lodowatej wodzie.

Frachtowiec „komodora” podaje sygnały:

— Nie rozpraszać się!

Ale niewiele statków słucha jego rozkazu.

Na skraju konwoju widać niszczyciela, którego załoga usiłuje ratować rozbitków z zatopionego frachtowca. Ci, którzy odpłynęli w szalupach ratunkowych od tonącego statku, są jeszcze do uratowania. Ale ci, którzy skakali z pokładu do morza w kamizelkach ratunkowych, już skostnieli w lodowatej wodzie.

„Lisette” przechodzi blisko tonącego frachtowca. Marynarze stojący na pokładzie wpatrują się ze zgrozą w grupkę ludzi stłoczonych na rufie to-

Uciekający konwój zmienia kurs i niknie w mgłę polarnej snującej się nad morzem. Zgiełk bitwy oddala się i cichnie.

Robi się mroźno i ciemno. Statki płyną na oślep nie widząc się wzajemnie. Nikt nie wie, czy płynie na właściwym miejscu i nie zderzy się ze statkiem płynącym opodal. Cisza, jaka dotychczas panowała, zostaje zamurowana jęklwym zawodzeniem syren, sygnalizujących położenie poszczególnych statków. W ich gromadne, żalosne zawodzenie wkrada się daleki odgłos eksplozji bomb głębinowych.

To niszczyciel, który pozostał w tyle, atakuje wykrytą przez siebie niemiecką łódź podwodną.

Mgła powoli rzednieje. Rozproszone statki zaczynają się zbierać w jakimś niezdarnym szyku. Korwety osłony krążą wokół maruderów i przyspieszają ich tempo dotychczas do konwoju.

Na razie jest cicho i spokojnie. Ekran radaru i „asdicu” — echosondy służącej do wykrywania okrętów podwodnych, zainstalowane na niszczycielach, nic nie wykazują.

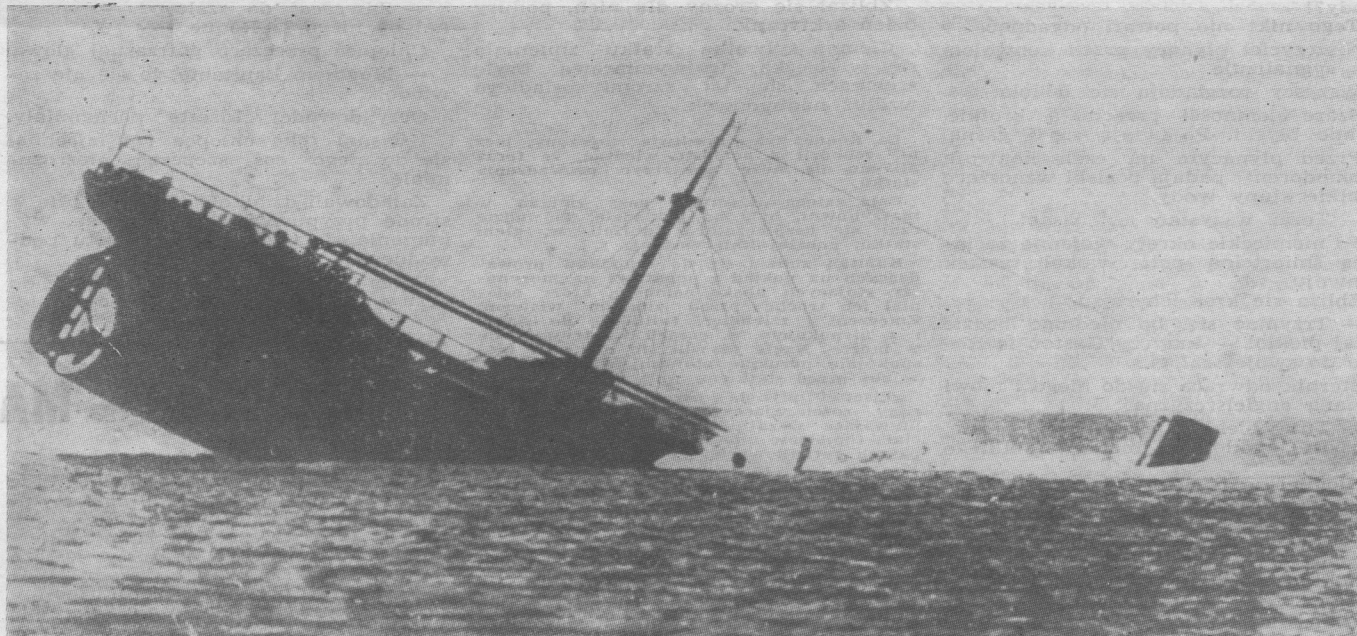
Odłamki pocisków rozpryskują się w wodzie targanej wybuchami bomb głębinowych.

Uciekająca „Lisette” wykonuje gwałtowny unik, aby nie wpaść na szalupę wylaniającą się z dymów.

Pomiędzy nią i płynącym opodal statkiem przechodzi niszczyciel płynący z maksymalną szybkością. Nie zwalniając pędu obraca się w pienistej kipieli, a z jego wyrzutni na rufie wylatują bomby głębinowe. Morze zadudniło, jakby od uderzenia olbrzymiego młota. Na pomost „Lisette” zwaliła się fontanna lodowatej wody. Pierwszy oficer spadł ze schodków i potoczył się po pokładzie.

— Cała naprzód! — słychać nieludzki krzyk Gastona la Roque zagłuszający wrzawę na pokładzie i bezustanny jazgot strażów.

„Lisette” prostuje się i płynie pełną szybkością wyorywując w morzu wielką, kipiącą pianą bródę.



Frachtowiec zakręcił się wokół osi i szybko zaczął tonąć

tonącego statku, którego obie śruby już wynurzyły się z wody. Dochodzą do nich okrzyki przerażonych rozbitków i ciężki zapach ropy rozlewającej się na falach.

Płynący bliżej frachtowca Norweg zwraca ku łodzi, która zdążyła odbić od burty tonącego statku. Siedzący w szalupie marynarze wiosłują rozpaczliwie chcąc umknąć przed wirami, jaki powstanie w momencie zatonięcia statku. Widać ich wyraźnie na tle płomieni rozjaśniających ten odcinek morza.

Statek norweski podpływa do rozbitków i osłania szalupę mając ją po nawietrznej stronie. Marynarze norwescy zrzucają trap, sieci i wyciągają rozbitków na pokład.

— Dzielni ludzie! — powtarza dowódca „Lisette” obserwując akcję ratunkową Norwegów. — Nie bali się zatrzymać statku, aby ich ratować!...

Storpedowany frachtowiec zsuwa się w dół i niknie w głębinach morza.

Śmiertelnie zmęczeni ludzie drżą z zimna i zasypiają na stanowiskach.

Nagle morze ożyło. Wyskakujące ze wszystkich stron torpedy krają spienione fale ciągnąc za sobą długi ślad białej piany.

— „U-boty” w środku konwoju!...

Alarm na wszystkich statkach.

Zewsząd dochodzą huk eksplozji i buchają płomienie. Statki zaczynają uciekać z zagrożonego miejsca, nie zwracając uwagi na sygnały „komodora”. Mijają się w dzikich, desperackich zakrętach, cudem unikając zderzenia i wyduszają ze swych maszyn możliwie największą szybkość. Każdy na własną rękę chce uniknąć zniszczenia.

Ale nie wszyscy się uratują.

Silny błysk ognia i dymy.

Statek wiozący amunicję wylatuje w powietrze.

Wszędzie słychać łoskot dział artyleryjskich i jazgot szybkostrzelnych działek.

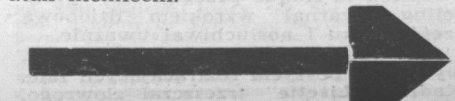
Z głębin wynurzają się jakieś szczątki, głowy i ciała ludzkie, które nikt nie widzi, wypływają i znów toną. Plama oliwy na falach staje się coraz większa.

Nie ulegało wątpliwości, że bomby głębinowe niszczyciela zniszczyły uciekającego w głębinę morską „U-bota”.

Dym z płonącego tankowca osłania ucieczkę konwoju.

Szary, arktyczny półmrok gęstnieje nad morzem.

Odgłosy walki zanikają. Mijają godziny. Nad płynącym na północ konwojem pojawia się dalekosiężny „Condor”. Leci na dużej wysokości, oświetla konwój rakietami i znika. Pomimo zmiany kierunku odnalazł ich i umiejscowił. Za chwilę może nastąpić nowy atak niemiecki.





BANDERA W GÓRĘ

Dokończenie ze str. 23

— Ale skąd? Z powietrza, czy spod wody?!

Tego nikt nie potrafi odgadnąć.

Niszczyciel płynący przed konwojem coś sygnalizuje.

Wszyscy rozglądają się dokoła.

Szare ciemności przecinają krótkie, rwane błyski. Pojawiają się i gasną. Przed płynącym na czele konwoju „komodorem” padają pociski wznoszące wielkie słupy wody.

— Teraz wszystko jest jasne!...

To niemieckie okręty wojenne zaciągają śmiertelną pętlę wokół resztek konwoju.

Zbliża się kres ich rejsu.

— Trzymać się, bo niedługo będzie tutaj piekło! — krzyczy Gaston la Roque do swojej załogi.

Sternik odwraca się do niego i mówi łamaną angielszczyzną:

— Tutaj piekło, po śmierci piekło, wszędzie piekło. Już mam wszystkiego dosyć!...

Niemieckie pociski z dział okrętowych siekają wodę coraz bliżej statków.

Do zygzakujących w bezradnych unikach transportowców popływa niszczyciel eskorty i błyskając światłem reflektora nadaje rozkaz:

— Jesteśmy atakowani przez niemieckie kontrtorpedowce, rozproszyć się i w pojedynkę płynąć do portów rosyjskich!...

— Zycze wam powodzenia! — dodaje zawracając w stronę migocących na horyzoncie błysków. Płynięcie z największą szybkością, na jaką stać jego maszyny, mija czoło konwoju i nikt nie w oddaleniu, zdążając ku swojej ostatniej walce...

— „Emergency turn!” — sygnalizuje „komodor”.

Zgodnie z tym rozkazem płynące w konwoju statki rozpraszają się i nikną w arktycznym mroku.

LISETTE” została sama. Ciężka dziobnica fale, wlokła za sobą długi ślad białej piany i uparcie zdążyła na północ. Wiatr skamlał w olinowaniu, a część rufowa statku pulsowała uderzeniami śrubby o wzburzoną wodę i wibrowała monotonną nutą.

Gaston la Roque przegiął się przez reling, ogarnął wzrokiem dziobową część statku i nasłuchiwał uważnie.

Pod stopami czuł drżenie dziobowych płyt poszycia roztrzaskujących fale. Kadłub „Lisette” trzeszczał złowrogo.

Przysłuchiwał się z niepokojem jękom i zgrzytom wiązań statku, potem przetarł zmęczone oczy i rozejrzał się wokoło.

Zbliżał się groźny dla nich, ponury dzień arktyczny.

Ciemna sylwetka statku zmieniała się w ciężką, trójwymiarową bryłę srebrzącą się od szronu osiadłego wzdłuż nadbudówek.

La Roque był straszliwie zmęczony, lecz nie schodził z pomostu wiedząc, że teraz nikomu nie może powierzyć prowadzenia statku.

Cała załoga „Lisette”, poza zmianą w maszynowni, była na pokładzie. Tu ludzie czuli się bezpieczniejsi, aniżeli w głębi statku, poniżej linii wodnej.

Kapitan zbliżył się do schodków prowadzących na pokład i popatrzył na marynarzy stojących blisko pomostu, który osłaniał ich trochę przed zimnym wiatrem. Zmęczeni i zziębnięci tulili się do siebie i z niepokojem w oczach wpatrywali się w morze. Nagle ożywili się i zaczęli niespokojnie poruszać głowami wpatrując się w coś przed statkiem.

„Lisette” płynęła przez lśniące pasma ropy rozciągające się na morzu mijając pływające szczątki zatopionego statku i ciała topielców unoszących się na falach w pasach ratunkowych.

Stojący obok kapitana sygnalista jęknął głucho.

La Roque popatrzył na jego pobladłą twarz i nieprzytomne, rozbiegane oczy, w których czaił się strach: lęk przed śmiercią.

I z przerażeniem pomyślał, że w razie nieszczęścia taki sam strach może obezwładnić całą jego załogę.

Stanął przed ochlapaną falami zamarznąłą szybą i zaczął się zastanawiać nad możliwością uratowania „Lisette”, która była dla niego czymś więcej niż statkiem, bo częścią okupowanej przez wroga ojczyzny.

— Gorąca kawa, panie kapitanie! — usłyszał głos Piotra Zaremby.

Z podziwem spoznał na chłopca, wziął podany mu kubek z kawą i zaczął pić ostrożnie.

Po paru godzinach samotnie płynąca „Lisette” została storpedowana.

Huk, obłędny krzyk ludzi, tupot nóg, szum fal i łoskot zamierających maszyn.

Torpeda wyrwała potężną dziurę w prawej burcie. Woda wdzierała się zewsząd łamiąc i zrywając wszystko, co napotkała na drodze. Para z uszkodzonych przewodów wydobywała się przez komin i luk maszynowy przesłaniając białą mgłą ludzi uciekających w stronę mostku kapitańskiego.

La Roque spojrzął na fale. „Lisette” szła siłą rozpędu. Jej maszyny już nie

pracowały. Rufa statku osiadła w wodzie i zanurzała się coraz bardziej.

Zrozumiał, że statek dostał cios śmiertelny i nie da się go uratować.

— Opuszczać szalupy i odbijać! — wydał rozkaz załodze.

Przerażeni marynarze skłębili się przy łodziach ratunkowych i w gorączkowym pośpiechu spuszczały je na wodę.

— Odpływać! — krzyknął bosman siedzący w pierwszej szalupie.

Przecieli linkę wiążącą ich ze statkiem i odbili.

Piotrek Zaremba, który wskoczył do drugiej łodzi, już zapełnionej ludźmi, zaczął krzyczeć:

— Nie odbijać, czekać na kapitana!...

La Roque stał na tylnym luku i właściwie chciał opuścić statek, na którym nie pozostawało już nic do zrobienia.

— Kapitanie! — krzyczał do niego chłopiec. — Proszę schodzić, „Lisette” już tonie!...

Dźwięk słowa „Lisette” wzbudził w jej dowódcy rozpaczliwą wściekłość. Spojrzął na swój tonący statek i w jego skołatanej głowie powstała myśl szaleńcza.

— Nie daruję zbrodniarzom! Pomścuję moją „Lisette”!...

Wiedział o zwyczajach niemieckich piratów podwodnych, że po zatopieniu samotnego statku wynurzają się na powierzchnię, aby stwierdzić, kogo zatopili i nasycić swoje oczy zwycięstwem nad bezbronnym przeciwnikiem. Obejrzał się w stronę sterującego na pokładzie działka i krzyknął do siedzących w szalupie marynarzy:

— Obsługa do działka!...

Odpowiedziało mu milczenie, a potem nieśmiało głosy:

— To szaleństwo, „U-bot” zatopi nas wszystkich!

— Tchórze! — wybuchnął kapitan i pobiegł w stronę działka.

Zajął miejsce celowniczego i manewrując dźwigniami zniżył lufę działka ku powierzchni morza. Nagle spostrzegł czyjąś rękę wyrównującą taśmę z pociskami. Obejrzał się. Przy działku stał Piotr Zaremba.

— Zawracaj do szalupy! — wrzasnął na niego la Roque.

Chłopiec przecząco potrząsnął głową.

— Mówiłem kapitanie, że cię nie zawiodę!...

Oczy dowódcy „Lisette” pociemniały. Ucisnął rękę chłopca i uśmiechnął się do niego coś szepcząc niezrozumiale.

Załadowali działko i odwrócili lufę w stronę przypuszczalnego miejsca wynurzenia się niemieckiego okrętu podwodnego.

Potem la Roque podniósł lornetkę do oczu i badał powierzchnię morza śle-

dząc, czy nie ujrzy gdzieś śladów wynurzającego się „U-bota”.

Krzyki dochodzące zza burty statku zwróciły jego uwagę w inną stronę. Na moment oderwał oczy od powierzchni morza i spojrzął w kierunku szalupy z rozbitkami odpływającymi pośpiesznie od statku.

Zrozumiał ich lęk i pośpiech.

Fale przelewały się po pokładzie i obmywały podstawę działka, przy którym siedzieli. Dziób statku coraz wyżej wznosił się nad wodę, a przechył na prawą burtę był coraz silniejszy.

Spojrzał ponownie na morze i wydał okrzyk radości.

O dwieście metrów od tonącego statku kotłowała się woda. „U-bot” wynurzał się na powierzchnię morza.

Nagle przypomniał coś sobie i krzyknął:

— Bandera w górę!...

Chciał, aby jego „Lisette” tonęła jak okręt wojenny, z bojową flagą na maszcie.

— I polską?... — spytał Piotrek Zaremba.

Gaston la Roque skinął głową.

Chłopiec popędził w stronę masztu. Wyciągnął ze szkrzyni banderę francuską i biało-czerwoną flagę sygnałową. Przyczepił je do sznura, szarpnął linkę — i w górę wleciały dwie flagi. Francuska i polska. Załopotały na wietrze, jak symbol zwycięstwa nad śmiercią i nad wrogiem.

Na powierzchni morza, w kłębowisku piany, ukazała się oczekująca wodą wieżyczka niemieckiego okrętu podwodnego.

— Vive la France! — Niech żyje Polska! — zabrzmiały dwa okrzyki.

Powietrzem zatargał strzał z działka.

Honorowy strzał statku, który nie chciał iść na dno bez walki.

„Lisette” tonęła zanurzając się w falach rufą i śródokrećmiem.

Dziób statku przez jakiś czas jeszcze sterczał nad falami, wreszcie i on zniknął w odmetach rozkołysanej wody.

Ponad powierzchnią morza pozostał tylko skrawek masztu z powiewającymi na nim banderami.

Francuska lśniła trójkolorem, a polska białą i czerwienią.

Kołysały się długo, a potem fale morskie zamknęły się nad nimi.

W miejscu, gdzie zatoneła „Lisette”, pływały po morzu szczątki połamanego drewna.

Załoga, która odpłynęła w szalupach ratunkowych od tonącego statku, została uratowana przez kontrtorpedowiec brytyjski.

Gaston la Roque i Piotr Zaremba zginęli wraz ze statkiem.

* Fragment z książki „Żywe torpedy” przygotowanej do druku.

SAMOCHÓD — MASZYNA LATAJĄCA

OD KILKU LAT na wyścigach samochodowych pojawiły się maszyny z krótkimi poziomymi skrzydłami, umocowanymi na słupkach z tyłu karoserii. Później samochodom wyścigowym wyrosły jeszcze dodatkowo skrzydełka z przodu. Wozzy te zaczęły pokonywać konkurentów pozbawionych owych lotniczych dodatków, ale równocześnie zdarzały się wypadki niewytłumaczalne z punktu widzenia normalnych warunków drogowych oraz przypuszczalnego działania skrzydeł. Powstały więc kontrowersje prawnosportowe i konstrukcyjne, a producenci samochodów seryjnych nie wiedzieli, czy już iść za skrzydlatą modą, czy jeszcze trochę poczekać.

Każdy kierowca, którego przy szybkiej jeździe boczne uderzenie wiatru zrzuciło kiedyś na brzeg szosy, wie, że powietrza nie można lekceważyć. Ale — jak twierdzą angielscy specjaliści z zakresu aerodynamiki, zajmujący się obecnie poważnymi studiami nad ruchem samochodu — wszystkie dotychczasowe pojęcia o „liniach opływowych” kształtowane są przez niewiedzę, reklamę i modę. Nawet wśród rasowych wozów sportowych zdarzają się w tym zakresie rażące pomyłki.

Trzeba przede wszystkim stwierdzić fakt, że już przy szybkości około 65 km/godz. wszystkie siły mechaniczne, działające na samochód w wyniku jego łączności z drogą, zostają zrównoważone siłami aerodynamicz-

nymi, wynikającymi z ruchu w ośrodku powietrznym. Ponieważ te ostatnie siły potęgują się (do kwadratu) wraz z szybkością, więc — biorąc rzecz procentowo — powyżej tego szybkościowego limitu samochód jest już maszyną latającą. W dodatku — co potwierdzi każdy pilot — latającą w najgorszych z możliwych warunków, tuż przy ziemi.

Świadomość tego faktu bardzo powoli toruje sobie drogę do pracowni konstrukcyjnych przemysłu motoryzacyjnego i na pierwszym lepszym współczesnym samochodzie można dziś wskazać kardynalne aerodynamiczne błędy. Stosunkowo najszybciej zauważono możliwość zmniejszenia oporu czołowego i pierwsze wozy-pudełka z początku stulecia zaczęły stopniowo przybierać kształty bardziej opływowe.

Od niedawna jednak jesteśmy świadkami ponownego powrotu do kanciastych pudełek. W części spowodowała to moda, w części wygodna technologiczna przy masowej produkcji i wyższy komfort obszerniejszego wnętrza wozu, wreszcie pewna nonszalancja konstruktorów dysponujących coraz lepszymi silnikami — wobec oporów powietrza, które w ostatecznym rachunku nie zmniejszały się wcale tak rewelacyjnie.

Angielscy uczeni, którzy — jak twierdzą — po raz pierwszy w świe-

Dokończenie na str. 29

KSIĄZKA znanego autora francuskiego Eddy Florentina pod tytułem „STALINGRAD EN NORMANDIE”, opisująca pierwsze tygodnie walk wojsk sprzymierzonych po wylądowaniu we Francji, ukazała się w Kraju po polsku. Kiedy przed czterema laty zjawilo się na półkach księgarskich jej francuskie wydanie, wzbudziła olbrzymie zainteresowanie i uznanie dla ogromnego wysiłku autora przy gromadzeniu materiału dokumentacyjnego, by wiernie oddać owe dni śmiertelnych zmagania, w których nie brakło też żołnierzy I Polskiej Dywizji Pancernej dowodzonej przez gen. Maczka, wchodzącej w skład wojsk pod dowództwem brytyjskiego marszałka Montgomery'ego.

W polskim wydaniu tytuł książki został nieco zmieniony i brzmi „KOCIOŁ FALAISE”.

Pik dypl. Skibiński, pracujący obecnie jako historyk walk II wojny światowej na frontach zachodnich, we wstępie do polskiego wydania książki Florentina przedstawił zwięzłe całokształt założeń operacji alianckich na terenie Francji w 1944 r. oraz dał rys historyczny I Polskiej Dywizji Pancernej, której droga bojowa była w rzeczywistości daleko większa i dłuższa niż walki w latach 1944 i 1945 r. Formacja ta powstała bowiem w 1939 r. w Polsce i już wtedy jako Brygada Pancerna pod dowództwem gen. S. Maczka — wówczas pik. dypl., wchodziła w skład armii „Kraków”, nie przegrała wówczas z Niemcami ani jednej bitwy, nie dała się pobić i 19 września na rozkaz naczelnego dowództwa z bronią własną i zdobytą na Niemcach przekroczyła granicę węgierską, gdzie została internowana. Ale już w październiku niemal w całości znalazła się we Francji (drogą nielegalną) i znowu pod dowództwem S. Maczka i nieco zmienioną nazwą jako 10 Brygada Kawalerii wchodziła w skład 4 Armii Francuskiej, wzięła też udział w kampanii francuskiej, zapisując się bojami pod Champaubert, Montgivroux i Montbard.

„Również i z tej kampanii wyszła brygada z honorem i nie pobita, a ogromna większość jej żołnierzy zdołała się przedostać dziwnymi polskimi drogami do Szkocji, gdzie od razu przystąpiono do jej odtworzenia, tym razem w znacznie silniejszej postaci — I Dywizji Pancernej. Organizował i dowodził nią ciągle gen. Maczek.”

Dywizja zachowała tradycyjne nazwy i barwy dawnych polskich pułków ułanów i strzelców konnych, chociaż w Normandii była po zęby zmotoryzowana i nie miała ani jednego konia, a ponadto zachowała przez cały czas swego istnienia, tj. od września 1939 do 8 maja 1945 czyli do końca wojny, nie tylko swe sztandary, ale nawet srebrne instrumenty plutonów trębaczy. Była też w drugiej wojnie wśród sił sprzymierzonych jednostką bojową, która najdłużej walczyła przeciw Niemcom. Pik dypl. Skibiński w swym wstępie wniósł kilka drobnych sprostowań co do spraw polskich, których nie znał francuski autor.

Recenzję polskiego wydania dzieła Florentina, którą zamieszczamy obok napisał Zbigniew Flisowski, autor popularnej w Kraju i na Wychodźstwie książki pt. „Westerplatte”. Z Flisowski w ub. roku odbył podróż reporterską szlakiem I Dywizji Pancernej we Francji i cykl reportaży z tej podróży zamieścił na naszych łamach.

REDAKCJA

ZBIGNIEW FLISOWSKI

DZIEŁO E. FLORENTINA O FALAISE PO POLSKU



FALAISE jest dziś miasteczkiem, które znacznie lepiej wygląda o dziesiątej wieczór niż rano: jarzeniówki, lampiony, jasno oświetlone wystawy pozwalają zapomnieć o istniejących po dziś dzień zniszczeniach. Jedyna ruina, do której tu ludzie mają sentyment, to resztki zamku Wilhelm Zdobywcy — notabene jest to ruina opłacalna, bierze się tu od turystów za wstęp. Cała reszta zniszczeń pochodzi z drugiej wojny światowej, a konkretniej — z sierpniowej w 1944 roku ofensywy sprzymierzonych w Normandii.

We francuskiej literaturze historycznej największym jak dotychczas powodzeniem cieszą się dwie książki o walkach lipcowo-sierpniowych w Normandii: Alberta Pipet *La trouée de Normandie*, czyli „Wyłom normandzki”, książka o przebiegu się w lipcu wojsk Bradleya przez korpus Choltitza i wyrwaną z rejonu lądowań na plażach, oraz właśnie — „Kocioł Falaise”*) Eddy Florentina, publicysty francuskiej TV, książka o walkach sierpniowych, utworzeniu i likwidacji kotła pod Falaise.

Autor pierwszej książki pracował nad nią lat 15, drugiej — lat 11; Florentin zetknął się w tym czasie z 700 uczestnikami lub świadkami wydarzeń, zbierał i konsultował ich relacje, prowadził obfitą korespondencję, przebrnął przez 15 dzienników bojowych i 65 różnojęzycznych prac specjalistycznych, w tej liczbie polskich. Jak wynika z jego wypowiedzi, nie szczędził także czasu urlopowego swego i małżonki, spędzając go w krainie, która tradycyjnie znana była z calva-

dosu, camembertu oraz normandzkiej agresywności. Wszystko po to, aby mogła powstać książka drobiazgowo odtwarzająca na pięciuset stronach walki drugiej i początku trzeciej dekady sierpnia 1944 roku. W rezultacie nie zaczyna się ona od narady sztabowej Eisenhowera czy Montgomery'ego, lecz od uderzenia dzwonów w kościele w Val-Saint-Père, miejscowości położonej niedaleko Avranches, i nabożeństwa pod bombami — rzeczy niewątpliwie opartej na relacji księdza Dugueperyoux, współtwórcy tego wydarzenia, oraz na relacji któregoś z obecnych w kościele dzieci. Wobec nacisku zdarzeń historycznych ksiądz skraca nabożeństwo, dziecko wychodzi wraz z innymi i „na drodze dzieci spotkały czołg, przstraszyły się, potem wybuchnęły śmiechem: czołg nazywał się „Kret”. Cztery inne wielkie czołgi toczyły się za nim. Miały na sobie wymalowaną białą gwiazdę: nie były więc niemieckie. Zgrupowanie bojowe B, o sobiście dowodzone przez generała Dagera — prawe skrzydło amerykańskiej 4 DPanc, generała majora Johna S. Wooda — dopiero co weszło do Avranches...”

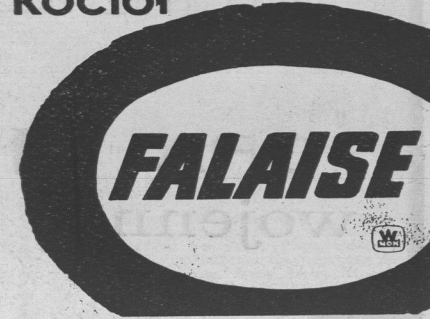
Tuż po tym obrazie przenosi nas autor o „35 kilometrów na wschód od Val-Saint-Père” do ujścia Sée, gdzie „urządza się pośpiesznie w sposób improwizowany nowe WSD (wysunięte stanowisko dowodzenia) 7 niemieckiej Armii obergruppenführera Haussera”. Oczywiście to jego pozycje zostały przełamane właśnie w Avranches, koło którego dzwony dzwoniły na pierwszej stronie. Stronicę dalej już sam von Kluge, dowódca wszystkich niemieckich wojsk na Zachodzie, otrzymuje na początku pierwszego akapitu wieść dramatyczną: „Lewe skrzydło zżamane, Herr Feldmarschall!”

Następuje opis kwatery Klugowego Le Mans oraz samego marszałka, jego dialogów z kwnąbrnym esesmanem Hausserem, dowódcą 7 Armii. A ponieważ doszliśmy już do szczytów tego poziomu, na którym rozgrywa się wydarzenia i na razie nie mamy tu nic do dodania, przeto musimy wrócić na poziom dolny. I rzeczywiście, na dziewiątej stronie tekstu utożsamiamy się, chcąc nie chcąc, z sytuacją Franciszka Brière, który „wstał wcześniej tego ranka, 31 lipca” (przypis wg relacji przekazanej autorowi przez François Brière). Oczywiście pan Brière pochodzi także z Avranches, tylko że był 31 lipca człowiekiem dorosłym i może coś więcej autorowi opowiedzieć o czołgach Dagera niż dzieci wychodzące z kościoła (było czołgów dwanaście oraz dwadzieścia pięć jeepów plus działa lekkie).

W ten sposób zamyka się cykl: z autorem przebywamy stale tę drogę od mikro- do makrowydarzeń i z powrotem, śledząc układanie różnobarwnej historycznej mozaiki. Jest to próba podobna nieco do praskiej Laterny Magiki z bogactwem środków wyrazu i sposobów przedstawienia wydarzeń, wszystko tu jest dobre — i relacja, i beletryzacja, i dialogi, i wstawki z dzienników osobistych czy dokumentów bojowych, ale wszystko krótko cięte, nie dające czytelnikowi choć na chwilę odetchnąć. Kolejne ogniwa łączą się jedne z drugimi na zasadzie

EDDY FLORENTIN

kocioł



łańcucha, którego fragment i mechaniczną powstawania pokazaliśmy przed chwilą.

Może nie byłoby nic w tym szczególnego, gdyby nie fakt, że takie dzieło się stron to w gruncie rzeczy przeciętne dwa miesiące pracy historyka, a później dopiero pisarza. Oto więc zalety gatunku, któremu można by przydać etykietę reklamową adresowaną do czytelnika: „Przeżyj to z nimi!” Jeśli dodamy do tego żywy styl Florentina, jego kulturę, jego błysk publicysty i bezbłędne wycucie napięć i atrakcyjności faktu, zdarzenia (nie wszyscy autorzy to wycucie posiadają...), to otrzymujemy dobrą książkę.

Jakie ten nowy, rozlepiony już w wojennej literaturze gatunek niesie niebezpieczeństwa i jakie ma niedostatki? Niebezpieczeństwo numer jeden to utracenie oddechu, kontaktu z tekstem przez samego czytelnika, zwłaszcza obcojęzycznego, niebezpieczeństwo zagubienia się w miejscowościach, ludziach i sytuacjach.

Rozumiejąc to, francuski wydawca (Presse de la Cité) wraz z autorem bardzo ostrożnie prowadzi czytelnika, dostosowując formę graficzną książki do warunków nawigacji po tym morzu faktów. W edycji francuskiej przeto pomieszczono: 4 fotografie lotnicze terenu walk z naniesionymi kierunkami posuwania się wielkich jednostek, mapę dwustronicową, 7 map jednostronicowych, dwie panoramy pola bitwy widzianego z „Maczugi” oraz fotografię głównych aktorów historii. Są nadto schematy organizacji wielkich jednostek sztabów etc.

„Kocioł Falaise” w edycji francuskiej nosi tytuł „Stalingrad en Normandie”, co z jednej strony podkreśla wysoki standard zwycięstwa nad Wołgą, z drugiej strony jest określeniem nieco przesadnym. Dla polskiego wydania książki Florentina, przetłumaczonej notabene już przedtem na cztery języki, wybrano — i słusznie — tytuł, który kojarzy się naszym czytelnikowi z epopeją normandzką I Polskiej Dywizji Pancernej — „Kocioł Falaise”. Jednostka polska zajmuje zresztą, zgodnie ze swym udziałem w normandzkim zwycięstwie, sporo miejsca w książce Florentina. O Polakach pisze Francuz serdecznie, włożył on też wiele wysiłku w odtworzenie ich walk w operacji „Totalize”, w owym pchnięciu zadającym od Caen na Południe, i zaciekle ich boju na „Maczudze”. Dla Francuza „przegryzienie” się przez polski materiał historyczny nie było proste, choćby ze względu na barierę językową. Nie zdajemy sobie na ogół sprawy z tej bariery, która uniemożliwia w wielu wypadkach wyjście szerszym frontem z polskimi książkami i relacjami na światowy rynek. Autor na szczęście miał „pod ręką” uczestników walk, i to tych, którzy walczyli na odpowiedzialnych stanowiskach bojowych — emigrantów polskich we Francji; oni to udzielili mu odpowiednich informacji i pomogli ustosunkować się do własnego tekstu. Często też cytuje polskie nazwiska i powołuje się na ich wypowiedzi jako świadków i współuczestników tych historycznych dni. Dzięki Florentinowi dni krwawych zmagania Polaków w normandzkim sierpniu weszły do europejskiej i światowej literatury historycznej, szansa mało realna dla którejkolwiek z polskich książek o walkach dywizji.

Nic tedy dziwnego, że autor otrzymał od kombatantów prawo noszenia „czarnego krawata z orłem, jak również odznak 1 Polskiej Dywizji Pancernej i 2 Pułku Pancernego, którego jest honorowym żołnierzem”.

*) EDDY FLORENTIN: „Kocioł Falaise” tłumaczenie z francuskiego oryginału „Stalingrad en Normandie” — Józef Kołodziejczyk. Przedmowa Franciszka Skibińskiego, który też był konsultantem naukowym polskiego wydania i uzupełnił je przypisami koniecznymi dla polskiego czytelnika. Obwoluta i okładka Władysława Brykzyńskiego. Wydawnictwo MON, Warszawa 1969. Stron 504. Zdjęcia z francuskiego wydania dostarczone przez autora dzieła.

Pik dypl. Szydłowski — jeden z dowódców pułku 1 Dywizji Pancernej podczas walk w Normandii



STANISŁAW
STRUMPH
WOJTKIEWICZ

GRA wojenna

„...Zwykłym miejscem straceń partyzantów z departamentu Pas-de-Calais była cytadela w Arras, gdzie z czasem w miejscu dawnej fosy umieszczono na murach aż dwieście dwadzieścia białych marmurowych tablic z nazwiskami i przynależnością organizacyjną rozstrzelanych tam uczestników Résistance, czyli Ruchu Oporu, a między innymi trzydziestu czterech Polaków. Górników z Lens, Libercourt, Sallaumines, Oignies, Vermelles, Billy-Montigny, Divion, Estevelles, Houdain (...) Zresztą niedaleko od Arras, pod wioską La Targette, od dawna leżeli inni polscy żołnierze, którzy zginęli tu jeszcze 9 maja 1915 roku „za wiktoreńską Francję i za wskrzeszenie Polski”. W Carancy padł w sierpniu 1942 r. Franciszek Papież, szef oddziału FTP w Bruay; w Douai, też w sierpniu 1943 r. Niemcy ścigali toporem Bronisława Kanię, regionalnego szefa FTP...”

ZACYTOWANE powyżej fragmenty stanowią wyjątek z opublikowanej niedawno temu w Warszawie nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego książki pt. „Gra wojenna”, której autorem jest znany polski pisarz, autor ciekawych szkiców historycznych („Sikorski i jego żołnierze”, „Gwiazda Władysława Sikorskiego”, „Zdobycy przestworzy”) i wielu cieszących się wielką poczytnością — także i wśród Polonii francuskiej — powieści („Trautgutt”, „Sierakowski”, „Romans dowódcy”, „Agent nr 1”, „Tiergarten”, itd.) — Stanisław Strumph-Wojtkiewicz, w czasie wojny jeden z adiutantów gen. W. Sikorskiego.

Na treść tej zajmującej, jasno i pięk-

STANISŁAW KOCIK

POWIEŚĆ O POLSKIM RUCHU OPORU WE FRANCJI

nie napisanej książki składają się zbeletryzowane, to znaczy przedstawione w formie powieściowej dzieje polskiego Ruchu Oporu we Francji i polsko-francuskiego braterstwa broni w latach 1940—1944; właściwymi jej bohaterami są wszystkie ugrupowania polskiego podziemia na terenie Francji. Akcja skoncentrowana została wokół trzech postaci: na pół fikcyjnym poruczniku Hańczy, który po klęsce wrześniowej przedostaje się do Francji, a stąd via obóz w Miranda de Ebro do Anglii, i pod koniec wojny uczestniczy w epopei 1 Dywizji Pancernej, oraz na jak najbardziej autentycznym kapitanie Andrzejku Wyssogocie Zakrzewskim, organizatorze siatki, która prowadziła systematyczny przerzut żołnierzy polskich, anglosaskich, belgijskich, holenderskich i francuskich poprzez łańcuch Pirenejów, i znanym naszym Czytelnikom generale Danielu Zdrojewskim. Rzecz jasna, oprócz tych wiążących całość powieści figur pierwszoplanowych na kartach „Gry wojennej” pojawiają się jeszcze dziesiątki innych zasłużonych uczestników, bohaterów i męczenników polskiego Ruchu Oporu we Francji. Pisze Strumph-Wojtkiewicz o zamordowanym przez hitlerowców w Montigny-en-Ostrevent kapitanie Władysławie Ważnym, o Batalionie Partyzanckim im. Adama Mickiewicza, w którym walczyli emigranci z Montceau-les-Mines i le Creusot, o pułkownika Bronisława Zakrzewskim, który działał na Lazurowym Wybrzeżu... — wszystkich wymienić tutaj nie sposób. Wystarczy powiedzieć, że bardzo wielu zamieszkałych we Francji Polaków i Francuzów pochodzenia polskiego czytać będzie „Gry wojennej”, z tym większym wzruszeniem, że odnajdą oni w tej powieści nazwiska swoich zamordowanych przez hitlerowców synów, braci, przyjaciół albo i własne swoje nazwiska.

Najnowsza książka Stanisława Strumph-Wojtkiewicza zawiera również znakomicie skreślone portrety bohatera francuskiego Ruchu Oporu, prefekta z Chartres Jean Moulin, oraz marszałka Edwarda Rydza-Smigłego. W rozdziale poświęconym marszałkowi Rydzowi-Smigłemu ujawnia autor kulisy ciemnych machinacji sanacyjnych wyższych oficerów, których zbrodnicza polityka wydała naród polski na łup hitlerizmu. Dla niejedne-

go czytelnika „Gry wojennej” rozdział ten („Buława”) stanowić będzie prawdziwą rewelację.

Wielu byłych członków „Moniki” w Niemalę zdumienie wprawia także ustępy poświęcone szefom tej organizacji — Bitnerowi i Kawalkowskiemu. „Chodziło o wielkie sumy (...) — pisze o nich m. in. Strumph-Wojtkiewicz. — O te właśnie funty, wyrażające się we Francji dziesiątkami milionów franków, nie podlegających przy tym żadnej kontroli, walczyła niewielka liczebnie klika, zresztą wyzyskująca patriotycznie nastawioną i niecierpliwie oczekującą na akcję francuską Polonię, która wcale nie wiedziała, że za jej polskie uczucia i za robotniczą gotowość już ktoś, gdzieś, komuś — wypłaca sumy olbrzymie”.

„Gra wojenna” Stanisława Strumph-Wojtkiewicza stanowi piękny i wzruszający literacki pomnik upamiętniający ofiarność i bohaterstwo emigrantów i żołnierzy polskich, którzy wespół z francuskimi „résistants” walczyli i umierali za nasze dwie ojczyzny. Czy pomnik ten zadolowi wszystkich byłych kombatantów? „Wiem, co

AUTEUR d'excellents ouvrages historiques consacrés entre autres au général Władysław Sikorski et de romans dont le plupart ont pour thème l'insurrection polonaise de 1863 ou l'héroïsme des soldats et des résistants polonais pendant la dernière guerre, Stanisław Strumph-Wojtkiewicz vient de publier aux éditions varsoviennes PIW une histoire romancée de la Résistance polonaise en France et de la fraternité d'armes franco-polonaise durant l'occupation nazie.

Intitulé „Gra Wojenna” („Le Jeu de la Guerre”), le dernier livre de Strumph-Wojtkiewicz est centré sur trois personnages: le lieutenant Tadeusz Hańcza, le capitaine Wyssogota et le général Antoni Daniel-Zdrojewski. Seul Hańcza est un héros fictif (ou plutôt semi-fictif, puisque l'auteur l'a créé à partir des souvenirs du lieutenant Tadeusz Suprunowicz); Wyssogota et Zdrojewski sont on ne peut plus réels. Wyssogota organisa un réseau qui faisait passer en Espagne des soldats polonais, anglais, belges, hollandais et français. Quant à Daniel-Zdrojewski, qui vit aujourd'hui à Paris, il mit sur pied l'un des plus importants mouvements de la Résistance polonaise en France.

Autour de ces trois personnages principaux gravitent des dizaines d'autres héros

nastąpi... — powiada Strumph-Wojtkiewicz w zakończeniu swojej powieści. — Pośród serdeczności przewinają się sugestie, informacje, sprostowania. Będą i pretensje...” Będą z całą pewnością. Ani jednym słowem nie wspomina Strumph-Wojtkiewicz o tak zasłużonych działaczach podziemia, jak na przykład Tomasz Piętko, który po wyzwoleniu został przewodniczącym PKWN we Francji, a następnie konsulem w Paryżu, i który dziś mieszka na Dolnym Śląsku, albo o zmarłym niedawno temu w Warszawie Rudolffie Laryszu, o organizacji „Grunwald” i wielu innych. Nie ma także w jego książce pierwszoplanowego bohatera-emigranta, co należy uznać za dotkliwą lukę, bo przecież gros członków polskiego Ruchu Oporu we Francji stanowili emigranci. Można mieć o to do pisarza żal. Ale nie należy zapominać, że „Gra wojenna” nie jest pracą naukową, tylko powieścią.

*) Stanisław Strumph-Wojtkiewicz: Gra Wojenna. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1969. Książkę tę można zamówić w „La Boutique Polonaise”, 25, rue Drouot, Paris 9-ème.

et martyrs de la Résistance. L'auteur nous conduit tour à tour dans le Nord, le Centre, le Midi, à Paris, évoque les mineurs fusillés dans la Citadelle d'Arras et le capitaine Ważny, qui fut assassiné par les nazis à Montigny-en-Ostrevent, décrit l'apport des Polonais au dépiégeage des rampes de lancement des fameuses busées portantes d'explosifs V1 et V2, et leur participation à la libération de la France... Il n'est bien sûr pas possible de citer ici tous ceux dont il est fait mention dans „Le Jeu de la Guerre”. Bornons-nous à écrire que nombre de Polonais résidant en France et de Français d'origine polonaise liront ce livre — qui constitue comme un monument commémorant la lutte menée par les Polonais de France aux côtés des résistants Français pour que vivent leurs deux patries — avec une émotion d'autant plus intense qu'ils y trouveront les noms de leurs fils, de leurs frères, de leurs amis, ou même leurs propres noms.

Pour fouillé soit-il, „Le Jeu de la Guerre” n'en présente pas moins des lacunes. Mais peut-on vraiment en faire grief à l'auteur? Il ne faut pas oublier que „Le Jeu de la Guerre” n'est nullement une histoire de la Résistance polonaise en France, mais bien un roman. Or, en tant que roman, c'est une incontestable réussite.

LISTY Józefa
Grzybka

POWIEDZCIE POLSCE, ŻE JĄ KOCHAMY

PANIE REDAKTORZE!

Ciepły, prawie bezwietrzny poranek. Sierpniowo. Ponieważ ustąłem trochę jakby lewą nogą, więc na śniadanie sfotrowałem nie tylko przepisowe dwie sznytki chleba, ale także i cały talerz „fafersfloków”, i zaraz mi się humor poprawił. Po śniadaniu przespacerowałem się jak zwykle po ogródku, zagwizdałem „O Maryjanna, gdybyś była zakochana” (czy jak to tam jest?), i oto wesół jak szczygiel zasiadam do pisania. Mówcie sobie ludzie co chcecie, nie da się zaprzeczyć, że pięknych pod wieloma względami dożyliśmy czasów.

Co mnie tak radośnie nastraja? Nie myślcie czasem, że razem z „fafersflokami” polknąłem jakiegoś śmieška. W dobry humor wprawiają mnie wakacje, samo istnienie wakacji, fakt, że ludzie mogą z czegoś takiego korzystać, że mogą podróżować, bawić się w obieżyświatów i eksploratorów czy też po prostu leżeć sobie przez cały jeden miesiąc do góry brzuchem. Oczywiście, młodzi Czytelnicy wzruszą w tym miejscu ramionami i być może pomyślą sobie nawet, że chyba stary Grzybek zbyt długo ostatnimi czasy wylegiwał się na słońcu, i to pewnie jeszcze z gołą głową. Bo też oni, młodzi, po prostu nie są w stanie tej mojej — czy też raczej naszej — satysfakcji zrozumieć. Im się wydaje, że wakacje to rzecz równie naturalna jak, dajmy na to, obecność słońca na niebie i

stara jak świat. Ale my, ludzie starsi i starzy, dobrze wiemy o tym, że wakacje to jest całkiem niedawna zdobycz syndykatów, świata pracy, i, że się tak potężnie wyrażę, myśli postępowej w ogóle. My dobrze to pamiętamy, że kiedyśmy byli w tak zwanym kwiecie wieku wakacje (a także i kolonie letnie dla dzieci) wydawały się takim jak my prostym robotarzem czymś równie dalekim i równie nieosiągalnym jak Księżyc. Toteż mimo iż dziś nie możemy już tak używać wakacji jak ludzie młodzi, i mimo iż wielu z nas w ogóle na wakacje nie wyjeżdża, to jednak my bardziej potrafimy cieszyć się wakacjami aniżeli nasze dzieci i wnuki. Cieszymy się z tego, że pod wieczór naszego życia nastąpi lepsze czasy, że świat stał się jaśniejszy, sprawiedliwszy.

Zbliża się południe i zaczyna się robić upalnie. Przed chwilą zachciało mi się pić, więc wstałem od stołu i poszedłem napić się „szportu”. Co to za nowa gorzałka? Otóż nie jest to żadna gorzałka, tylko po prostu lemoniada. U nas na Nordzie mówi się „szport” i już. Sakramencki „szport” wleciał mi w „niemiecką dziurkę”, zakrzusiliem się gwałtownie i kaszlnąłem. No, już mi lepiej, mogę pić dalej. Com to ja chciał rzec? Ano właśnie. Te wakacje.

W naszej kolonii puchy. Ludziska się porozjeżdżali i dzieciary też. Jedni pojechali nad nasze tutejsze morze, do Berck i Merlimont, drudzy „na midi”,

to znaczy na Lazurowe Wybrzeże, inni jeszcze do Polski. A propos Polski: właśnie wczoraj otrzymałem list od przebywającego na wakacjach w Kraju starego Pluty. Pluta pisze, że kiedy pociąg przejechał Odrę i stanął na polskiej ziemi, kiedy zobaczył polskie drzewa i usłyszał czystą polską mowę celników, to serce podeszło mu, biedakowi, do gardła i musiał tak jak dwa lata temu uciec na chwilę ze swojego przedziału do umywalki, bo nie chciał, żeby podróżujący razem z nim ludzie widzieli, że płacze. Mój ty Boże kochany, jak ja to dobrze rozumiem! I Wy pewnie też, prawda? Wzruszyło mnie to poczucie stare Plucisko tym swoim listem. Donosi mi także mój kum, że na dworcu we Wrzesni spotkał przypadkiem jedno małżeństwo z Francji, z okolic Metz. Jak zaczęli rozmawiać, to się okazało, że ci państwo to też są czytelnicy „Tygodnika”, więc zaprosili — oni, ci państwo — starego Plutę do swoich krewnych pod Wrześnią, u których spędzają wakacje, a tam — u tych krewnych — poczęstowano go wiśniówką („którą pitem z wielkim smakiem, bo to przecież było coś ojczystego” — pisze, tak jakbym ja nie wiedział, że z wielkim smakiem to on potrafi pić nie tylko „coś ojczystego”, ale nawet i zwycajny „żynef”! No ale niech tam!) Przy tej wiśniówce (i przy sówicie zastawionym swojej roboty kiełbasami stole) pogadali sobie podobno o różnych sprawach, a między innymi o mnie i o moich „Listach”. Musiało się to dziać dwa tygodnie temu, bo miałem wtedy czkawkę. Ponoć wypili nawet moje zdrowie. Ano, Bóg zapłać.

Myślę, że to spotkanie na polskiej

ziemi czytelnika „Tygodnika” z Nordu z parą czytelników ze wschodniej Francji musiało być bardzo mile. Może takich przypadków spotkań jest więcej? Przecież czytelników i czytelniczek naszego pisma przebywa z pewnością w tej chwili w Polsce wielka moc. Zwiedzają pewnie teraz stary nasz Kraj dwaj naczelni laureaci wielkiego świątecznego konkursu „Tygodnika”, panowie Ignacy Flaczyński i Jakub Kamiński. Przemierzają w tej chwili naszą Ojczyznę wzdłuż i w szerz zarówno tacy jak my starzy emigranci, jak i kontaktujący się po raz pierwszy z Krajem swoich rodziców młodzi Francuzi pochodzenia polskiego. Na koloniach i obozach letnich w Bardo Śląskiem, Gdańsku, Piwnicznej, Szklarskiej Porębie itd. wypoczywają, bawią się, oddychają polskim powietrzem i Polską w ogóle smyki i smyczatka z naszych osiedli.

Chciałbym tych wszystkich naszych „ambasadorów” o coś poprosić. Przywieźcie nam, drodzy Rodacy — nam, którzyśmy z różnych względów nie mogli tego lata odwiedzić Kraju — woni z polskich kwiatów i światłości od polskiego słońca i od polskich gwiazd. Wchłaniajcie urodę polskiej ziemi i polskiej mowy pełną pierśią, wchłaniajcie ją także za nas. I pozdrówcie tam od nas i ucałujcie wszystkich i wszystko. Powiedzcie Polsce, że ją kochamy.

Bywajcie zdrowi, Drodzy moi.

Józef Grzybek
z Nordu



A QUI LA BELLE DENTELLE...

Du bazar Różycki aux „Koszyki” les élégantes de Varsovie ont le choix pour s'offrir ce petit rien, cette babiole, cet accessoire qui en un tour de main change une robe du prêt à porter en la plus belle „création”. Et c'est alors les ô et les ah! des camarades de bureau ou d'atelier qui en pâlisent d'envie, tandis que l'heureuse détentrice est rouge de plaisir. Curieuses comme elles sont, les copines ne manqueront pas de lui demander où elle a déniché ça. L'article prend alors ou parfois ne prend pas, au gré de la mode passagère.

Certains articles traditionnels, comme par exemple la dentelle, connaissent des regains spectaculaires de popularité, et il suffit d'un petit rien, parfois d'un film qui passe sur les écrans, pour déclencher le mécanisme. Dès lors la plus simple babiole se mute en „article de Paris”. Dans le cas de la belle dentelle polonaise personne n'y perd au change.



WARSZAWSKIE articles de Paris



TO PETIT RIEN, to „małe nic” — marzenie każdej kobiety. Kawalek koronki, mankiety, kołnierzyk, oryginalna chusteczka czy inna ozdoba, która w mgnieniu oka przekształca skromną sukienkę w strojną i nadaje osobisty styl i niepowtarzalność powielanym w tysiącach egzemplarzy wyrobom przemysłu konfekcyjnego. To wszystko, za czym we Francji szaleją turyści z innych krajów.

Ale w Warszawie, tuż koło hali targowej, zastaliśmy obrazek zupełnie taki sam i równocześnie zupełnie inny: zagraniczną turystkę ładującą do torby podróżnej stos artykułów warszawskich. I mówiła jeszcze, że przy tych cenach sówicie opłaci jej się zapłacić cło na każdej granicy!

Warszawa nie ma hal targowych typu paryskiego i nigdy ich nie miała, tradycyjnie tylko „halą” lub „koszykami” od stu lat nazywa się duże kryte targowisko, a raczej ogromny, stary sklep uniwersalny — od męskich garniturów do lodówek i ryb wędzonych — prowadzony przez Warszawską Spółdzielnię Spożywców przy ulicy Koszykowej. Zaś o parę kroków stamtąd małe sklepiki w resztkę pozostałej ze starożywieckiej kamienicy, więc z małą wystawą, chronioną starożywiecką mosiężną barierą. Pracuje tam rodzina państwa KRAUZE. Pan Edward Krauze, żołnierz Powstania Warszawskiego, po wyzwoleniu dyrektor kilku poważnych instytucji, z zawodu ekonomista, obecnie jest na rencie. Bywa więc w zakładzie tylko raz w tygodniu i dogląda księgowości. Na miejscu są zawsze żona, pani Aleksandra, i córka, panna Małgorzata.

A także tłum klientek o każdej porze dnia.

Po co? Ano właśnie, po „articles de Varsovie”. Państwo Krauze wyspecjalizowali się w rzemieślniczej produkcji kołnierzyków, mankietów, żabotów i tym podobnych dodatków do damskiej garderoby. Takich zakładów może być wiele. Ale ten ma szczytowe powodzenie. Prosta tajemnica: doskonały smak artystyczny całej rodziny i bajecznie niskie ceny wyrobów. Państwo Krauze oczywiście korzystają z najnowszych żurnali mód francuskich, włoskich czy austriackich. Znowu — to przecież może robić każdy. Rzecz w tym, aby umieć wzór z żurnalu przetworzyć, nadać mu osobisty akcent niezależnie od tego, czy będzie to np. kołnierzyk z gipiury czy z nylonowej koronki. I jeszcze ważne: w lot reagować na zainteresowania klientek. Pisaliśmy niedawno o polskim filmie „de cape et d'épée” pod tytułem „Hrabina Cosel”. Bohaterka jego ubrana była w piękne stylowe stroje z połowy XVIII wieku. Nie minął tydzień od premiery, gdy w witrynie państwa Krauze pojawił się model kołnierzyka „à la Cosel”, czyli tak zwana wkrótce potem „kozelka” jak ją ochrzcieli klientki. Zresztą każdy nowy model produkowany jest przez krótki tylko czas, więc nowości stale na składzie.

**Tekst i zdjęcia:
Juliusz GARZTECKI**



STANISŁAW ZIEMBA

SKĄD SIĘ WZIĘLI WESTWALACY? (II)

„GŁOS GÓRNIKA”, polski tygodnik wychodzący w Bochum, w numerze z 10.VI. 1913 podał „krytykę statystyki niemieckiej urzędowej co do liczby Polaków na zachodzie Niemiec”, a w numerze z 17.VI. zajął się szczegółowym obliczeniem aktualnej ilości górników z rozbić na poszczególne obwody, a nawet kopalnie, w artykule pt. „Polacy w górnictwie westfalsko-nadreńskim”. Obliczenie oparte zostało na statystyce wewnętrznej knapszaftu w Bochum, jaka co roku ukazywała się w dwóch obszernych tomach. Ogólna liczba zatrudnionych w górnictwie westfalsko-nadreńskim, którą obejmował knapszaft bochumski, sięgała liczby 409.994 górników. Z tej liczby 139.203 stanowili przybysze z polskich prowincji wschodnich państwa pruskiego, czyli 33,96 procent. Liczba ta nie obejmuje Polaków przybyłych z zagranicy, np. górników polskich z zaboru austriackiego, a jedynie obywateli pruskich. W rozbić na poszczególne obwody (powiaty) górnicze przedstawiała się ona następująco:

Obwód górniczy	Ogólny stan załóg	Przybysze z ziem polskich w Prusach
1. Hamm	12.917	2.729
2. Dortmund I	19.499	3.045
3. Dortmund II	25.527	8.952
4. Dortmund III	27.969	9.759
5. Recklinghausen Wschód	29.601	12.083
6. Recklinghausen Zachód	39.985	16.430
7. Witten	14.276	2.913
8. Mattingen	11.979	1.804
9. Bochum Północ	21.382	7.602
10. Bochum Południe	13.773	3.661
11. Herne	23.614	11.526
12. Gelsenkirchen	19.570	9.786
13. Watterscheid	22.157	9.326
14. Essen Wschód	20.421	8.145
15. Essen Zachód	25.892	10.650
16. Essen Południe	19.006	4.340
17. Werden	10.465	1.657
18. Oberhausen	29.086	6.447
19. Duisburg	27.111	5.321
20. Kopalnia rudy	114	25
Razem:	409.944	139.203

Z tabelki tej wynika, że największy górniczy obwód polski w Zagłębiu Ruhry to Gelsenkirchen. Ponad połowę górników stanowili w nim Polacy. Szersze odgłosy wpływów Polaków w tej miejscowości znajdujemy m. in. jeszcze do dziś i w takim fakcie, że miejscowa drużyna piłkarska „SC Schalke 04” od kilkudziesięciu lat, tj. od kiedy w okresie międzywojennym zaawansowała do niemieckiej ekstraklasy, a nawet kilkakrotnie zdobyła tytuł mistrza Rzeszy, posiadała w swym składzie zawodników o polskich nazwiskach, m. in. takich jak: Zajonc, Pikulski, Szepan, Kulwiczki, Urban czy Burdelski. W Dortmundzie miejscowa Borussia szczyliła się piłkarzami — Kwiatkowski, Schlebrowskim, Michalikiem, Niepieką czy Kapitulskim. Przykłady te można by mnożyć.

PO GELSENKIRCHEN — HERNE

Po Gelsenkirchen najsilniejszym polskim okręgiem było w 1913 r. Herne, gdzie m. in. wychodziła polska prasa, najmniejszym zaś — obwód Hattingen. „Głos Górnika” nie ujął w przytoczonej statystyce robotników polskich w innych prowincjach niemieckich, szczególnie pracujących w kopalniach Akwizgranu, gdzie też było wielu wychodźców polskich ze wschodnich prowincji Prus.

W komentarzu do przytoczonej wyżej tabelki „Głos Górnika” przyznaje obiektywnie, że wśród tzw. „Przybyszy wschodnich” może się znaleźć pewna liczba Niemców, gdyż „statystyka przybyszem ze wschodu nazywa każdego poddanego niemieckiego, urodzonego na wschodzie monarchii pruskiej”. Ale z innej strony — wyjaśnia górniczy tygodnik — nie należy zapominać o jednym bardzo ważnym momencie. Podając liczbę przybyszów wschodnich statystyka knapszaftu zalicza Polaków urodzonych na

Polonia w NRF przygotowuje się do obchodów setnej rocznicy swego istnienia. W cyklu artykułów pod tytułem „Skąd się wzięli Westfalacy?” stanowiącym fragment większej całości, przedstawiamy stułetnie dzieje polskiego wychodźstwa w Niemczech Zachodnich, jego organizację i siłę. Pierwsza część pracy zamieszczona została w poprzednim numerze „Tygodnika Polskiego” z dnia 27 lipca br.

zachodzie Niemiec, jako Niemców. Z tego wynika, że statystyka ta nie obejmuje wszystkich Polaków. Liczba Polaków urodzonych na zachodzie jest dziś atoli już bardzo poważna. Statystyka urzędowa urodzeń wydana przez centralny urząd statystyczny państwa pruskiego przed kilkoma tygodniami podaje liczbę tych na zachodzie urodzonych Polaków na blisko 80 tys. głów!

Nie ma, niestety, statystyki, ilu z tych na obczyźnie urodzonych Polaków poświęciło się górnictwu. Tyle pewna, że wielu młodych na zachodzie urodzonych obrało zatrudnienie ojca. Wobec tego różnice statystyki knapszaftowej powstające stąd, że do wschodnich przybyszów zalicza się także Niemców, a z innej strony nie uwzględnia Polaków urodzonych na zachodzie — znoszą się poniekąd i przypuszczalna liczba górników Polaków wynosi dziś okragło 120—130 tys. To naturalnie jest liczba olbrzymia.”

DZIĘKI POLAKOM

Autor artykułu podkreśla, że jeżeli wartość produkcji węgla kamiennego oraz innych gałęzi produkcji przemysłowych przekracza miliardy, to „połowa powstała przez pracę polskiego robotnika. Bez niego rozwój przemysłu niemieckiego na zachodzie byłby niemożliwy, co przyznają wszyscy znawcy stosunków... Cały niemiecki przemysł dziś robotnikiem polskim stoi”.

Charakterystyczne, że robotnicy pochodzący z jednych i tych samych okolic na Mazurach, w Poznańskim czy na Pomorzu nieraz z tej samej wsi lub kilkunastu sąsiadujących ze sobą, osiedlili się na obczyźnie westfalsko-nadreńskiej razem, co sprzyjało ich ekonomiczno-kulturalnemu rozwojowi, a ponadto zwiększało odporność na germanizację. Wychodźcy polscy byli niedostępni dla obcych środowisk i nieufni wobec nich. Wypadki ożenków z Niemkami — stwierdza Wachowiak¹⁾ prawie się nie zdarzały, ale jeżeli już znalazł się taki, który zenił się z Niemką, bywał automatycznie wykluczony z polskiego środowiska. Większość Polek nigdy nie nauczyła się niemieckiego. Tak było aż do końca pierwszej wojny światowej, a nawet i w pierwszych latach po niej.

W 29 GMINACH POŁOWA LUDNOŚCI TO POLSCY GÓRNICZY

„Głos Górnika” omawiając rozmieszczenie ludności polskiej w Zagłębiu Ruhry podaje, że Ślązacy mieszkają regularnie w Batenbrok lub Botropp, Poznaniacy w Oberhausen, Bochum i Gelsenkirchen, Mazurzy prawie wyłącznie w Gelsenkirchen. W 1905 r. naliczono w okręgu przemysłowym obu prowincji 29 dużych gmin, w których wśród ogólnej liczby mieszkańców Polacy stanowili 20 do 25 proc., w 1910 r. — procent Polaków w tych gminach wzrósł do 47, czyli praktycznie ludność polska była w nich najsilniejszą liczebnie grupą, obok Niemców i Polaków, zamieszkiwały bowiem również w nich inne narodowości.²⁾

„Głos Górnika” w przytoczonym artykule z 10.VI.1913 r. przyniósł jeszcze drugie zestawienie, dokonane na podstawie zebranych przez siebie danych, dotyczących tych kopalń gwarectwa bochumskiego, które w swych załogach miały ponad tysiąc górników polskich. Oto interesujące i wymowne oblicze tego wykazu:

Nazwa kopalni	Powiat	Stan załogi	w niej Polaków
Kaiserstuhl II	Dortmund	3.149	1.329
Hansemann		3.664	1.508
K. Ludwig I-III	Recklinghausen		
Blumenthal	„	2.893	1.437
Ewald I-III	„	2.436	1.138
Ewald III-IV	„	2.960	1.701
Augusta Viktoria	„	2.116	1.332
Emmanuel Lippe I-II	„	2.971	1.165
Bismarck II-IV	„	3.392	1.394
Bismarck III-V	„	2.808	1.656
Nordstern I-II	„	2.192	1.384
Gladbeck Möllerschachte	„	2.136	1.057
Rheinbabenschacht	„	2.168	1.160
Bergmannsglück	„	3.934	1.514
Victor I-II	Bochum	4.191	1.685
		1.872	1.000

Lothringen	Bochum	3.778	1.570
Victor III-IV	Dortmund	1.898	1.036
Fridriche der Grosse	Herne	3.050	1.696
Hamrok I-II	„	3.135	1.284
Behrenschächte	Gelsenkirchen		
Bismarck III-IV	„	3.547	1.815
Pluto I	„	2.193	1.286
Pluto II	„	2.366	1.359
Consolidation I-II	„	2.214	1.318
Consolidation III-IV	„	2.844	1.432
Rheinlbe	„	2.315	1.162
Alma	„	2.770	1.437
Holland III-IV	„	3.940	1.683
Bonifacius	„	2.669	1.122
Zollverein III-IV	Essen	3.763	1.341
M. Stinnes I-II	„	1.770	1.018
Prosper I	„	3.447	1.695
Prosper II	„	2.589	1.117
M. Stinnes III-IV	Recklinghausen	3.563	1.914
Obernhausen Schacht	„	2.525	1.084
Vondern	„		
Obernhausen Schacht	„	1.518	1.135
Osterfeld	„	4.568	1.663
Concordia	Obernhausen	2.718	1.023
Neumühl I-II	Dinslaken	4.118	1.329
Deutsch Keiser II-V	„	4.567	1.694
Deutsch Keiser III-VII	„	4.732	1.290

Trudno już dziś ustalić, czy w liczbach Polaków przytoczonych w powyższej tabelce umieszczono również górników polskich z dwóch pozostałych zaborów, tj. austriackiego i rosyjskiego. U kilku autorów są oni wyodrębnieni. W każdym razie górników z zaboru rosyjskiego było w Zagłębiu Ruhry bardzo niewiele, a od pewnego okresu wprowadzony został nawet w Rzeszy zakaz zatrudniania emigrantów z Rosji w kopalnictwie i przemyśle niemieckim, pozostawiono im jedynie pracę na roli.³⁾ W każdym razie jest rzeczą bezsporną, że przytłaczającą większość górników polskich w kopalniach westfalsko-nadreńskich stanowili Pomorzanie, Mazurzy, Poznaniacy i Górnoślacy.

WSRÓD INNYCH NACJI

W twierdzeniu „Głosu Górnika”, iż „cały niemiecki przemysł dziś polskim robotnikiem stoi” nie było bynajmniej przesady. Polacy w tamtejszych kopalniach węgla kamiennego, który był podstawą dla innych działów — hutnictwa, energetyki i stawiającej pierwsze mocne kroki niemieckiej chemii, byli najsilniejszą grupą. Niewiele mniejszą od Niemców, a nieraz większą, gdyż spośród obcych narodowości pracowali tu jeszcze Włosi, Francuzi, Holendrzy, Belgowie, Węgrzy, Szwajcarzy i Austriacy, z tym, że w kopalnictwie, wśród górników dółowych (w tzw. przodkach, przy bezpośrednim wydobyciu) najsilniejszą grupą Polaków.

W jednej z dyskusji w parlamencie niemieckim, tuż na początku 1914 r., nad zagadnieniami górnictwa poseł Imbusch stwierdził: „Liczba robotników ze wschodnich prowincji, z Prus zachodnich, Poznańskiego i z Górnego Śląska wzrosła o 71 procent, liczba innych obywateli Rzeszy niemieckiej tylko o 28 procent. W 1912 roku było w Zagłębiu rzeki Ruhry ze wschodu około 138.000, z innych części Niemiec 206.000 (w tym dużo urzędników i techników, a ponadto Duńscy, Alzaccy, Francuzi — przyp. aut.) i 31.000 obcokrajowców zatrudnionych”.⁴⁾

Pod pojęciem obcokrajowców rozumiał, jak to wynika z innych fragmentów jego mowy, robotników polskich. Charakterystyczne, że w tej samej dyskusji socjalistyczny poseł Hue poszedł jeszcze dalej. Robotnikami „aus dem Osten” określił wszystkich pochodzących na wschód od Łaby i nazwał ich obcokrajowcami. Rozróżniał on „Westdeutsche” czyli Niemców zachodnich i „Ausländer” — czyli cudzoziemców, tj. tych pochodzących z terenów na wschód od Łaby.⁵⁾

¹⁾ Stanisław Wachowiak „Polacy w Nadrenii” i Westfalii, Poznań 1917, s. 6.

²⁾ Jak wyżej, s. 23—24.

³⁾ Od kiedy zarządzenie takie wprowadzono w życie, nie udało się autorowi ustalić. Z listu do „Cesarzskiego konsula rosyjskiego” w Kolonii, w sprawie robotnika polskiego ze wsi Bodezewo Jana Galki, który zwiedzony oszukającym werbunkiem do pracy w Brazylii przez nieuczciwego agenta znalazł się w Niemczech na bruku i oddał pod opiekę westfalskich Rodaków, znajdujemy m. in. potwierdzenie faktu o takim zakazie. List ogłoszony został w bochumskim „Głosie Górnika” z 25.II.1914.

⁴⁾ Stenogram s. 1304, przytoczony za bochumskim „Głosem Górnika” z 25.II.1914.

⁵⁾ Stenogram s. 1332, cyt. jw. za „Głosem Górnika”.

Dokończenie ze str. 24

cie przeprowadzili kompleksowe badania aerodynamiki samochodu, są jednak odmiennego zdania. Twierdzą oni, że generalnym popełnianym dotychczas błędem było mechaniczne przenoszenie do motoryzacji wyników badań przeprowadzanych dla lotnictwa. Tymczasem samochód różni się od samolotu także i z punktu widzenia aerodynamiki. Przede wszystkim tym, że w zachodzących podczas szybkiej jazdy procesach wydatny udział bierze nawierzchnia drogi.

Badania wykazały przede wszystkim nie doceniany dotychczas wpływ zjawisk aerodynamicznych na sposób prowadzenia i bezpieczeństwo jazdy samochodem. Dla poszczególnych konstrukcji (najbardziej niebezpieczne są wozy z silnikiem i układem napędowym zblokowanym z tyłu) liczniki należałoby opatrywać czerwoną kreską. Bowiem przy bocznych, porywistym wietrze okrośnionej siły i przekroczeniu odpowiadającej tej sile wiatru szybkości (do rachunku wchodzi także szerokość drogi) — wypadek musi nastąpić.

Dzieje się tak dlatego, że strumienie powietrza opływające samochód podczas szybkiej jazdy nie ograniczają się bynajmniej do stawiania mu oporu, który można by przedstawić w postaci łańcucha ciągnącego do tyłu. Boczny podmuch wiatru może stworzyć sytuację nie do opanowania.

Właśnie dla przeciwdziałania sile unoszenia próbowano dodawać samochodom wyścigowym skrzydła, w krytycznych momentach przyspieszające wóz do ziemi. Zgodnie z przewidywaniami przyniosły one rzeczywiście sukcesy, ale pojawiły się równocześnie nowe rodzaje wypadków, które cały pomysł każą uważać za niewypał.

Eksperti widzą natomiast konkretne możliwości zmian kształtu karoserii samochodów, zarówno wyścigowych, jak i seryjnych. Twierdzą, iż można w ten sposób nie tylko zwiększyć bezpieczeństwo jazdy.

Każdy procent obniżonych oporów aerodynamicznych oznacza także w praktyce miliony litrów zaoszczędzonej benzyny. Bowiem nawet samochody z grupy ekonomicznych stają się przy większej szybkości pożeraczami paliwa. Bez technicznego uzasadnienia.

Eksperti oszczędności widzą przede wszystkim w odpowiednim ukształtowaniu nadwozia, które powoduje obecnie 60% oporów aerodynamicznych. Wcale nie ma — jak widać — reszty strat wywołują: przepływ powietrza pod spodem samochodu, wiry na wysuwających częściach, a także układ chłodzenia i wentylacji. Teoretycznie istnieje możliwość zmniejszenia tych wszystkich strat o połowę, w praktyce — mówi się o 30 procentach.

Jest tylko jedna wątpliwość. Publikacje potępiają wszystko, co porusza się na czterech kołach. A słowa nie ma, jaki ten kształt samochodu być powinien.

JANUSZ BIEN

POLONIA BELGIJSKA NA BUDOWĘ CENTRUM ZDROWIA DZIECKA W WARSZAWIE

Pragnąc uczcić 25-lecie Polski Ludowej, za pośrednictwem Komitetu Zbiórki przy Radzie Narodowej w Charleroi (Belgia) na budowę Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie wpłacili: Stanisław Banasik — 100 fr.; Irena Kowalska — 25 fr.; F. Wasieńczyński — 25 fr.; A. Rodzim — 50 fr.; Jan Stach — 25 fr.; Józef Ciepiałak — 25 fr.; Stanisław Wojtalik — 25 fr.; Włodarczyk — 25 fr.; Stanisław Lauzer — 30 fr.; Czesław Stefański — 50 fr.; N. N. — 50 fr.; Andrzej Peig — 60 fr.; Wł. Bugajska — 25 fr.; Józef Gorniak — 60 fr.; Rutkowska — 30 fr.; Kulikowski — 50 fr.; Daniela Wilińska — 20 fr.; Lotka — 20 fr.; Jan Krystyński — 20 fr.; anonimowo — 30 fr.; Perek — 20 fr.; Cz. Napieralski — 25 fr.; Napieralski — 20 fr.; Ed. Lauzer — 30 fr.; Janina Gmerek — 20 fr.; Jan Sołtyński — 30 fr.; Maria Janowska — 20 fr.; Zbigniew Frytko — 30 fr.; Wanda Szlachter — 100 fr.; Stanisław Pawlik — 100 fr.; D. Biały — 100 fr.; J. Po-

rowski — 20 fr.; Fr. Skopki — 25 fr.

Ponadto wpłat dokonały na inną listę następujące osoby: Jan Kieliba (Trazegnies) — 100 fr. belg.; Marian Urbaniak (Courcelles) — 50 fr.; Józef Urbaniak (Courcelles) — 20 fr.; J. Koteiszka (Courcelles) — 50 fr.; Karol Wawrzek (Courcelles) — 50 fr.; Józef Filipek (Courcelles) — 40 fr.; Kazimierz Wroński (Souvret) — 50 fr.; Smolarczyk (Trazegnies) — 50 fr.; St. Urban (Trazegnies) — 50 fr.; Fr. Woucik (Courcelles) — 20 fr.; St. Staroń (Courcelles) — 40 fr.; Piotr Curyło (Courcelles) — 50 fr.; M. Lips (Trazegnies) — 50 fr.; St. Kania (Forchies la Marche) — 50 fr.; Jan Turek (Trazegnies) — 60 fr.; St. Brząk (Forchies la Marche) — 50 fr.; Fr. Szpak (Trazegnies) — 20 fr.; Fajer (Courcelles) — 20 fr.; Szukiebowicz (Courcelles) — 20 fr.; Genowefa Duda (Courcelles) — 25 fr.; St. Figora (Courcelles) — 100 fr.; J. Mista (Trazegnies) — 20 fr.; K. Cieśliak (Courcelles) — 50 fr.

Pieniądze te zebrał p. Stanisław Banasik i p. Jan Kieliba z Trazegnies, za co im oraz wszystkim ofiarodawcom serdeczne podziękowanie składa Rada Narodowa w Charleroi.

TU LIEGE, ZWARTBERG, EISDEN! KOERSEL-STAL (BELGIA)!

POD koniec czerwca cisza zapanaowała w salach szkolnych, dzieci rozpoczęły zasłużone wakacje. Zakończyły świetny miesiąc osiągnięciami sezon kulturalny polonijne zespoły pieśni i tańca, przygotowując się do wielkiego ogólnopolskiego Festiwalu 25-lecia w Rzeszowie.

W polskich koloniach w Liège, Zwartbergu, Eisden i Koersel-Stal odbyły się z udziałem rodziców uroczystości zakończenia roku szkolnego, zorganizowane dla dzieci uczęszczających na lekcje języka polskiego.

Szczególnie poważna i o szerokim zasięgu była impreza zorganizowana w Domu Ludowym w Zwartbergu staraniem Okręgowej Rady Narodowej oraz nauczycielki języka polskiego p. Wandy Stalowej przy współudziale Polskiego Stronnictwa Ludowego oraz Oddziału Związku Polaków. Celem tej imprezy było uczczenie 25-lecia powstania Polski Ludowej.

Do licznie zebranych przemówił przewodniczący Rady Narodowej p. Antoni Malinowski podkreślając, iż natchmiast po wyzwoleniu Polonia belgijska zorganizowała pomoc dla zniszczonego Kraju wysyłając m. in. nowoczesne narzędzia dla polskich górników.

Pan Malinowski złożył z okazji 25-lecia PRL na ręce przybyłego z Brukseli wicekonsula H. Lampasiaka serdeczne życzenia dla narodu polskiego. Wicekonsul Lampasiak dziękując miejscowej Polonii za społeczną i patriotyczną postawę, omówił poważne osiągnięcia, jakich dokonano w Polsce w ciągu ostatniego pracowitego ćwierćwiecza.

Następnie rozpoczęły się przygotowane przez p. Stalową popisy dzieci i młodzieży. Gorące brawa zyskał chór dziecięcy. Popisali się deklamacją wierszy: Edzio Mleczko, Krzysztof Stala, Urszulka Piechota i Lidia Ciszewska. Zespół „Krakus” przygotowujący się intensywnie do Festiwalu 25-lecia dał przedsmak tego, co czeka w Rzeszowie walcząc o palmę pierwszeństwa.

Również uroczystym występem zakończył sezon swej pracy młody zespół „Orzeł” z Gandawy, złożony z dzieci b. kombatantów polskich, którzy tak wiele wkładają serca, aby w społeczeństwie belgijskim kultywować piękne tradycje tego kraju, którego żołnierze walczyli dwadzieścia pięć lat temu o wolność ziemi belgijskiej. Oprócz „Orla” wystąpił zaprzyjaźniony z nim zespół flamandzki. Konsulat Generalny PRL reprezentował w czasie uroczystości wicekonsul H. Lampasiak z małżonką.

W pierwszych dniach lipca rozpoczęły się gorączkowe przygotowania do wyjazdu do Polski. Pierwsza grupa młodzieży wyruszyła autokarem regularnej linii Ostenda — Poznań, zorganizowanej przez współdziałające ze sobą przedsiębiorstwa: belgijskie „Europabus” i polskie „Pekaes”. Dworzec Centralny w Brukseli rozbrzmiewał wesołym gwarem. Słychać było nawoływania w języku polskim, flamandzkim i francuskim.



Zespół „Orzeł” ze swym ulubionym i cenionym dyrygentem p. Stalarkiem

To młodzież z „Orla” i „Poloneza” z niecierpliwości oczekiwała na przybycie autokaru. Przybyli też pożegnać młodzież ich rodzice oraz wicekonsul H. Lampasiak.

Gandawę reprezentowali przedstawiciele Komitetu Rodzicielskiego: zawsze ruchliwy i lubiany przez młodzież wiceprezes J. Czech, dyrygent Zespołu p. Stolarek, p. Paradziński i p. Van

der Yougt żegnający swe córki, które są podporą grupy żeńskiej zespołu. Nadjeżdża wielki nowoczesny autokar. Wszyscy siadają wygodnie i jeszcze zostają miejsca dla „Karolinki”, która wsiada w Liège. Młodzieży towarzyszą życzenia rodziców: „Reprezentujcie nas godnie w Polsce”. (L)

POLSKO-BELGIJSKI KLUB AUTOMOBILOWY DZIAŁA W OKRĘGU CHARLEROI

Dobry miał pomysł p. Włodzimierz Kuc, gdy zaproponował i podjął się zorganizowania polsko-belgijskiego klubu automobilowego w okręgu Charleroi. Co roku przecież liczni Polacy i Belgowie polskiego pochodzenia jeżdżą samochodami na wakacje do Polski, więc taki klub, jako organizator wycieczek samochodowych lub też służący pomocą turystom udającym się do Polski, jest sprawą godną pochwały.

I oto od marca już, gdy odbyło się pierwsze zebranie, na którym wybrano zarząd, klub działa. W skład zarządu weszli: p. Włodzimierz Kuc — przewodniczący, p. Wł. Podziemski — zastępca przewodniczącego, p. R. Kulik

— sekretarz, p. A. Kuźniak — zastępca sekretarza, p. M. Janiak — skarbnik, pp. dr J. Renuart, E. Quinet, F. Hulín i L. Bakowski — członkowie zarządu, oraz pp. Z. Sikorski, E. Zdeb i T. Borowiec — członkowie komisji rewizyjnej.

Klub liczy dziś już 30 członków. 13 członków klubu wyjechało do Polski na Rajd Polskiego Folkloru. Jesienią zorganizowana zostanie dwudniowa wycieczka turystyczna do Luksemburga, zaś na wiosnę przyszłego roku do Holandii, ze zwiedzaniem Amsterdamu i Rotterdamu.

Klubowi Automobilowemu życzymy wielu sukcesów.

wuka

25-LECIE PRL WŚRÓD POLONII BELGIJSKIEJ

Z okazji 25-lecia PRL i trwających w Belgii przygotowań do jubileuszu Polski Ludowej, Centralna Rada Narodowa Polaków w tym kraju wystosowała do Polonii belgijskiej odezwę, w której czytamy m. in.:

„25 lat temu czołgi I Polskiej Dywizji Panczernej i polskie eskadry lotnicze w bohaterskiej walce u boku armii alianckich, przyniosły wolność narodowi belgijskiemu. Ziemia belgijska raz jeszcze nasiąkała krwią polskiego żołnierza.

W roku jubileuszowym Centralna Rada Narodowa Polaków w Belgii wzywa wszystkich Polaków do udziału w apelu ku czci poległych żołnierzy polskich za wolność Belgii i Polski. Uroczystość ta odbędzie się pod protektorem Towarzystwa Przyjaźni Belgijsko-Polskiej 21 września na

cmentarzu wojskowym w Lommel. Wezmą w niej udział przedstawiciele władz polskich i belgijskich oraz byli kombatanci polscy. Dla uczczenia lotników polskich poległych w walkach o Belgię na cmentarzu odsłonięta zostanie odznaka polskich eskadr, odlana w brązie w Polsce i przekazana jako dar od ZBoWiD oraz Rady Ochrony Pomników, Walki i Męczeństwa”.

W skład komitetu honorowego uroczystości w Lommel weszli przedstawiciele placówek polskich w Belgii, z ambasadorem PRL Fr. Modrzewskim, były szef sztabu I Polskiej Dywizji Panczernej gen. Fr. Skibiński, słynny lotnik płk. J. Skalski, zaś ze strony belgijskiej przewodniczący Senatu, Izby Reprezentantów, gubernatorzy Limburgii, Liège, Flandrii, Antwerpii, burmistrzowie miast wyzwolonych przez Polaków.

RADIOODBIORNIKI

TELEWIZORY

♦ Lodówki, maszyny do prania

i inne artykuły gospodarstwa domowego

LENG — PICARD ET C^{ie}

16, Place de la Liberté, 423, rue de Lannoy
Telefony: 73.39.43, 73.29.47 ROUBAIX (Nord)

Les chanteurs chez nous

RAYMOND LEFEVRE

RAYMOND LEFEVRE est un homme qui a réussi mais qui ne se croit pas arrivé pour autant. On pourrait en donner pour preuve ses occupations aussi variées que multiples qui le conduisent rituellement à deux heures, chaque matin.

Dire que Raymond Lefevre n'aime pas les responsabilités serait lui refuser son premier objectif: celui d'être un musicien complet, total. Il lui faut non seulement créer ou composer, adapter ou se faire l'interprète, il lui faut diriger.

La vie de Raymond Lefevre,

c'est aussi une remise en cause quotidienne d'un double équilibre: L'un né du respect à l'oeuvre musicale et du soucis légitime du chef d'orchestre d'en proposer une interprétation personnelle.

L'autre, celui de ménager un espace suffisamment vaste de son temps pour connaître, éduquer ses enfants... vivre une vie de famille.

Comment Raymond Lefevre, aujourd'hui célèbre, est-il devenu ce qu'il est? Il n'a pas été le seul à rentrer au Conservatoire et à jouer de la flûte... à s'en échapper bien vite, surpris de son conformisme... „S'encanailler” dans les „Jam-Sessions” avec Hubert Rostaing, à l'époque de Boris Vian ne fut certes pas original... C'est qui l'est davantage c'est d'avoir été

l'un et l'autre. Mais de cette double formation, alliant la technique instrumentale à la mise en place orchestrale, a pu naître „une conception musicale rythmique bien particulière au domaine des variétés...”

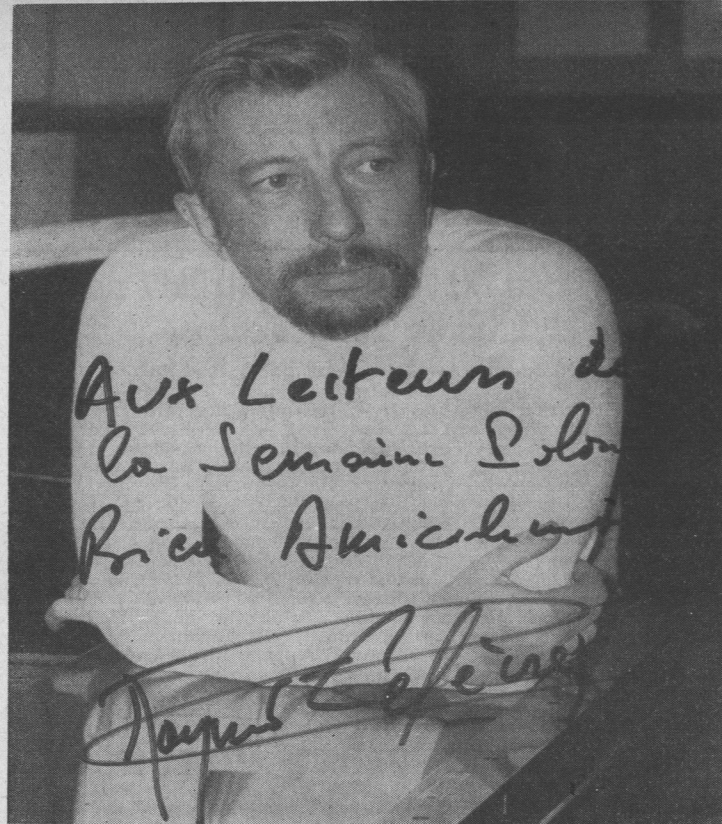
Aujourd'hui Raymond Lefevre a accompagné presque toutes les vedettes françaises les plus confirmées comme les débutants, enregistré les plus grands succès, dirigé jusqu'à 800 musiciens...

Orchestrations, répétitions, compositions, pour la radio et la télévision, musique de films (Le Gendarme de St-Tropez, Le Gendarme de New-York, Les Grandes Vacances...) Raymond Lefevre semble avoir tout entrepris.

Raymond Lefevre, un homme grand et mince, amoureux de Beethoven et de Debussy donne de lui l'image fidèle de sa générosité: un visage qui aurait la noblesse hispanique de quelques portraits de Velasquez.

Et comme pour s'excuser de s'imposer, de diriger 40 musiciens:

„J'aime les responsabilités, la difficulté d'entreprendre, d'innover; j'ai ce courage parce que les satisfactions que l'on en retire sont plus grandes...”



WYMIENIAMY KORESPONDENCJĘ

Sarah MARTIN, 63, rue de la Cité 51-EPERNAY (France), lat 8, która bardzo lubi czytać, uczy się gry na fortepianie i zbiera znaczki pocztowe, chciałaby korespondować w języku francuskim z małą dziewczynką z Polski.

JANUSZ MICHALAK — Łódź 11 — Bałuty, ul. Bydgoska 15 m 7 — już od dawna pragnie mieć przyjaciół we Francji, i tym razem cała jego nadzieja w „TP”. Oby się spełniły życzenia p. Janusza, i innych naszych Czytelników. A oto co pisze o sobie: „Mam 17 lat i jestem uczniem Liceum Ogólnokształcącego, mówię po francusku i w tym języku chciałbym korespondować z rówieśnikami. Lubię muzykę „pop”, uprawiam sport, poza tym, moim hobby jest kolekcjonierstwo, głównie znaczków pocztowych i widokówek, które mógłbym wymienić z moimi korespondentami. Oczekuję na propozycję”.

ELEONORA RADOJEWSKA — Hronov II D.P.D.215, Okres Nachod, CSSR — jest Polką, zamieszkałą w Czechosłowacji i tak pisze do redakcji: „Dość często czytam Wasze pismo. Ostatnio interesuje mnie bardzo kącik „Wymieniamy korespondencje”. Niestety nie mogę znaleźć odpowiedniej osoby, z którą mógłbym korespondować, obojętnie czy po polsku, czy po francusku. Moja mama jest Francuzką. Mam 18 lat, moje zainteresowania to film, muzyka, podróże. Mogłabym wymienić widokówki polskie, a także czeskie. Oczekuję z niecierpliwością na listy od Rodaków z Francji i Belgii”.

KRYSTYNA WAWRZON — Nowa Święta, powiat Złotów, woj. koszaliński — jest nauczycielką śpiewu, ma 20 lat. Interesuje się muzyką, śpiewem, językami obcymi, judo, pływaniem i podróżami. Uczy się języka francuskiego. Bedzie bardzo szczęśliwa, jeśli otrzyma listy od młodzieży z Francji i Belgii, przrzeka że odpowie na każdy list.

WINCENTY SZYMKOWIAK — Poznań 37, ul. Jackowskiego 36 m 10 — poszukuje chętnych do korespondowania na temat Rodaków żyjących we Francji. Jest zainteresowany życiem codziennym młodzieży polonijnej, ich działalnością kulturalną, społeczną, artystyczną itp. Ma 22 lata, lubi podróże, zbiera znaczki pocztowe i widokówki.

ANDRZEJ WANICKI — Warszawa, ul. Piękna 62 m 80 — ma 20 lat, jest technikiem teatralnym, interesuje się teatrem, historią sztuki, filmem, muzyką młodzieżową, malarstwem i grafiką, pragnie nawiązać kontakt z Czytelnikami „TP” w jego wieku i o podobnych zainteresowaniach. Zna język francuski, angielski i niemiecki.

ELIGIUSZ HEILIG — Szczecinek, ul. Jeziorna 15/4 — chciałby nawiązać korespondencję w celu wymiany znaczków pocztowych o tematyce: flora, fauna, kosmos, sport, turystyka, malarstwo, architektura, kultura. Ma 28 lat, posiada żonę i dzieci. Może korespondować w języku francuskim, angielskim, niemieckim, rosyjskim i polskim.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

19 lipca ukazała się nowa seria znaczków o tematyce młodzieżowej — pierwsza seria polska poświęcona harcerstwu. Ukazała się z okazji tegorocznego, piątego alertu harcerskiego, organizowanego co rok przez Związek Harcerstwa Polskiego, wspólnie z Radą Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa. Na wszystkich trzech znaczkach umieszczono krzyż harcerski — odznakę organizacji, oraz rysunki symbolizujące pamięć, obronę i pracę — hasła harcerskiego alertu.

Te 3 znaczki wzbogacą popularne zbiory o tematyce młodzieżowej — skauting, pionierzy itp.

Znaczki wykonane są techniką kombinowaną: statoryt + offset, wg projektu art. plast. Tadeusza Michaluka, w nakładzie 6 mln serii. Format znaczków 21,5 x 51 mm. (em.)



La semaine des Jeunes



Mon frère est en vacances en Pologne. Ma mère et mon père sont allés rendre visite à la tante Marynka et à l'oncle Lolo. La tante Marynka et l'oncle Lolo sont bien gentils, mais comme il est hors de doute qu'ils ne parleront que de leur nouvelle deux chevaux, et comme j'ai déjà dû admirer ce fameux bolide jeudi dernier, j'ai préféré rester à la maison. Je suis seule et j'en profite pour essayer pour la nième fois mon nouveau costume de bain. Me voici à me mirer dans la glace de notre garde-robe (les garçons, ne lisez pas!), et à me dire qu'une fille, c'est quand même mille fois plus beau qu'un garçon. N'est-ce pas que c'est vrai? Mais les garçons ont-ils

seulement besoin d'être beaux? C'est ce que je suis en train de me demander. Car je rêve, voyez-vous, je pense à l'amour. Encore? Mais oui. Qu'y-a-t-il d'étonnant à cela? Il faut bien que j'y pense, ce n'est tout de même pas quand je serai une vieille de trente ans que je vais m'y mettre, non? Allez, ne faites pas les saintes nitouches! Je mettrai ma main au feu que vous y pensez au moins aussi souvent que moi. N'est-ce pas que j'ai raison?

Je pense à l'amour, mon imagination s'échauffe, et mon coeur bat, il bat comme le vôtre. On n'est pas sérieux quand on a dix-huit ans (mais est-il bien nécessaire qu'on le soit?). Je me vois sous les espèces d'une aguichante et radieusement gothique Iseut. Je me trouve dans un château, mettons dans l'ancienne Aquitaine, et un troubadour qui me regarde d'un air candide et tristement rêveur me dit: „Ô dame Martine, vous dont le coeur est noble et le corps gent, vous plaît-il d'entendre un beau conte d'amour et de mort?...” Sûr que cela me plairait. Mais le doux troubadour n'a pas le temps de la conter, car voici que désertant le Moyen-Age pour le dix-septième siècle, je me

métamorphose en une nouvelle Religieuse Portugaise. Comme la pauvre Marianna Alcoforado, je brûle d'amour et écris des lettres passionnées à un homme qui se moque des sentiments qu'il m'inspire comme de l'an quarante. Grand Dieu, et si jamais pareille chose m'arrivait tout de bon?! Non, c'est impossible. Jamais! Moi, aucun homme ne saurait me faire marcher! C'est moi qui les ferai marcher. Allez, tas d'impudiques lovelaces, tous à genoux! Je vais les venger, moi, toutes ces jeunes filles à qui vous avez brisé le coeur!

Souvent je m'imagine aussi mariée (c'est normal, non? Je parie que vous en faites tous autant!). Mon mari et moi filons le parfait amour. Nous nous aimons comme Héloïse et Abélard, comme le Grand Meaulnes et Yvonne de Galais, comme Yves Montand et Simone Signoret, comme Aragon et Elsa. Mais il est aussi des fois où je me vois aux côtés d'un gros pécore. Qu'est-ce que vous voulez, le mariage est une loterie! Que faire? Ô rage, ô désespoir ô hymen ennemi! Par bonheur, ce gros pécore de mari a un jeune secrétaire qui, lui, est beau comme un ange et presque aussi spirituel que Vol-

taire. Naturellement, ce jeune secrétaire tombe éperdument amoureux de la belle Martine. C'était en quelque sorte fatal. Mais il n'ose pas me le dire, le pauvre chéri, il est si timide! C'est tout juste s'il ose me chanter:

„Si vous croyez que je vais dire
Qui j'ose aimer,
Je ne saurais pour un empire
Vous la nommer...”

Qu'est-ce que je pense de ce jeune secrétaire, moi? Eh bien, disons qu'il ne m'est pas indifférent... Mais n'allez surtout pas vous imaginer que nous allons finir par entretenir des relations adultères. L'adultère, jamais, pas moi, pas même en rêve! (Enfin, je l'espère...) C'est donc une situation sans issue? Pas du tout! Un beau jour, c'est moi qui surprends mon pécore de mari en flagrant délit d'adultère! Il me trompait! Vous vous rendez compte?! Je lui récite le Code Civil: „La femme pourra demander le divorce pour cause d'adultère de son mari”. Je suis libre! Tout se termine comme dans un roman à l'eau de rose: le spirituel secrétaire et moi, nous partons en voyage de noces à Tahiti

via Naples, Capri, la Floride, etc. Sans avoir eu recours à madame Anna (celle de „La Semaine Polonaise”), j'ai réussi à refaire ma vie avec un autre homme. C'est-y pas beau ça, hein?

Ai-je au moins réussi à vous faire sourire? J'espère que oui. Si oui, tant mieux. Sinon, c'est que vous n'avez pas le sens de l'humour (qu'est-ce que vous voulez, il faut bien que je me défende, non?!) Bon, je vais aller essayer encore une fois mon costume de bain. Voilà qui est fait. Regardons-nous dans la glace... On dirait que ça va. De face, il me semble que je ressemble à feu Marylin, mais en mieux. De profil, je trouve que je rapelle Vanessa Redgrave, en plus distingué s'entend...

Ah, il faut bien rire un peu de temps en temps, pas vrai? Mais pour finir, parlons sérieusement. Je ne vous dis qu'une chose: quand mon copain de Varsovie me verra dans ce costume de bain-là (dans quelques jours, je pars en Pologne avec ma grand-mère), eh bien, je vous jure qu'il lui faudra un bon mois pour se remettre de son émotion! Je vous fais une grosse bise.

MARTINE

JE FLIRTE AVEC CUPIDON

POŁĄCZMY SWE SERCA

Wielosobowa grupa młodzieży z Francji, Kanady, Belgii i innych ośrodków emigracyjnych po raz pierwszy jedzie na kolonie letnie do Kraju. Jakie przeżywają emocje, co ich czeka, jakie przygody wydarzą się im w Warszawie?

Opowiada nam o tym ciekawa sztuka napisana przez Andrzeja Foksa i Janinę Kosińską pt. „Połączmy swe serca”. Wątek sztuki oparty został na autentycznych zdarzeniach i obserwacjach młodzieży przyjeżdżającej do Polski na wakacje. Jest bardzo zajmujący, chwilami liryczny i romantyczny, chwilami pełen dramatycznego napięcia. Szczególnie pasjonujące są przeżycia bohaterki sztuki — młodzieńkiej Ani z Montrealu, która odnajduje w Warszawie kogoś bardzo bliskiego jej sercu. Kogo? Dowiedziecie się z treści sztuki, podanej w skrócie pod zdjęciami.

Zaznaczamy, że sztuka ta grana jest przez Teatr Dzieci Pruszkowa, który w czasie 13 lat istnienia dał już ponad 300 przedstawień dla ponad 200 tys. młodych widzów. Sztuka pt. „Połączmy swe serca” grana jest już pięć lat i cieszy się dużym powodzeniem. W czasie kolonii w Polsce oglądały ją też liczne grupy młodzieży polonijnej.

AKT I



„Kiedy nareszcie będzie ta Polska” — pytają dzieci jadące pociągiem po raz pierwszy na wakacje do Polski. Są wśród nich dzieci z Francji, Anglii, Stanów Zjednoczonych, a nawet z Afryki. „Jedzie się, jedzie i dojechać nie można” — narzekają. Nużący nastrój rozprasza jasnowłosa Ania śpiewając napisaną przez siebie piosenkę: „Z czterech stron świata, tak, do Warszawy, jedna tęsknota wiedzie nas”. Wszystkie dzieci śpiewają.



Lecz oto rozlega się głos kierowniczkii grupy: „Uważajcie dzieci, zbliżamy się do granicy Polski”. Dziewczęta i chłopcy podbiegają do okien. „Gdzie ona jest, jak wygląda?” — pytają. Gwar, hałas potęguje wzruszenie. Pociąg mija białoczerwony słup graniczny. Nareszcie dzieci są w Polsce. Wśród ogólnej radości i zamieszania jedna tylko dziewczynka siedzi w kąciku przedziału i płacze. To Ania. Jest głęboko przejęta i zamyślona.

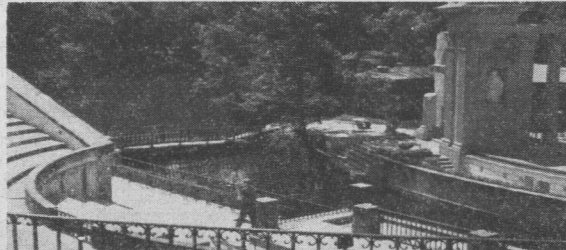


„To ze wzruszenia” — mówi Ania. Dziewczynka urodziła się w Warszawie. W czasie wojny Niemcy rozstrzelali tam jej ojca, a matka, brat i siostra przysypiani zostali gruzami podczas bombardowania. Ślad o nich zaginął. Ania straciła najbliższych, dom, została ranna. Zaopecował się nią współrodak z Warszawy, który w czasie powstania stracił żonę i córkę. Od 20 lat mieszka już z Anią i synem Jackiem w Montrealu.

AKT II



W wigilię święta wianków, czyli nocy świętojańskiej dziewczęta i chłopcy zwiędają w Warszawie Park Łazienkowski. Gdy zapada zmrok, urządzają sobie zabawę, szukając zaczarowanego kwiatu paproci, który ponoć tylko raz w roku w tę właśnie noc kwitnie. Kto go znajdzie, ma zapewnione szczęście. „Czarodziejska noc Kupały, wszystkie kamienne posągi ożyły na tę jedy-ną noc w roku”. Tymczasem, zmęczona Ania zasypia.



W sennych wizjach Ania widzi w Parku Łazienkowskim nowych gości. Są to skrzaty i chochliki, które wiodą ożywione rozmowy nad śpiącą dziewczynką. Potem urządzają najdziwniejsze tańce, śpiewy i zabawy. Śpiewają również złociste lipy, kasztan i klon, a nawet księżyc oświetlając park śpiewa: „Polskie dzieci i tulaczce; wiele, wiele takich. Tęsknią, tęsknią, do gniazd swoich wracają jak ptaki”. Nocne skrzaty urządzają bal.



Baśniowe postacie tworzą barwny korowód taneczny. Płasają nimfy i driady, tańczą kolorowe skrzaty. „Ja jej kwiaty przyniosę, wplotę w jej włosy” mówi jeden z chochlików, gdy drugi tymczasem zbiera dla niej poziomki, a jeszcze inni zapraszają wraz z paziami dziewczynkę na bal w pałacu, który wydaje jej nocy sam król. Jeden ze skrzatów, już po skończonym balu, wpina we włosy Ani zaczarowany kwiat paproci.

AKT III



Kierownictwo kolonii dla dzieci Polonii zagranicznej poszukuje Ani za pomocą komunikatów radiowych, posterunków milicji itp. Następnego dnia zjawia się Ania w towarzystwie pani, która twierdzi, że zatrzyma dziewczynkę u siebie... na zawsze. Okazuje się, że Ania udala się na Stare Miasto w poszukiwaniu zburzonego w czasie wojny domu i tam odnalazła swą... mamę. Szczęście matki i córki dzielą teraz wszyscy uczestnicy kolonii.



Ania opowiada matce o pięknej nocy pełnej romantycznych, baśniowych snów. Mówi o kwiecie paproci, któremu zawdzięcza odnalezienie mamy; radość ze spotkania z mamą uwieczna piosenką: „Ta moja uliczka wążutka i krzywa. Skąd, dokąd prowadzi? I jak się nazywa?... Znalazłam, jak dawniej rząd starych kamienic. A w szybach blask słońca bursztynem się mieni”. Ania z matką wzruszone opowiadają sobie o przeszłości.



Matka opowiedziała wychowawczyniom swe niezwykle dzieje z czasów powstania, wyzwolenia i odbudowy Stolicy. „Ile to było starań i zachodu, żeby zdobyć mieszkanie w tym samym domu, na tym samym piętrze. Ale jakiś wewnętrzny głos mi mówił, że Ania kiedyś wróci... właśnie na to samo miejsce” — opowiadała matka Ani. „I dzisiaj, gdy zapukała do drzwi, wiedziałam, że to ona”. Teraz matka z córką będą razem.

AKT IV



Ostatni akt sztuki rozgrywa się w mieszkaniu matki Ani, na Starym Mieście. Dziewczynka zaprosiła z Montrealu swego opiekuna — Dady i przybranego brata. Wszyscy cieszą się szczęściem Ani, ale zarazem żal im rozstać się z nią. Była przecież przez tyle lat „prawdziwą” córką Dady i siostrą Jacka. „Stajesz Aniu na rozdrożu i musisz wybierać” — mówi Jacek. Ania wykrzykuje: „Możecie przyjechać do Polski, na stałe”.



Decyzję tę Jacek sam przekazuje ojcu. „Chcę teraz mówić o twojej miłości, nie zaprzeczaj... Od razu zauważyłem, że pani Lena (matka Ani) zrobiła na tobie ogromne wrażenie. Jeśli chodzi o mnie, to byłbym bardzo szczęśliwy... gdybyście obydwójcie...” — jąka Jacek... „To jedyne rozwiązanie tego węzła, który ta smarkata zapułała. W Polsce potrzebna jest każda para silnych rąk, każda mocna głowa” — przekonuje ojca Jacek.



Pod pomnikiem warszawskiej Syrenki grupa młodzieży polonijnej i polskich harcerzy przed powrotem do swoich domów śpiewa piosenkę. Są tu też nasi bohaterowie: Ania i jej mama oraz Jacek z ojcem, którzy już stanowią szczęśliwą rodzinę. Wszyscy składają przysięgę Ojczyźnie: „Polsko ojczyzno nasza. My dzieci twoje po szerokim świecie rozproszone, ślubujemy tobie kochać cię zawsze i czcić”. Tak kończy się sztuka.

Tylko dla dziewcząt i kobiet Tylko dla dziewcząt i kobiet Tylko dla dziewcząt i kobiet

„MISS COUTURE” A. HUDYKA

Magazyn: 55, rue de Bouvines LILLE (Fives) tel. 52-08-86
Siedziba: 199, rue de Paris LILLE Tel. 53-10-03

Konfekcja męska, damska i dziecięca

■ suknie ■ spódnice ■ swetry
■ bluzki ■ popeliny ■ tergal i płaszcze

PIERZE ■ WSYPY ■ POSZWY ■ DAMASY

Ceny niskie

Na żądanie wysyłamy próbki

RADY od serca

KOCHANA PANI ANNO!

Zrobiłam okropną rzecz i nie umiem teraz z niej wybrnąć. Opowiem wszystko po kolei. Gdy miałam lat 19, przeżyłam wielką, lecz bardzo krótką miłość, której owocem było dziecko. Urodziłam je, rodzice pomogli w pierwszych latach, a od dwóch lat, gdy zaczęłam nieźle zarabiać, oddałam matę do ludzi na stację. Jeździłam tam często, odwiedzałam dziecko, przywoziłam prezenty. Było jej tam dobrze. Półtora roku temu poznałam pewnego mężczyznę, bardzo poważnego, solidnego i kochającego mnie. Wyśzłam za niego za mąż. Ale zataiłam moją przeszłość. Nie powiedziałam mu, że mam dziecko. Musiałam jednak wymyślić jakąś historię, żeby upozorować odwiedzin u matki. Powiedziałam, że to jest dziecko kuzynki — sierota. Mąż nie zadawał dalszych pytań, tylko pewnego dnia zwrócił się do mnie z propozycją, żeby, jeśli chce, wziąć tę dziewczynkę do nas na wychowanie. Zupełnie nie wiedziałam co odpowiedzieć. I dalej nie wiem. Bo przecież jeśli dziewczynka przyjedzie, to sprawa natychmiast się wyjaśni — ona mówi do mnie „mama”. Robię sobie wyrzuty, że od razu, jeszcze przed ślubem nie wyznałam mężowi prawdy. Bo jak teraz się przyznać? Jeśli nie zrozumie i nie przebaczy, co wtedy? Muszę dodać, że jest to człowiek wyjątkowej uczciwości i prawości. Wiem, że sam marzy o własnym dziecku i będę musiała spełnić to jego marzenie. Ale co robić teraz? Jak postąpić? Przyznać się czy nie?

K-SKA

DROGA PANI!

Oczywiście, że się przyznać, opowiedzieć wszystko i wytłumaczyć się z tego, że próbo-

wała pani ukryć prawdę. Jeśli, jak pani pisze, mąż jest człowiekiem tak porządnym i uczciwym, nie wierzę, by mógł się zmienić w stosunku do pani ze względu na tę sytuację. Oczywiście, szkoda, że od razu nie powiedziała mu pani o tym dziecku. Na pani miejscu, skoro już tak sprawy zaszły, postąpiłabym tak. Gdy znowu zaczniecie państwo rozmawiać na temat przyszłego waszego dziecka, przy tej okazji, powiedziałybyśmy mężowi po prostu. — „Muszę ci coś wyznać, co przez głupotę chciałam przed

tobą ukryć”. I już, powiedzieć co i jak. Jestem pewna, że mąż ponowi swoją propozycję, by małą wziąć do domu, jestem pewna, że zrobi wszystko, by się dziecku najlepiej czuło. Bo każdy przyzwyczajony człowiek tak postąpi w analogicznej sytuacji. Myślę, jeśli wolno mi coś jeszcze doradzić, że powinna pani jak najszybciej zdecydować się na to drugie dziecko, wspólnie. Byłoby to dobre dla wszystkich. Życzę pociechy z dzieci.

ANNA

APEL MUZEUM NARODOWEGO W WARSZAWIE

W związku z przygotowaniem materiałów do pracy naukowej — Muzeum Narodowe w Warszawie, Al. Jerozolimskie 3, uprzejmie prosi o osobiste lub listowne skontaktowanie się osoby posiadającej lub mogącej udzielić jakichkolwiek danych o losach przedstawionego na zdjęciu obrazu zakonnicy, pochodzącego z XVI wieku, o wymiarach 50 × 45 cm, malowanego techniką olejną.



PRZED KOŃCEM LATA



Jeszcze błyskamy piękną opalenizną, jeszcze wspominamy świeże przeżycia z ostatnich wa-

kacji, a już kalendarz daje znak, że lada chwila jesienne chłody. Dla podtrzymania letniej atmo-

sferę raz jeszcze prezentujemy letnie stroje noszone przez panie w Polsce. Te modele

i cały szereg prezentowanych dotąd w naszej mini-kolekcji znajdują się w sprzedaży we wszystkich domach odzieżowych w Polsce i są dostępne dla kieszeni każdej średnio sytuowanej kobiety. Widziałam na własne oczy jak polskie sukienki kupowały młode szwedzkie, czeskie i angielskie dziewczyny, Rūre coraz liczniej wybierają się na urlopy do Polski. Skoro je kupowały, widać im się podobały. A nasze Polki czasem grymaszą... Ale dość tego plotkowania. Przystąpmy do rzeczy. Oto ostatnia nasza propozycja na plażę: w kolorowe kwiaty. Iniana sukienka zapinana od góry do dołu, z tym, że zapięcie umieszczone jest z boku. Wąski długi dekolt modny w tym sezonie i... to wszystko.

Drugą sukienkę polecamy z myślą o popołudniowej randce. Uszyta z jedwabiu w szafiro-ym kolorze, jest twarzowa dla każdego typu urody. Sukienka ma charakter półsportowy. Luźna bluzka, kołnierzyk z wąskimi klapeczkami, krótkie rękawki. Spódnica krótka, szeroka w zaprasowane kontrafałdy. Całość ozdabia mała kieszonka naszyta u góry bluzki i niezbyt szeroki pasek zapinany na blyszczącą metalową klamrę. Modnym dodatkiem będzie biała chustka, którą nosimy według własnej fantazji.

KRYSTYNA

Głos lekarski

OPALANIE NA CEZUROWANYM

ROZPOCZYNAJĄC urlop przede wszystkim pragniemy pięknej, słonecznej pogody warunkującej dobry wypoczynek. Słońce ma cudowny wpływ na nasz organizm, poczynając od rozkoszy plażowania aż do walorów czysto psychicznych. Nie zawsze jednak nasłonecznianie jest tak dobre, nawet dla osób zdrowych. Warto zapoznać się z niektórymi właściwościami promieniowania słonecznego, by uniknąć jego czasem ujemnych skutków. Przy zbyt długim nasłonecznieniu, zwłaszcza z nie osłoniętą głową i karkiem, promienie słoneczne wywołują udary ciepłe, niekiedy nawet groźne dla życia.

Opalanie się polega na wytwarzaniu się w skórze barwnika melaninu i ma dwa zasadnicze okresy. Dobrze jest je poznać, bo łatwiej wtedy uniknąć niekorzystnych, a czasem wręcz szkodliwych dla zdrowia procesów zachodzących w trakcie opalania. Przy pierwszym opalaniu już po około 15 min. występuje uczucie rozgrzania, a na skórze występuje rumień. Jest to pierwsza-faza opalania. Jeżeli plażowanie ograniczymy do tych 15 min., to rumień zniknie, ale po kilku godzinach pojawi się znowu. W miarę dalszych seansów nasłoneczniania rumień utrwali się i rozpocznie się drugi okres brązowienia skóry w wyniku powstawania w niej melaninu. U osób o śniadej cerze odkładanie barwnika rozpoczyna się bardzo szybko, tak że prawie nie przechodzą oni fazy rumieniowej. Wiadomo zresztą, że osoby o jasnej karnacji, blondyni, opalają się najpierw „na czerwono”, a później dopiero brązowieją.

Jeżeli jednak rozpoczniemy od razu bardzo intensywne opalanie, może wystąpić bardzo przykre poparzenie skóry, pęcherze lub nawet rany, które po wygojeniu pozostawiają trwałe ślady. Pierwsze opalanie dla osób o jasnej, wrażliwej cerze nie powinno trwać dłużej niż 10—15 min. i 30 min. dla osób o ciemnej karnacji.

Kolor opalonej skóry zależy od wielu czynników, od naturalnych właściwości skóry, od pory roku, a także od warunków klimatycznych. Marcowe słońce w górach powoduje pomarańczowobrazowy odcień pigmentacji, co jest wynikiem mniejszego pochłaniania przez atmosferę poszczególnych składników promieniowania oraz kąta, pod jakim padają promienie słoneczne. Natomiast nad morzem, gdzie promienie słoneczne docierają poprzez grubszą warstwę atmosfery, opalona skóra przybiera kolor ciemnego brązu.

Wbrew powszechnemu mniemaniu najkorzystniejsze warunki do opalania istnieją wtedy, kiedy promienie słoneczne padają nie na wprost, a właśnie z boku, stycznie do powierzchni skóry. Docierają one wtedy tylko do warstwy naskórkowej i powodują szybkie gromadzenie się w niej melaninu. Przy prostopadłym padaniu promieni słonecznych przenikają one do głębszych warstw skóry i gromadzenie barwnika postępuje znacznie dłużej. Stąd najpiękniejszą opaleniznę uzyskuje się w ruchu, np. przy grze w piłkę lub przy... pracy na słońcu.

Należy także zwrócić uwagę na światło uczulające działanie niektórych środków chemicznych, zawartych w olejkach lub kosmetykach. Do nich należą np. fenacil, antybiotyki z grupy tetracyklin, fenergan, chlorofil znajdujący się w kremach lub w pastce do zębów, sulfonamidy, sok dziurawca, olejek Bergamotowy znajdujący się w wodach kolońskich i wiele innych. Przestrzec należy zwłaszcza przed używaniem wody kolońskiej tuż przed opalaniem. Na skórze mogą wtedy powstać szpecące smugi, początkowo czerwone, później brunatne, długo utrzymujące się.

Choroby skóry, które powstają w wyniku jej nadwrażliwości na światło słoneczne nazwano fotodermatozami. Należą do nich: letnie zapalenie warg, pokrzywka świetlna, opryszczki ospowate, niektórzy zaliczają tu także liszaj rumieniowy, który jest poważną chorobą skóry i narządów wewnętrznych, jakkolwiek nie zawsze ma on związek z uczuleniem na światło słoneczne. Zmiany skórne w wymienionych schorzeniach przybierają postać rumienia, pęcherzy, złuszczenia, bądź też formę mieszaną.

W leczeniu najważniejsze jest chronienie skóry przed światłem słonecznym przez noszenie odpowiedniej odzieży, stosowanie miejscowo ochronnych pudrów i kremów. Ponadto podaje się duże dawki witamin C, B i PP, wapnia, sterydów i środków przeciwalergicznych. Niezależnie od omówionych schorzeń, wszystkie osoby po 40 roku życia winny zachować dużą ostrożność przy opalaniu, gdyż bardzo łatwo wraz z pięknym, choć nietrwałym, brązowym odcieniem skóry można uzyskać... trwałe zmarszczki.

dr Danuta BOBROWSKA

NIECH ŻYJE POLSKA!

Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Grenoble. Grupa polskich dziennikarzy w przelocie z jednego olimpijskiego obiektu na drugi — wpada na chwilę do jednej z licznych grenoblańskich kafejek, aby napić się dobrej kawy. Kafelka nazywa się „Braserie de la Coquille”. Kiedy podano kawę, do polskiej grupy podszedł jakiś starszy pan i wykrzyknął: „Niech żyje Polska”.

Okazało się, że jest to p. Julien Eichenbon, rodem z Lublina, który wyemigrował z Polski w 1929 roku. Jest on prezesem Unii Ochołotników Ruchu Oporu w Grenoble. Jeden z jego francuskich przyjaciół zobaczył kilku Polaków wchodzących do kafejki, pędem pobiegł do mieszkania p. Eichenbona i zawiadomił go o tym.

— Przyniesłem natychmiast — powiedział p. Eichenbon polskim dziennikarzom — żeby sobie porozmawiać i przypomnieć język. Sportem wprawdzie się nie interesuję, gdyż jestem już na to za stary, a w moich czasach nie był on tak popularny jak obecnie, ale zawsze chętnie i z prawdziwą radością spotykam się z Polakami. Proszę o przekazanie najlepszych życzeń wszystkim rodakom i sportowcom.

BÓJ SIĘ BOGA MAZURKIEWICZ!

Jest taka farsa „Żołnierz Królowej Madagaskaru”, w której jeden z bohaterów ciągle powtarza: *Bój się Boga Mazurkiewicz!* Powiedzonko to stało się popularne i często jest używane dla wyrażenia niezadowolenia z własnego postępowania. Czasem jednak dotyczy to także dezaprobaty dla naszych bliźnich.

Finały rozgrywanych w Anglii ostatnich mistrzostw świata w piłce nożnej były niezwykle ciekawe. W Polsce, która transmitowała przez telewizję większość meczów, cieszyły się ogromną popularnością. I od razu, od pierwszego spotkania największą sympatię zaskarbiła sobie u polskich kibiców piłkarskich drużyna Urugwaju. Nic zresztą dziwnego. Urugwajczycy grali doskonale, ładnie dla oka, twardo ale bardzo fair, a w dodatku bramki ich bronili w fantastyczny sposób zawodnik Ladislao Mazurkiewicz. To prawdopodobnie było najważniejsze. Wszyscy w Polsce żyli Urugwajczycy jak najlepszych wyników.

Wszyscy ciekawi też byli kim jest ów Mazurkiewicz. Polscy dziennikarze obsługujący mistrzostwa przekazali natychmiast z Anglii, że jest on pochodzenia polskiego, jego ojciec mówi jeszcze po polsku, ale syn, niestety, zna już tylko kilka słów. Wyraził on chęć odwiedzenia Kraju, co do reszty zdobyło mu serca rodaków. I nic dziwnego, że gdy Mazurkiewicz puszczał piłkę do bramki Urugwaju w całej Polsce rozlegał się przy telewizorach chórny okrzyk: „Bój się Boga Mazurkiewicz!”

DWA SPOTKANIA W WARSZAWIE

Było to dobre kilka lat temu. Na warszawskim lotnisku Okęcie grupka oczekujących. Po niedługim czasie ląduje samolot z Moskwy. Wśród wysiadających pasażerów widać grupę młodych ludzi. To piłkarska reprezentacja Francji, która wraca do Paryża z meczu z ZSRR. Piłkarze przechodzą do sali tranzytowej. Po chwili wchodzi tam też grupa ludzi, którzy oczekiwali na samolot z Moskwy. Kilka słów z kierownictwem ekipy i później serdeczne powitanie z zawodnikami polskiego pochodzenia — Kopą i Wiśniewskim. Byłem wtedy na lotnisku wśród witających. Pamiętam do dziś miłe chwile spędzone na rozmowie z dwoma sławnymi piłkarzami. Miłe dlatego, że starali się oni mówić po polsku i całkiem im się to udawało. Wkrótce ponownie gościliśmy ich w Warszawie, tym razem już z drużyną Reims, ale to pierwsze spotkanie bardziej utkwiło mi w pamięci. Zwłaszcza zadowolenie oraz satysfak-

WACŁAW KORYCKI

HISTORYJKI, PLOTKI, ANEGDOTKI Z ŻYCIA TYCH WSPANIAŁYCH LUDZI KTÓRYCH NAZYWAMY SPORTOWCAMI

Tytuł długi, bo teraz taka moda na świecie zapanowała, ale nasz letni „przekładaniec” składa się z krótkich opowieści, anegdotek, przygód, jakie przydarzyły się polskim sportowcom, dziennikarzom, trenerom i działaczom w czasie ich wędrówek po ca-

łej kuli ziemskiej. Są one czasem śmieszne, kiedy indziej głęboko wzruszające, niektóre nawet przerażające, ale wszystkie mają jedną wspólną cechę — są prawdziwe. Przytaczamy je tu dlatego, żeby pokazać, że także poza boiskiem sportowym przeżywają oni wielką przygodę.

NIE DOCENIALIŚMY POLSKI



SOBIESŁAW ZASADA. Nazwisko to znane jest dobrze już na pięciu kontynentach. Sławny polski automobilista jest nie tylko lubiany przez kibiców, ale też jest oczkiem w głowie Polonii, gdziekolwiek się znajduje. Czyż jednak można się temu dziwić, jeżeli się słyszało przemówienie jednego z polskich działaczy polonijnych w Argentynie, podczas bankietu wydanego na cześć zwycięstwa Zasady w wielkim wyścigu Gran Premio Argentina. Stwierdził on, że polskie dzieci traktowano dotychczas w szkole jako gorsze, spychano je na margines życia szkolnego. Po zwycięstwie Sobiesława Zasady sytuacja zmieniła się krańcowo:

— *Moje dzieci, a także dzieci innych Polaków zyskały uznanie w oczach nauczycieli i kolegów. Są teraz nie tylko pełnoprawnymi członkami społeczności szkolnej, ale ponadto spłynął na nie częściowo blask zwycięstwa Sobiesława Zasady.*

Na tym samym bankiecie prezes największego banku argentyńskiego powiedział, że należy szybko zrewidować umowy handlowe z Polską, które jego zdaniem są zaniżone.

— *Zwycięstwo Zasady świadczy, że nie docenialiśmy Polski. Musimy te błędy naprawić.*

Z drugiej strony po wielkim wyścigu stulecia z Londynu do Sydney Zasada powiedział mi:

— *Udział w sukcesie (trzecie miejsce) mają także Polacy mieszkający wzdłuż całej trasy od Anglii, przez Francję, aż do Australii. Nasi Rodacy gorąco nas dopingowali i w trudnych*

cja Kopy i Wiśniewskiego wobec francuskich kolegów, że w Polsce nie zapomniano o ich pochodzeniu i tak miło przywitano.

Drugie spotkanie związane jest z Michélem Jazy. Kiedy miałem zrobić z nim wywiad, zacząłem mówić po francusku. Wtedy Michel poprosił, żeby przejść na polski, ponieważ chciałby w Kraju swych rodziców rozmawiać w tym właśnie języku. Muszę przyznać, że byłem wtedy wzruszony, a kiedy dziś wracam do tego wywiadu i czytam go po raz chyba dwudziesty, zawsze słyszę te słowa Michela.

KIEDY POLONIA—WARSZAWA WRÓCI DO I LIGI?

Nie jest to zwyczajny widok, jeżeli sekretarka wysokiego urzędnika w porcie Freeport na Grand Bahama zaraz po przyjeździe szefa referuje mu wyniki polskich spotkań piłkarskich w III lidze, w grupie warszawskiej.

W dodatku sekretarka, która musi te wyniki i wszystkie tabele znać na wyrywki, jest stałą mieszkanką dalekiej wyspy i do niedawna nie znała ani słowa po polsku. Teraz doskonale się już orientuje w tym, co pisze „Przebieg Sportowy”. Jej szefem jest p. Feliks Minkiewicz, brat stryjeczny znanego satyryka polskiego. Startował on kiedyś w barwach warszawskiego klubu Polonia i do dziś pozostał jego wiernym kibicem.

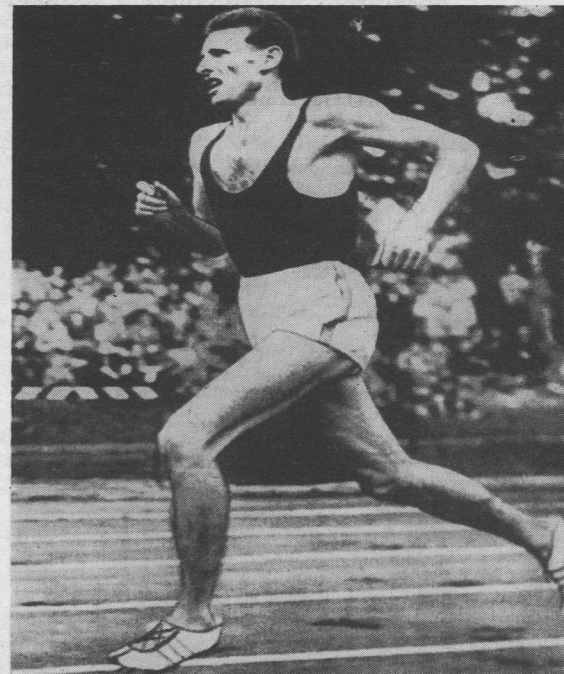
Kiedy p. Minkiewicz przyjechał na Igrzyska Olimpijskie do Meksyku, stale towarzyszył ekipie polskiej. I chociaż byli w niej zawodnicy różnych sekcji warszawskiej Polonii, jak choćby Irena Szewińska lub koszykarz Jerzy Piskun, a także kibice klubu — nikt nie umiał podać z pamięci tabeli trzeciej ligi i innych szczegółów o sporcie polskim tak dobrze, jak pan Feliks.

Nikt też nie umiał odpowiedzieć na ustawicznie zadawane przez niego pytania: *Kiedy Polonia wejdzie wreszcie do I ligi piłkarskiej? W każdym razie jeszcze nie w najbliższych latach.*

chwilach dodawali otuchy. Aż się serce radoło, gdy widzieli się białoczerwone transparenty, napisy w polskim języku.

I wreszcie jeszcze jedna wielka impreza — Safari we Wschodniej Afryce. Tam znów pomoc Rodaków, a zwłaszcza cenne uwagi ubiegłorocznego zwycięzcy, Polaka Nowickiego, mieszkającego w Nairobi.

POTRÓJNY PECH



Zdzisław Krzyszkowiak, zanim zdobył złoty medal olimpijski w biegu na 3000 m z przeszkodami na Igrzyskach w Rzymie, startował także na poprzedniej olimpiadzie w Melbourne. W biegu na 10 km zajął on tam czwarte miejsce, ale bardziej liczył na następną konkurencję — bieg 3000 m z przeszkodami. Niestety, nie wystartował w finale, w którym był jednym z faworytów. Zaczęło się od tego, że gdy zaraz po biegu na 10 km gratulował zwycięstwa Włodzimierzowi Kucowi, ten niechętny nastąpił mu na nogę stopą obutą w pantofel z kołkami. Wynik — przebita łańka u nogi. Lekarz postanowił, że Polak może startować w przedbiegu na 3000 m. Rany nie bandażują, żeby nie zaschła, co uniemożliwiłoby bieg. Krzyszkowiak w przeddzień startu idzie do kiosku w wiosce olimpijskiej. Chce kupić kartki pocztowe. Przy wejściu gryza się dwa psy. Nagle jeden z nich rzuca się na Polaka i gryzie go w łydkę. Rana jest głęboka, lekarz polskiej ekipy chce zrobić zastrzyk, Krzyszkowiak nie zgadza się.

Na drugi dzień jest przedbieg. Mimo dwóch ran Polak jest w czołówce, na pozycji dającej prawo startu w finale. Na około dwiesięć metrów przed metą potyka się biegnący tuż za nim Amerykanin Disley, popycha Polaka, który traci równowagę i wali się na żelazny bieżnik. Podnosi się co prawda natychmiast, dobiega do mety, kwalifikując się do finału, ale oba kolana i łydki ma starte do krwi. Następnego dnia wdaje się zakazanie i Zdzisław Krzyszkowiak nie wystartował w finale po medal, który wywalczył w 4 lata później.

HOŻY STARUSZEK

Wojciech Zabłocki opowiadał o swoim spotkaniu z Włochem, inżynierem Fiamberti z Mediolanu. Polak był wtedy w szczytowej formie, a inżynier miał... siedemdziesiąt jeden lat. Startował jednak w turnieju w Nowarze i doszedł do ćwierćfinału. Zaprosił on Zabłockiego do klubu Societa del Giardino w Mediolanie. Gdy młody polski szermierz zjawił się tam, Fiamberti czekał już z szablą w ręku.

— Caro Zabłocky, zrobimy dwa trafienia?

— Z przyjemnością. Walka trwa dziesięć minut. Polak robi flesz, to i Włoch także.

Twarda sztuka. Piętnaście minut. Do diabła, kiedy ten Włoch się zmęczy. A ten atakuje coraz częściej. W dodatku zaczyna trafiać. Po pół godzinie Zabłocki jest zmęczony i nie może dłużej walczyć. Proponuje przerwanie tego ostrego treningu. Przypatrująca się wszystkim florecistka Colombetti śmiejąc się mówi do Zabłockiego:

— Tak, tak, Wojtek. Z Fiambertim nie wygrasz na czas. On może walczyć trzy godziny bez przerwy.

Fiamberti był zachwycony, Zabłocki zaś od tego czasu przestał lekceważyć przeciwników, choćby mieli dwa razy więcej lat niż on.

TRUSKAWKOWY RAJ

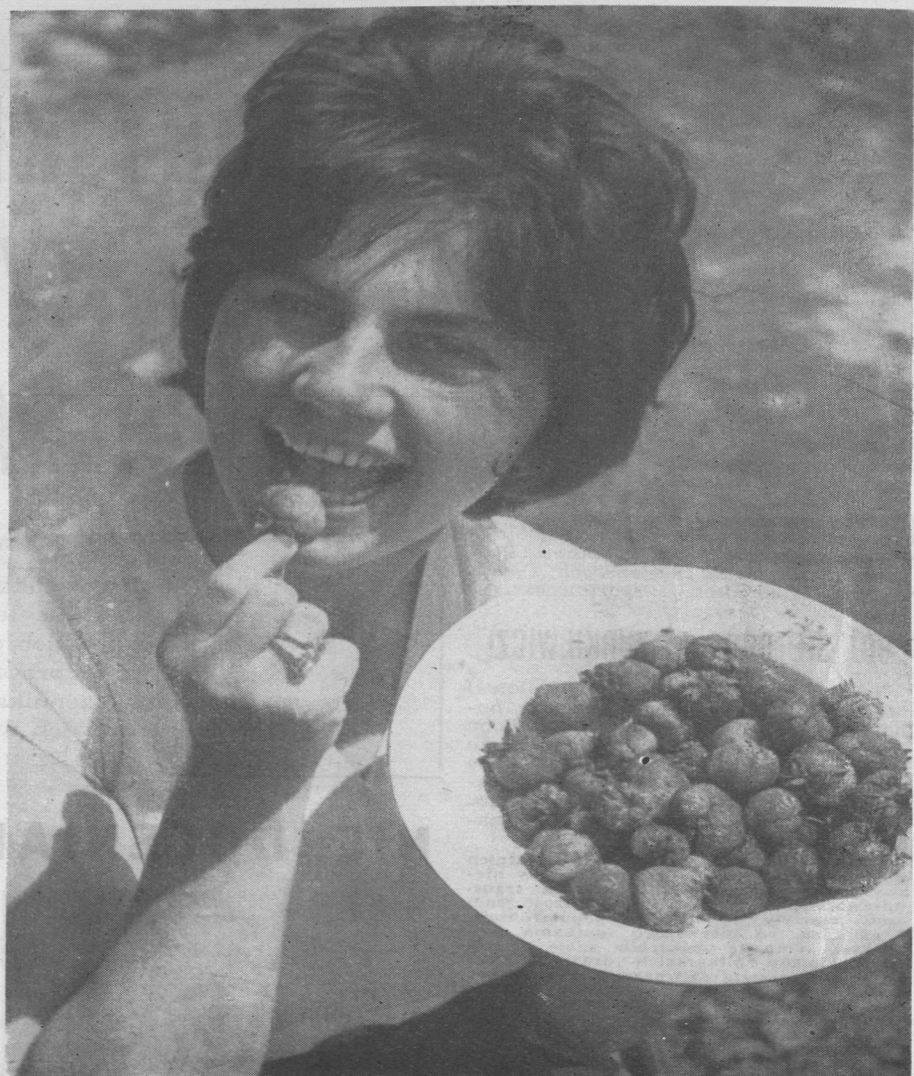
FRAGALIA - POZIOMKA. Encyklopedia wyjaśnia: „pospolita roślina leśna ma czerwone wonne jadalne owoce, w ogrodach hoduje się tzw. truskawki, mieszance i odmiany różnych gatunków poziomki, o owocach kulistych, wydłużonych lub owalnych, czerwonych lub żółtych.”

Suchy, lakoniczny opis nie daje nawet wyobrażenia o przepyszny smaku i wartościach odżywczych tych najbardziej wiosennych owoców. **Poziomki** już od bardzo dawna zdobyły sobie prawo obywatelstwa w naszej starej Europie. Rosły sobie dziko w Azji, Ameryce i Europie od niepamiętnych czasów. Pod koniec panowania Ludwika XIV do Francji przywiózł z Chile poziomki pan Frezier. Poziomka chilijska jest wyjątkowo duża i to od niej właśnie przez najrozmaitsze krzyżowania z innymi odmianami poziomki zaczęła się historia truskawek. Dziś hoduje się na plantacjach setki odmian, a jedna jest smaczniejsza i piękniejsza od drugiej. Prócz tych, którzy są na truskawki uczuleni, można te owoce polecać wszystkim, bo są absolutnie nieszkodliwe i najbardziej ze wszystkich owoców lekkostrawne.

Tu powstaje zimowy zapas truskawek

Zajadają więc ludzie wiosną truskawki jak świat długi i szeroki. Kraje, które na skutek nieodpowiednich warunków klimatycznych nie hodują truskawek (najlepiej rosną w łagodnym środkowoeuropejskim klimacie), importują co roku setki tysięcy ton od truskawkowych potentatów. Do tych ostatnich należy Polska. Królestwem polskich truskawek jest ziemia mazowiecka.

W promieniu kilkudziesięciu kilometrów od Warszawy wiosną i latem olbrzymie połacie pól mienią się czerwono-zielonymi barwami truskawek, a na nich roją się zbieracze tego smacznego owocu. Aby zaspokoić zapotrzebowanie krajowe i zamówienia zagraniczne, w sukurs Mazowszu od kilkunastu lat przysłała **Białostoczyna, województwo poznańskie i zielonogórskie**. Wędrują polskie truskawki na stoły w Szwecji, Danii, Finlandii. W Polsce truskawki są bardzo tanie, chyba że wiosenna pogoda zawiedzie. Trzeba bowiem pamiętać, że truskawki są **bardzo delikatnym i wrażliwym owocem**. Wystarczy kilkanaście dni deszczu lub upalnej suszy, a plany plantatorów się nie ziszczą. Zawiedzeni smakosze nie zażyją truskawkowego raju. Pamiętając o tym ludziska zajadają truskawki na zapas.



Jedzcie truskawki! Są one nie tylko zdrowe, lecz wzmacniają naszą urodę



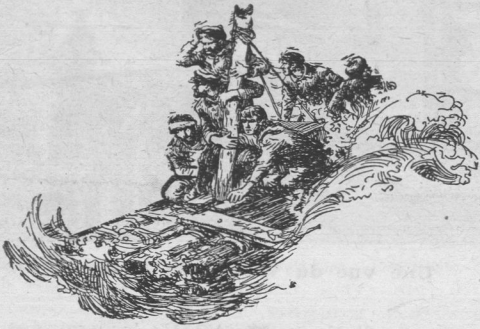
W czerwcu sprzedaje się truskawki na każdym kroku. Ci plantatorzy nie zdążyli nawet dojechać do punktu skupu

Czy jedna lubianka zaspokoi apetyt? Maluchy wiedzą co jest dobre i zdrowe W mieście truskawki idą „jak woda”



Władysław Umiński

ZNOJNY CHLEB



Praca przy budowie kolei w Ohio w Ameryce Północnej okazała się nie tylko bardzo wyczerpująca, ale i niebezpieczna z uwagi na grasujące tam bandy złodziei, które ograbiali robotników z ich niewielkich oszczędności. Któregoś dnia po zakończeniu pracy Sobiesław Mrocki i Witold Grzymała — wychodzący z ziemi polskiej będącej pod zaborem — wracając do swego „domu” napadnięci zostali przez złodziei. Pobici i pokaleczeni znaleźli się w szpitalu. Po wielu dniach dopiero odzyskali zdrowie. „Znaleźli się obaj na ulicy, bez grosza w kieszeni, bez płaszczy, chociaż przez owe trzy tygodnie spędzone w szpitalu zima zrobiła wielkie postępy”. Nie mogąc znaleźć żadnej pracy postanowili opuścić te niegościnne strony i udać się do Pittsburga. Jak odbywali podróż czytamy poniżej.

ODCINEK 31

Zatrzaśnięto za nimi wrota i dwaj nasi towarzysze znaleźli się w ciemności, pod gołym niebem, na deszczu i wichurze jesiennej.

— Oto się nazywa gościnność amerykańska! Bodajbyście zmarnieli! — kłął Grzymała. — Tak się w tym kraju traktuje porządnego robotnika, który nie ma gdzie przemocować.

Szli obaj w milczeniu ze dwie godziny; kiedy oddalili się już na parę mil drogi od niegościnnej farmy, ujrzeni dużą stertę słomy i zaszyli się w niej głęboko.

Rano, skoro świt, obudzili się, dobyli z węzełków kawałek chleba i suchego sera. To było ich śniadanie. Za napój służyła im woda z pobliskiej strugi.

— No i co zrobimy? — zagadnął Mrocki markotnie. — Znowu będziemy szukali nadaremnie roboty? Patrz, dziś już wziął przymrozek ranny, liście z drzew lecą na gwałt, tylko patrzeć, jak śniegi spadną; trzeba koniecznie dostać się do miasta, bo inaczej będzie z nami bardzo źle. Ile mamy pieniędzy?

Obliczyli starannie kasę; znajdowało się w niej razem cztery i pół dolara. Był to cały ich fundusz. Grzymała skrobał się po głowie, pokrytej bujną, konopiastą czupryną.

— Na tydzień co najmniej starczy. Gdyby nawet dojść piechotą do miasta, to stanienie tam bez grosza, a słyszałem, że zimą wszędzie trudno o robotę.

— Na zarobek tutaj także niepodobna liczyć! — dodał Mrocki.

— Trzeba koniecznie jechać koleją — zakonkludował po niej jakimś czasie Grzymała.

— Ba, za te pieniądze nie zajedziemy daleko!

— A jak nie można inaczej, to jedźmy na gapę! — zaśmiał się Kujawiak kontent ze swego pomysłu.

Mrocki skrzywił się.

— To prawie tyle znaczy, co oszustwo — rzekł.

— A co pocznijemy? Roboty dać nam nie chcą; czy mamy z zimna i głodu ginąć jak psy przy drodze? Cóż tam kolej straci, jeżeli dwóch biednych ludzi przejedzie się na nie zajętych miejscach? Nic! A dla nas to bardzo ważna rzecz dostać się do miasta przed zimą.

— Kwestia życia i śmierci — dodał Sobiesław.

— Kiedy tak, to co się namyślasz? Ot, stacja niedaleko. Wsiądziemy do wagonu i będziemy cicho siedzieli. Powiemy od ra-

zu, że nie mamy za co kupić biletów, to może nam kawałek pozwolą ujechać. A jeśli nas wyleją, to znowu wsiądziemy na inny pociąg i tak, po trochu codziennie jadąc, dostaniemy się za kilka dni do jakiego miasta.

Mrocki wahał się; ale kiedy nazajutrz nie znaleźli także żadnej roboty i nawet przemocować nie mieli gdzie, musiał się zgodzić na plan Witolda.

Nie upłynęło pół godziny, gdy ukazał się dym nadchodzącego pociągu.

Witold zapytał jakiegoś człowieka, czy pociągiem tym można się dostać do Pittsburga. Odpowiedziano mu potakującym skinieniem głowy.

Niepodobna było dłużej się namyślać. Lokomotywa rosła w oczach. Już widać długi wąż wagonów skręcających przy stacji, rozlega się sygnał i pociąg zatrzymuje się.

Grzymała, śmielszy od towarzysza, biegnie, wskakuje na schodki i za chwilę obaj siedzą na ławce.

Przystanek wydaje im się niezmiernie długi, obaj słyszą bicie własnego serca. Dopuścili się przecież występku, chcą jechać za darmo. Cóż jednak robić, kiedy nie ma czym zapłacić?

Nareszcie pociąg rusza. Oddychają obaj głęboko. Stało się... Mija godzina, nikt się nie zjawia, konduktora ani na pokaz. Podróżni nasi nabierają otuchy. Witold pali fajkę za fajką. Już jadą dwie godziny, nadzieja rośnie.

Ale oto drzwi wagonu otwierają się i wkracza dwóch konduktorów. Pasażerowie pokazują bilety. Teraz kolej na Grzymałę. Ten z całą otwartością wrusza ramionami.

— No ticket *) — odpowiada filozoficznie.

Mrocki usprawiedliwia się łamanym językiem, przekraczając niemilosierne słowa.

Konduktor jest głuchy, uparczywie domaga się biletu, potem żąda wniesienia gotówką należności za przejazd.

Nie wiadomo, gdzie wsiadli, muszą zapłacić od węzłowej stacji, po pięć dolarów, i opuścić wagon na najbliższym przystanku. Ale Witold jest też głuchy. Wreszcie pokazuje pustą portmonetkę, daje do poznania, że jest robotnikiem bez zajęcia, musi jechać do Pittsburga. Nic to jednak nie wrusza konduktorów. Jeden z nich, znużony snadź, chwytając Grzymałę za kołnierz, drugi za ramiona, wywołują go z wagonu na platformę. Robi się hałas, pasażerowie stają w obronie Witolda, który się też nie daje; Mrocki wstaje i przybiera groźną postawę. Konduktorzy znikają. Chwila wypoczynku. Może dadzą im spokój. Ale nie. Za kwadrans powracają w czterech. Nic nie mówiąc biorą Grzymałę i ciągną za sobą. Co to ma znaczyć? Mrocki nie może pojąć ich zamiarów, ale współpodróżni ostrzegają go gestami. Grzymała znika za drzwiami, wyniesiony przez dwóch konduktorów, silnych jak niedźwiedzie. Mrocki rzuca się za nimi, chce bronić towarzysza. Za późno! Kiedy stanął na platformie ujrzał z przerażeniem, że Witold leci w przestrzeń. Tak, wyrzucono go z pociągu, w pełnym biegu, jak psa. Sobiesław krzyczy, klnie. Konduktorzy rzucają się na niego. Nie zdążył uchwycić się za poręcz, potężne, żyłaste łapy biorą go za ramiona tak, że nie może ręką ruszyć; zresztą jest osłabiony jeszcze, i tak nie potrafiłby się obronić. Czuje nagle pod nogami próżnię, potem jakaś straszna siła rzuca go na ziemię. Mrocki uderza głową o plant, w oczach staje mu, jak się to mówi, tysiąc świeczek, potem nagle robi się noc, noc nieprzenikniona.

Jak długo Mrocki leżał na plancie, tego się nigdy nie dowiedział. Wie tylko, że przyszedłszy do przytomności nie mógł się podnieść z ziemi. Minał go jeden, drugi pociąg, a on leżał doznając niemiłosiernego bólu w głowie i w rękę.

„Ładny kraj! — myślał sobie, przewracając się z trudnością na bok, żeby dojrzeć, co się dzieje z jego towarzyszem. — Niby to równość i sprawiedliwość panuje w wolnej Ameryce. I ta sprawiedliwość pozwala wyrzucać ludzi z pociągu w pełnym biegu za to tylko, że nie wykupili biletów!”

Nie opadał plantu był rów napełniony wodą; Mrocki dowlókł się do niego, zmoczył chustkę do nosa i obwiązał sobie spuchniętą twarz i głowę. To mu nieco ulżyło; usiadł z wysiłkiem i zaczął obmacywać swoje ciało, szukając obrażeń.

Bolało go coś w boku, zwłaszcza w jednym miejscu. Nie było wątpliwości, miał złamane żebro. Prócz tego zranił się w głowę, na szczęście niezbyt ciężko, no i miał kilkanaście sińców od potłuczeń. Gdyby był upadł na kamienie, na pewno zabiłby się na miejscu.

Z rany na głowie ciekła mu krew; obmył ją wilgotną chustką i przewiązał miejsce skaleczone. Najgorzej jednak dokuczały mu kolana, na których miał zdartą skórę, i złamane żebro. Mrocki oglądał się, ale nigdzie nie było widać żadnej farmy. Pustka panowała wokół, tylko od czasu do czasu po szynach przelatował pociąg nie zatrzymując się wcale.

Mrocki zaczął wołać na Grzymałę, ale nikt mu nie odpowiadał. Zmartwiony, przewidując coś złego, zwlókł się ze swojego miejsca i zaczął iść wzdłuż plantu, utykając mocno.

Uszedłszy ze trzysta kroków spostrzegł leżącego Witolda. Biedak był nieprzytomny. Z głowy, ciężko zranionej, płynęła obficie krew, która zastygła w wielką ciemną plamę na piasku. Grzymała natrafił na kamień. Żyje czy nie żyje? Mrocki rozpiął mu odzież na piersiach i zaczął nasłuchiwać. Serce biło! Ucieszył się tym niezmiernie.

Zdjął z własnej głowy mokrą chustkę i położył ją na bladej twarzy towarzysza. Po chwili Kujawiak otworzył oczy. Mrocki podniósł go i oparł o pobliską skałę.

— Co cię jeszcze boli? — zapytał troskliwie.

— Chyba mnie przejechali, bo kości nie czuję — odparł słabym głosem Witold.

Sobiesław obejrzał uważnie towarzysza, ale prócz wielkich i licznych siniaków nie znalazł cięższych obrażeń. Najgorsza była rana na czole. Obaj więc ponieśli mniej więcej jednakowe obrażenia. Teraz jednak byli razem i mogli sobie wzajemnie pomagać.

Grzymała, przyszedłszy nieco do siebie, począł także wymyślać Amerykanom na czym świat stoi.

Nadchodził właśnie pociąg. Mrocki zrobił rozpaczliwy gest wzywający pomocy, ale maszynista udał, że nie widzi i wielki wąż żelazny pomknął dalej.

Widocznie jednak dano znać na najbliższej stacji, bo w parę godzin potem, o zmroku, zjawiała się dreżyna, a na niej trzech jakichś ludzi, którzy zatrzymali się naprzeciwko rannych.

Był to lekarz kolejowy, felczer i dróżnik pędzący dreżynę. Nie pytali o nic Mrockiego, nie słuchali klątw Grzymały, złożyli obu na twardym posłaniu z derki i zawieźli na stację.

Doktor, jak się pokazało, był człowiekiem poczciwym. Wysłuchał z oburzeniem nie tająnym opowiadania Mrockiego, opatrzył starannie jego rany, zaopiekował się również sumiennie Grzymałą i obiecał odesłać ich obu do szpitala, gdzie miano ich leczyć na koszt kolei, pod warunkiem jednak, że nie będą wnosili do sądu skargi na konduktorów.

Kiedy zaś Grzymała nie chciał się zgodzić, doktor powiedział mu, że z jadącymi na gapę zwykle tak postępują w Ameryce i sądy rzadko kiedy karzą winnych.

Mrocki i jego towarzysz widząc, że są w położeniu bez wyjścia, podpisali oświadczenie, że nie mają żadnych pretensji do kolei, potem dopiero pozwolono im leczyć się w szpitalu. Zyskali jednak to, że ich zawieziono do Pittsburga, dokąd właśnie pragnęli się dostać, tam bowiem znajdował się szpital.

Ta okoliczność jeszcze bardziej rozgoryczyła Witolda.

— Wyrzucili nas za to, że chcieliśmy przejechać się za darmo do miasta, a teraz sami nas tu przywieźli i jeszcze muszą leczyć. Czyżby to nie było mądrzej pozwolić nam dojechać, a nie wyrzucać ludzi jak bydła? Nie, co ja mówię, kto by tam bydłem wyrzucał? Raczej jak jaką pakę do śmieci. A potem pokaleczonych wożą i wydają pieniądze na doktorów... Słyszane to rzeczy? Aj, poznam ja ci tego konduktora, poznam; umyślnie się koleją przejadę, jak wyzdrowieję. Wpadnie on w moje ręce niezawodnie! Wtedy żywym łotra z garści nie wypuszczę!

*) No ticket (ang.) — Nie mam biletu.

DANS le cadre de nos excursions touristiques à travers la Pologne, nous vous présentons cette fois-ci une sorte de guide qui vous permettra de vous déplacer selon vos préférences dans le labyrinthe des musées polonais. A la fin de 1966 il y avait en Pologne, environ 350 musées. Aujourd'hui ils sont certainement plus nombreux puisqu'à l'heure actuelle chaque localité, chaque région et même chaque profession ou corporation cherche à avoir le sien. Ces initiatives, le plus souvent spontanées, ont enrichi les collections ouvertes au grand public. Rappelons que les premiers musées polonais créés à Cracovie et Varsovie sont nés vers la moitié du siècle passé. Certains avaient ouverts au large public, d'autres étaient fondés par des particuliers qui mettaient ainsi à la disposition de la société les trésors de l'art et du savoir en leur possession. Aujourd'hui les musées et galeries appartiennent entièrement soit à l'Etat polonais soit aux autorités locales et aux municipalités.

350 musées. Quel immense progrès a été accompli également dans ce domaine quand on pense qu'en 1945, c'est-à-dire juste après la libération, il n'y avait dans tout le pays qu'à peine 22 musées.

Du point de vue des pièces exposées, on distingue trois groupes de musées: il y a donc ceux consacrés à l'art (peinture; sculpture; art ancien et folklorique; littérature etc), d'autres qui se sont spécialisés dans le domaine des sciences, le plus souvent naturelles ou techniques, et enfin les musées consacrés à l'histoire dans le sens le plus large du terme (histoire nationale, histoire des faits d'armes polonais, et de la lutte contre les occupants, histoire du mouvement ouvrier, histoire d'une région, d'une ville ou d'un personnage).

Cette division, sur le plan des sujets, caractérise tous les musées de Pologne. Il faut dire que les salles de musées ne sont plus silencieuses, où telles des ombres se faufilent des amateurs d'émotions artistiques; aujourd'hui les musées de Pologne sont envahis par une foule de gens qui veulent en savoir le plus possible. Cela est d'autant plus facile que les entrées sont calculées pour toutes les bourses. L'entrée la plus chère se monte à 5 zlotys pour les adultes et à 2 zlotys pour les enfants et les groupes de visiteurs.

Après ces quelques informations générales, suivez le guide S.V.P.



Une vue du Wawel de Cracovie

350 MUSEES



Le Musée de l'Armée Polonaise à Varsovie

COMMENÇONS donc notre promenade par les musées les plus connus, c'est-à-dire les expositions permanentes d'art. Parmi les plus visités, nous trouvons tout naturellement le Musée de Wawel qui nous permet de suivre la salle après l'évolution de l'art en Pologne ainsi que son histoire souvent brillante et souvent, hélas, tragique. Certaines pièces maîtresses de ce musée unique en Pologne, puisque situé dans l'ancien château des rois de Pologne (comme le Louvre est situé à l'intérieur des divers palais des rois de France), ont été exposées à Paris au Petit Palais. Cependant, bien que l'exposition parisienne ait été un véritable succès, il faut dire que la beauté des pièces ne peut être vraiment appréciée qu'à l'intérieur du Wawel. Une des salles les plus intéressantes du château-mu-

sée est constituée par le cabinet de travail de plusieurs rois de Pologne. Ce cabinet est petit et immense à la fois. Nous nous trouvons non seulement face à la table de travail où ont été prises de nombreuses décisions concernant l'histoire d'une nation fière et bien vivante mais également à l'intérieur d'une pièce extraordinaire qui par elle-même est un musée uniquement consacrée à la peinture flamande la plus originale et la plus pure (vraiment, les rois de Pologne avaient du goût). Le Wawel ce ne sont pas uniquement ses salles, c'est avant tout un ensemble de constructions de diverses époques, qui par miracle (car c'est un tout de même un miracle dans un pays qui a tellement souffert au cours de la dernière guerre) sont encore debout.

Et puisque nous sommes à Cracovie, restons y encore un

moment pour jeter un coup d'oeil au Musée national. A vrai dire, il ne s'agit pas là d'un seul musée mais de plusieurs expositions disséminées à travers cette ville qui, à côté de Varsovie, est certainement la plus connue dans le monde. Le Musée national se situe donc dans plusieurs édifices consacrés à divers domaines de l'art polonais et étranger et à leur histoire. C'est ainsi par exemple que la célèbre Halle aux Draps (Sukiennice) cache un musée de la peinture et de la sculpture polonaises du XVIII et XIX siècles, tandis que la galerie des Czartoryski à la peinture polonaise et étrangère du XV et XVI siècle.

DE Cracovie passons à Varsovie et naturellement au Musée National qui possède une intéressante collection de toiles des maîtres de tous les temps et de tous les pays comptant dans la peinture. Naturellement, l'art polonais sous tous ses divers aspects y occupe une place primordiale, ce qui est tout à fait normal puisqu'il est le musée pilote de Pologne. Cela ne veut pas dire que seul l'art polonais y est présenté. De temps en temps le musée organise des expositions d'art étranger en coopération avec les musées du monde entier ainsi qu'avec l'UNESCO.

A deux pas du Musée National est situé le Musée de l'Armée Polonaise, considéré par les spécialistes et les amateurs d'hi-

stoire militaire comme l'un des plus riches d'Europe, sinon du monde. Il fait déjà partie des musées spécialisés qui sont en quelque sorte une caractéristique bien polonaise. C'est ainsi par exemple qu'à Varsovie, et plus exactement à Wilanów il y a un des rares musées du monde consacrés à l'affiche. Parmi ces musées spécialisés, et pouvant paraître insolites à celui qui ne veut y voir là qu'un établissement où l'on réunit uniquement des oeuvres d'art de grande valeur matérielle ou artistique, signalons qu'à Gdańsk, il y a un musée consacré à l'histoire des chantiers navale et de la construction maritime, qu'à Rozewie il existe un musée des phares marins, qu'à Poznań on peut visiter le musée des instruments de musique de toutes les époques et de par-

PARMI les musées les plus intéressants de Pologne mentionnons les expositions permanentes consacrées aux grands écrivains du pays ainsi qu'à ses grands hommes. Il y a donc, entre autres, un musée Chopin (ou plus exactement deux — un à Żelazowa Wola, l'autre à Varsovie), deux musées Żeromski l'un consacré à l'oeuvre de l'écrivain, l'autre à sa vie d'écolier, deux musées Copernic, un musée Mickiewicz etc. D'autre part, toutes les maisons natales des grands maîtres de l'art et de la science polonaise se trouvant en Pologne ont été transformées en musées.

Nous pourrions vous parler encore longuement des musées de Pologne. Mais il serait difficile de mentionner tous les détails pouvant intéresser chacun de nos lecteurs. Nous préférons donc vous inciter à venir les visiter en personne.

(h)

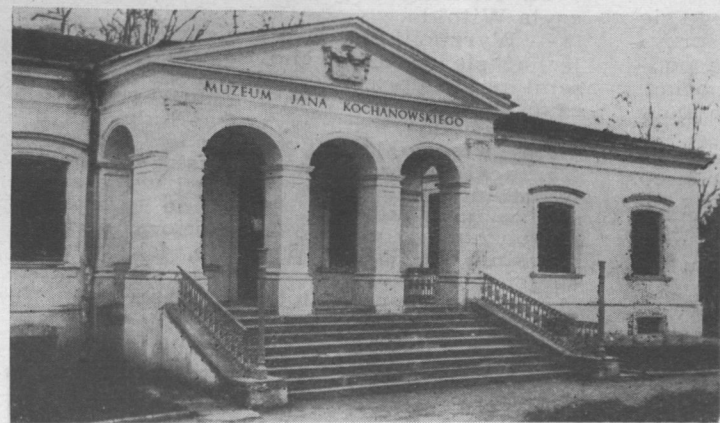


L'intérieur du Musée de l'affiche à Wilanów

Une salle du Musée régional de Bochnia



Le Musée Jan Kochanowski à Czarnolas



tout, qu'à Cracovie il y a un musée de la pharmacie. Varsovie de son côté à un musée de la chasse, un musée de la médecine, un musée consacré au tourisme et à la culture physique, un musée du vin.

LES musées plus ou moins bizarres et d'autant plus intéressants sont nombreux. Pour ceux qui aiment ce genre d'expositions terminons cette liste en indiquant que Wrocław a un musée du timbre poste et des PTT, que Jędrzejów a un musée d'horloges, à l'astronomie et aux livres anciens; que la ville de Bystrzyca Kłodzka a un petit musée des allumettes; qu'à Kluczbork on peut visiter un musée du miel et de l'apiculture.

Michalinka ma głos

WAKACJE KAROLCI

Pani Karolcia postanowiła raz skończyć z latami. Dzieci jej wyjechały na wakacje, teściowa na kurację, a ona co? Urlop jej się nie należy?

— Po czym? — spytał ją złośliwie mąż Leos. Albo to pracowałaś w fabryce jak ja?

— No wiesz! — zachnęła się Karolcia — a bez fabryki to mało mam harówki? Gotować, prać, sprzątać i z tobą się użerać...

— No, na wakacjach dalej będziemy się użerać.

— A właśnie! Sama pojedę. Od ciebie też chcę wypocząć.

Teraz dopiero mąż Karolci się ucieszył. Jak sama, to z Bogiem. Jeszcze ją na dworzec odprowadził, aby się nie rozmyśliła. Z okna wagonu Karolcia jeszcze dawała mu rady: „A uważaj na mieszkanie. I nie spal papierosami obrusa. Nie zapomnij zamknąć kurków gazowych jak wychodzisz! I nie sprzedawaj kolegów na wódkę. I nie graj w karty do nocy!...”

Mąż nic, tylko głową kiwał i chusteczką machał. Aż pociąg wreszcie ruszył.

Karolcia znalazła się na lotnisku nad morzem, w pensjonacie. Budzi się nazajutrz jak zwykle o siódmej rano, a tu nic nie ma do roboty; ani kawy przyrządzić, ani sprzątać, ani skoczyć po chleb i zakupy. Nawet nie ma nikogo, by się zachnął lub na kogo pogderać. Wszystko podają gotowe, herbatka z bułeczką i masłem rano, obiadek w południe, naczyń nie trzeba myć, co tu robić z rękami i przyzwoyczajeniem do mnóstwa zajęć? Tylko się odpoczywa, spaceruje, śpi i nic więcej.

Po dwóch dniach Karolcia zaczęła się trochę niecierpliwie. Nie mając nic innego do roboty, wracała myślami do domu i opuszczonego Leosia: Co on tam teraz bez niej robi? Pewnie zaśmiecił całe mieszkanie. A jak obiad sam so-

bie gotuje, to naturalnie przypalił wszystkie garnki. Naczyń zapewne nie myje i w zlewie jest jak w chlewie. Poza tym kto wie, kogo do domu sprwadza, jeszcze mi srebrne łyżeczki wykradną. A może w roztargnieniu nie zakreślił wody i całą kuchnię zalało?

Karolcia się mocno niepokoi. Potem zaczyna się pocieszać, że jej Leos chyba w ogóle do kuchni nie wchodzi, bo nie lubi sam pitrasić. W takim razie biedak nie dojada. Czy można żyć kromką chleba, bez ciepłego posiłku? Zmarnieje mi, schudnie, skąd weźmie siły do pracy?

Te różne myśli męczą Karolcię i dręczą. Straciła apetyt, wakacje straciły urok, postanowiła je skrócić i wrócić po tygodniu.

Znow więc jest w pociągu i serce jej tłucze się na myśl, co zobaczy w mieszkaniu. Podróż wydaje się jej dwa razy dłuższa niż za pierwszym razem. Nareszcie przyjechała i trzyma już kurczowo klucze w rękę, zanim wysiadła z wagonu. Zawołała taksówkę. Dojeżdżając do siebie wypatruje już z dala czy dom jej jeszcze stoi, czy nie spalił się.

Otóż dom się nie spalił. Mieszkanie jest całe. A przy tym sprząnięte, naczynia pomyte, podłoga czyściutka, na obrusie ani plamki. A Leos? Biedny Leos?

Biedny Leos wrócił do domu pod wieczór, uśmiechnięty, wesoło nucąc pod nosem...

Karolcię aż zatkało. Poczuli się niezwykle urażona. To tak sobie dobrze potrafił radzić beze mnie? I wcale nie czuł się smutny ani opuszczony? Omal się biedaczka nie rozplakała. Bo czy warto było o takiego tak się troszczyć i zamartwiać? I czy zasłużył na to, aby przez niego sobie skrócić tak dobrze zasłużone wakacje?...

MICHALINKA

znaleźli się państwo Baraniakowie we Francji. Od roku 1921 do 1947 p. Baraniak pracował jako górnik w Waziers, Fosse Gayant. Licznie zebrana rodzina i przyjaciele żyli w Jubilat, który znajduje się w pełni zdrowia, diamentowych godów i tradycyjnych stu lat. Jubilaci należą ciągle jeszcze do bardzo czynnych działaczy polonijnych. Do życzeń dołącza się też „Tygodnik Polski”.

UCZCZENIE NAJSTARSZYCH MIESZKAŃCÓW

BRUAY-en-ARTOIS. Tutejszy zarząd miejski wydał ostatnio uroczyste przyjęcie dla najstarszych współobywateli. Wśród zaproszonych był również p. Władysław Borkowski, który szczęśliwie dożył się 85 lat życia.

NOWE ZARZĄDY — WALNE ZEBRANIA

BOIS-du-VERNE. Miejscowi veterani pracy odbyli ostatnio swoje doroczne walne zebranie. Na członka nowego zarządu został wybrany jedynomyślnie p. Jan Śniezek, znany działacz CGT.

MONTCEAU - les - MINES. Miejscowy klub sportowy CS Orion obradował nad sprawozdaniami rocznymi. W skład prezydium walnego zebrania wchodził: p. Stanisław Szyguła — prezes, p. Ratajczak — zastępca prezesa, p. Pandal — sekretarz, p. Danielewicz — skarbnik i p. Kamiński — zastępca skarbnika. Po omówieniu sukcesów sportowych prezes klubu p. Szyguła wymienił jako inne szczególnie ważne momenty — fakt po-

myślnego złożenia egzaminów na sędziego piłki nożnej przez p. Leona Szygułę oraz zaliczenie w kategorii minimów juniora Grabowskiego do grupy nadziei Francji, znanej pod nazwą „opération Guérin”. Zarówno prezes klubu jak i inni członkowie zarządu zostali ponownie wybrani.

B. DOWOJNA-BIENAIMÉ

TŁUMACZKA PRZYŚIĘGŁA PRZY WYŻSZYCH SĄDACH W PARYŻU

Tłumaczenia urzędowe
ważne w całej Francji

23, quai de la Tournelle
PARIS (5^e)

TELEFON: ODEon 41-17
METRO: PONT-MARIE

SPOTKANIA TOWARZYSKIE

WAZIERS. Tutejsze stowarzyszenie „Archers du Chateau” zorganizowało spotkanie towarzyskie dla członków stowarzyszenia, połączone z konkursem flesztetek. Miejsce ósme w tym konkursie zajął p. Włodarczyk.

MONTCEAU-les-MINES. Miejscowi miłośnicy wędkarstwa spotkali się na regionalnym konkursie St. Vallier, zorganizowanym przez stowarzyszenie „La Pêche du Centre” nad wodami Galuzot. W spotkaniu wzięto udział przeszło

PREMIERE CHAINE.

TELE-MIDI 13.00, TELE-SOIR — 20.00, TELE-NUIT — à la fin du programme.
ACTUALITES REGIONALES — 19.15 (sauf le dimanche).
LA BONNE EQUIPE — 12.30 (sauf le dimanche).
UNE FEMME A AIMER — 13.20 (sauf le dimanche).
ETE-MAGAZINE en direct d' Ajaccio — 19.00 et 19.40 la suite (sauf le dimanche).

DIMANCHE 3 AOUT.

9.10. Télé-Matin.
12.02. La séquence du spectateur.
13.15. Flipper le Dauphin (nr 1).
14.10. Forum Jeunesse — „le sport”.
15.25. Championnats de France de natation (transmis de la piscine Georges Vallery).
17.15. „Santiago” — un film de G. Douglas (Allan Ladd, Rossana Podesta L. Nolan).
18.45. Ouvrir les yeux.
19.40. „Minouche”.
20.30. Festival de jazz d'Antibes avec Ella Fitzgerald — un reportage de Jean-Christophe Averty.
21.00. „Cresus” — un film de Jean Giono (Fernandel, Sylvie, Olivier Hussenot).
22.30. Le Srevice de la Recherche de L'ORTF presente: Vocations.

LUNDI 4 AOUT.

18.30. Magazine féminin.
20.30. „Les voyages de Jaimie Mac Pheeters”.
21.20. Les coulisses de l'exploit.
22.20. Variétés: Plaisirs d'humour — une émission d'Alex Metayer, réal. Dirk Sanders.

MARDI 5 AOUT.

13.30. Je voudrais savoir.
18.00. Eurovision: championnats du monde de cyclisme sur piste transmis d'Anvers (Belgique).
20.30. „Les Illusions perdus” d'après Honoré Balzac, adapté par Maurice Cazeneuve, réal. Maurice Cazeneuve.
21.55. Championnat du monde de cyclisme sur piste.
MERCREDI 6 AOUT.
18.00. Eurovision: Championnat du monde de cyclisme sur piste.
18.30. Lire et comprendre.
20.30. Les auteurs gais — une émission d'Aimée Mortimer.
21.30. Atelier 70 — une émission de Roger Bertin.
22.15. Grand angle.
22.55. Championnat du monde de cyclisme sur piste.

JEUDI 7 AOUT.

18.30. La séquence du jeune spectateur.
20.30. Panorama.
21.30. „Que ferait donc Faber?” nr 6.
22.25. Un jour ailleurs — une émission de J. E. Jeannesson.

VENDREDI 8 AOUT.

18.00. Championnat du monde de cyclisme sur piste.
18.30. France vacances.
20.30. Au théâtre ce soir: „Affaire vous concernant” de Jean-Pierre Conti, mise en scène Pierre Valde, réal. P. Sabbagh.
22.30. Championnat du monde de cyclisme sur piste.
SAMEDI 9 AOUT.
15.00. Championnat du monde de cyclisme sur piste.
18.30. Championnat du monde de ski nautique — transmis de Copenhague.
17.10. Championnat du monde de cyclisme sur piste.
18.10. Championnat du monde de ski nautique.
18.30. Accords accordéon.
20.30. „Match contre la vie” nr 6.
21.30. Chansons champions.
22.20. Championnat du monde de cyclisme sur piste.

DEUXIEME CHAINE — COULEUR.

(C) — couleur, (CN) — couleur et noir et blanc, émissions sans aucune mention sont exclusivement en noir et blanc.

COLORIX — EMISSIONS POUR LES JEUNES. (C) — 18.55 (sauf le dimanche)
ACTUALITES REGIONALES ET COURT METRAGE (C) — 19.15.
TELE-SOIR-COULEUR (C) — 19.35.
TELE-SPORT (C) — 19.55.

DIMANCHE 3 AOUT.

14.45. (C) Napoleon tel qu'en lui-même, nr 16.
15.00. (C) „Le beau Danube bleu” — un film de Paul Verhoeven (Bernard Wicki, Hilde Krahl).
16.00. (C) Pique-nique.
18.10. Grand Prix d'Allemagne — course automobile.
19.15. (C) L'amour de l'art.
20.00. (C) Le cheval de fer.
21.00. (C) Intermezzo.
21.40. (C) Musique pour les yeux.
22.10. (C) Chansons du bout du monde.

LUNDI 4 AOUT.

20.00. (C) Monsieur cinéma.
20.30. (C) Cinéma Court nr 2 „Jean Rouch”.
21.20. (C) Festival de western: „Le Jardin du diable” — un film de Henry Hathaway (Gary Cooper, Susan Hayward, Richard Widmark).

MARDI 5 AOUT.

20.00. (C) D'iberville.
20.30. (C) Régie 4 — l'actualité Télévisée.
22.00. (C) „Le Testament d'Orphée” — un film de Jean Cocteau (Jean Marais, Brigitte Bardot, Picasso, Charles Aznavour, Yul Brynner, Roger Vadim, Françoise Sagan...).

MERCREDI 6 AOUT.

20.00. (C) Soif d'aventures nr 5.
20.30. Les dossiers de l'écran: „La Baie des anges” (Jeanne Moreau, Paul Guers, Claude Mann) — un film de Jacques Demy.

JEUDI 7 AOUT.

20.00. (C) Le mot le plus long.
20.30. (C) Bonsoir la France — variétés.

VENDREDI 8 AOUT.

20.30. (C) L'Inde Fantôme — „La Religion” — une émission de Louis Malle.
21.25. (C) Chanteurs en liberté — une émission de P. Miquel (Georges Chelon, Gianni Esposito etc.).

SAMEDI 9 AOUT.

20.00. (C) Rendez-vous de l'aventure „L'Egypte des Dieux et des Hommes”, réal. Roger Benamou.
20.30. (C) „Le Revizor” — comédie de N. Gogol, réal. André Barsacq.
22.30. (C) LA LEGION D'HONNEUR — une émission de Max Vaucorbeil.



ZŁOTE GODY WESELNE

FRAIS-MARAIS. W gronie trojga dzieci oraz sześciorga wnucząt małżeństwo p. Anna Lambryczak i p. N. Baraniak obchodzili pięćdziesiątą rocznicę swoich zaślubin. Poprzez Westfalię, gdzie poślubił p. Baraniak p. A. Lambryczak,

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE

23, rue Taitbout, Paris IX
Tel.: TAI 76-44, TAI 76-51
C.C.P. 92.20.76 Paris

34/7 rue Chausteur-Lodelinsart
Mme Ol. Kuc
C.C.P. 66.69.45 Belgique

Cena prenumeraty:

kwartalnie: 7 F. — 70 Fr. B.
półrocznie: 12 F. — 120 Fr. B.
rocznie: 20 F. — 210 Fr. B.

Président Directeur
Général: Danuta
JAGOSZEWSKI Bienaimé

IMPRIMERIE
Zakłady Graficzne „Tamka”.
Zaki. nr 1, Varsovie, Tamka 3.

KĄCIK HODOWCY GOŁĘBI

ANICHE. Z okazji uroczystości, zwanych Kopiere, gołębie p. Pawlaka z Somain zajęły miejsca 2, 9, 12, 15, p. Łukowiaka z Auberchicourt 3 i 39, p. Smaczka z Masny 27 i 33 p. Pietrzaka z Somain 32 i 61. W seriach zwyciężyły gołębie p. Pawlaka i p. Łukowiaka.

byłowski, p. Yves Stankiewicz, p. Pierre Targowski w centrum Noyelles-sous-Lens; p. Bernard Kulczyński, p. Daniel Nanka, p. Jean-Claude Smolarek, p. Stefan Jalarek, p. Daniel Pieniężny w centrum Montigny-en-Ostrent; p. Franciszek Kozłowski, p. Ludwik Łagodziński, p. Christian Pora, p. Patrick Pora w centrum Valenciennes-Anzin.

DYPLOMY ZAWODOWE

Ostatnio otrzymali dyplomy CAP w zakresie kopalnianych mechaników dolowych: p. Jean-Pierre Włodarczyk, p. Paweł Pawlak, p. Ryszard Chmielewski w centrum Béthune; p. Józef Byczak, p. Georges Dutkiewicz, p. Francis Marcinkowski, p. Mieczysław Przy-

Rozrywki umysłowe

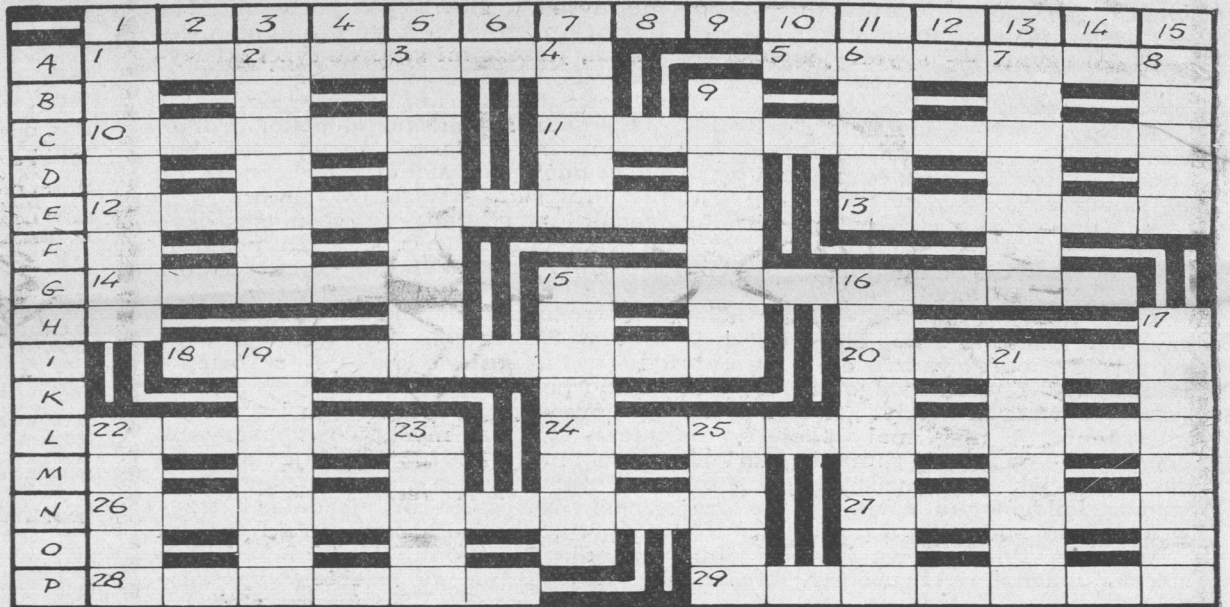
POZIOMO: 1) gotująca się woda, ukrop, 5) wykrzywienie twarzy, mina niezadowolona, 10) rewia mody, 11) gwałtowny przewrót polityczny, 12) przeciwnieństwo sympatii, 13) dziewięcioosobowy zespół muzyków, 14) poczwarka jedwabnika w oprzędzie, 15) samolówka na ptaki i zwierzęta, 18) robienie na złość przez upór, przez kradźliwość, 20) przysmak z surowego mięsa z przyprawami, 22) odgłos tłu- kącego się szkła, 24) wielki zachwyt i radość, 26) drobnostka, bagatelka, 27) żołnierz wojsk inżynie- ryjnych, 28) rodak, ziomek, 29) bardzo ważny pół- produkt do wyrobu barwników.

PIONOWO: 1) komplet niezbędnych rzeczy dla noworodka, 2) zaciszne miejsce na uboczu, ustro- nie, zakamarek, 3) odkurzenie przy pomocy kija lub trzepaczki, 4) jednostka ciężaru używana w jubilerstwie, 6) zwój papieru, wałek, 7) adwokat, obrońca sądowy, 8) moment rozpoczęcia wyścigu, 9) jedna czwarta część, 15) odsetki, 16) przyrządzi- ki do zapinania sukienek, 17) przekupka, straga- niarka, 19) namysł, zastanowienie się, rozsądek, 21) rodzaj obuwia sportowo-turystycznego z piótna i gumy, 22) młokos, lalus, chlystek, 23) duży kawał drzewa, kłoc, 25) surowiec na siano.

Tekst przysłowia utworzą litery wypisane w na- stepującej kolejności: A—10, O—5, A—3, E—8, C—8, K—7, P—11, O—1, L—8, O—11, E—12, L—9, H—11, L—15, N—6, H—5, L—4, P—2, A—1, P—13, L—7.

Rozwiązania prosimy nadsyłać pod adresem re- dakcji w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesła- li bezbłędne rozwiązania, zostaną rozlosowane NA- GRODY KSIĄŻKOWE.

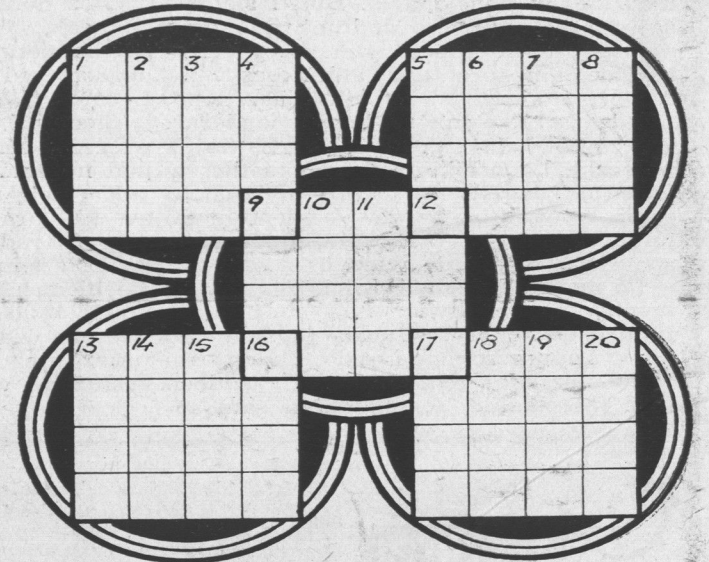
KRZYŻÓWKA Z PRZYSŁOWIEM



ROZETKA Z HASŁEM

Prosimy odgadnąć 12 wyrazów 5-literowych o podanych niżej znaczeniach i wpisać prawoskrętnie dośrodkowo do odpowiednich pól rysunku, mając na uwadze, że początkowe litery wszystkich wyrazów są jednakowe. Litery, które się znajdują w polach z kółkami, czytane w kierunku strzałki dadzą hasło zadania.

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) nadmierna otyłość, 2) najwyższe góry w Polsce, 3) duże, długie lustro, sięgające do podłogi, 4) płyta płaska ze szkła lub marmuru, 5) rodzaj głębokiego snu, w który po- pada medium w czasie seansu spirytystycznego, 6) pojem- ność statku wyrażona w tonach, 7) obozowisko cygańskie, 8) droga, gościniec, 9) bicie, rytm serca, puls, 10) ślady zwierzyny na ziemi lub śniegu, 11) szeroka nie kryta we- randa lub balkon, 12) koła zę- bate.



MAGICZNE KWADRATY

Przedstawiona na rysunku figura składa się z 5 kwadra- tów, powiązanych ze sobą na- różnymi kwadracikami. Pro- simy wpisać do poszczególnych kwadratów odpowiednie wyrazy 4-literowe o po- danych niżej znaczeniach, tak aby w każdym z kwadratów można było je czytać jedna- kowo w kierunku pionowym i poziomym.

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) przewidzenie, mamidło, 2) plansza do walk zapaśniczych, 3) szturm, 4) czerwone były na Monte Cassino, bo z pol- skiej wrosły krwi, 5) obłoki pary wodnej unoszące się nisko nad ziemią, utrudniające widoczność, 6) zgiełk głośnych rozmów, 7) kawałek materia- lu na miejscu dziurawym, 8)

aromatyczny napój alkoholo- wy do herbaty, 9) plotkarze robią z niej widły, 10) lodo- wy opad atmosferyczny, 11) szkolna lub dla oskarżonych, 12) mąż Ewy, 13) pycha, za- rozumiałość, 14) apopleksja, porażenie, 15) dawna nazwa czołgu, 16) statek Noego, 17) zmierzch, szara godzina, 18) minerał, kruszec zawierający metal, 19) odrażająca woń, 20) ryba hodowana w stawach.

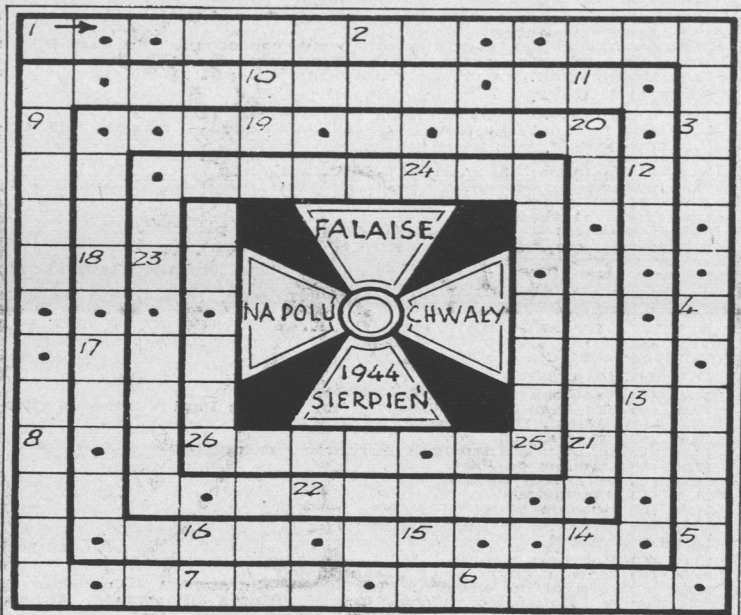
Rozwiązania prosimy nadsy- lać pod adresem redakcji w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru, z dopis- kiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesła- li bezbłędne rozwiązania, zostaną rozlosowane NAGRODY KSIĄŻKO- WE.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z HASŁEM Z N-RU 28

WOLNOŚĆ, RÓWNOŚĆ, BRATERSTWO.

POZIOMO: 1) przybory, 5) ówki, 10) ekran, 11) Guillotin, 12) zapalki, 13) nosek, 14) zbiór, 15) klej, 17) łożo, 19) masyw, 24) wyrok, 26) cyranka, 27) Dąbrowski, 28) kadet, 29) rokosz, 30) Bastylia.

PIONOWO: 1) pielesze, 2) zarazki, 3) Bonaparte, 4) reguła, 6) welon, 7) katusze, 8) arnika, 9) kibic, 15) komunikat, 16) ćwiartka, 18) odrobek, 20) skandal, 21) świder, 22) ścisł, 23) drwina, 25) kłops.

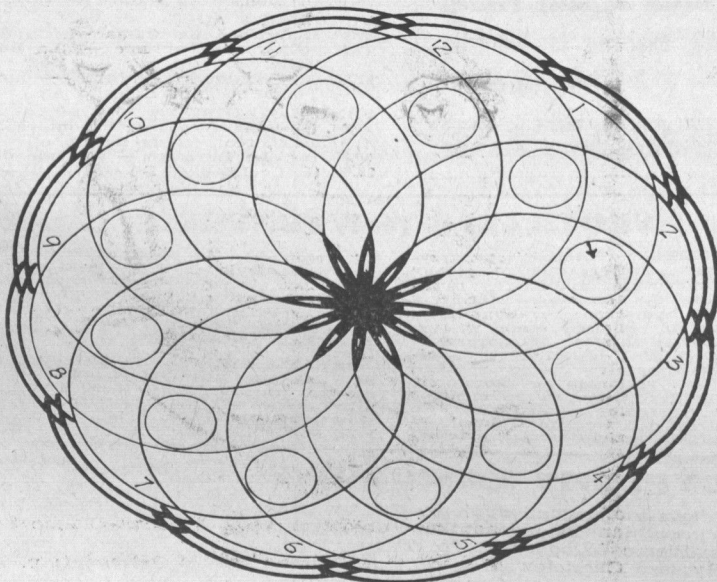


SPIRALA

Rozpoczynając od lewego górnego rogu i posuwając się w kierunku strzałki dośrodkowo — prosimy wpisać jednym ciągiem 26 wyrazów o podanych niżej znaczeniach, w ten sposób, aby ostatnia litera jednego wyrazu była jednocześnie pierwszą literą następnego wyrazu. Litery, które się znajdują w polach z kropkami, czytane w kierunku wpisywania, dadzą hasło zadania.

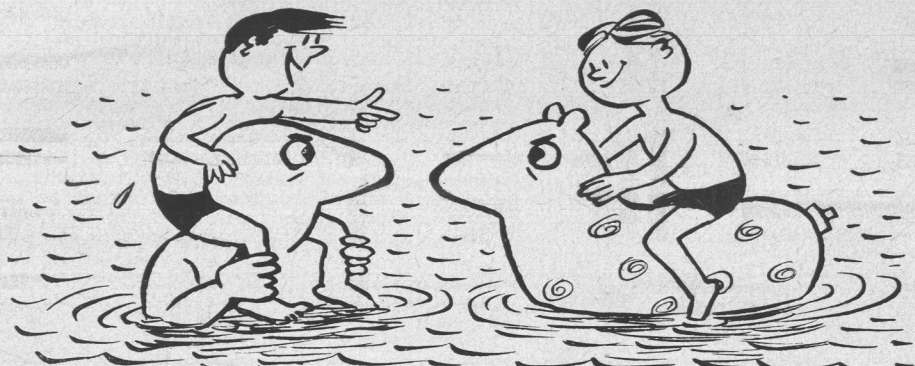
niejszy astronom polski ro- dem z Torunia, 21) gospo- da żołnierska 22) gagatek, ziółko, ananas, 23) przeor Paulinów w Częstochowie,

obrońca klasztoru w czasie najazdu szwedzkiego, 24) spis majątku ruchomego i nieruchomego, 25) bufor, 26) rodak, ziomek.



ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) kryjówka, skrytka, skła- dzik, 2) konnica, jazda, 3) jedwabna tkanina z jednej strony gładka i lśniąca, 4) tajne sprzyśnienie, 5) deser z owoców ugotowa- nych w wodzie z cukrem, 6) sławny polski żeglarz, który niedawno opłynął samotnie kulę ziemską, 7) skład broni, zbrojownia, 8) przydomek najmniejszego z królów polskich, 9) busola, 10) członek straży ognio- wej, 11) przysłowione pią- te u wozu, 12) cząstka łań- cucha, 13) np. „Halka” St. Moniuszki, 14) główny składnik powietrza (75%), 15) stopień szybkości, 16) zagłębienie w czaszce mie- szczące gałkę oczną, 17) je- den haust plynu, 18) tak kraje, jak mu materii sta- je, 19) imbryk, 20) najslaw-

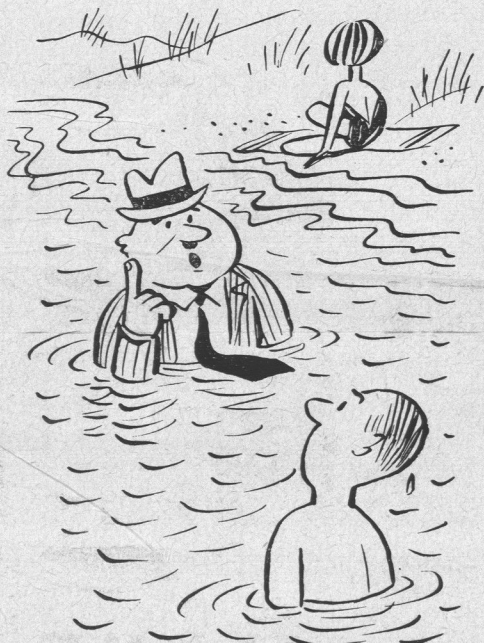
GWIDON MIKŁASZEWSKI *na*
z humorem plażę!



— Twój koń tak samo wygląda jak mój! — *Ton cheval ressemble au mien!*



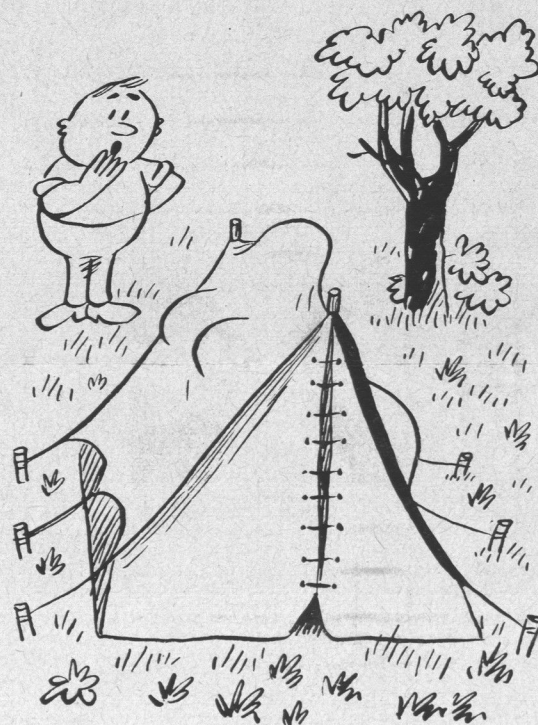
— Raz — dwa — raz — dwa — raz...
— *Un — deux — un — deux — un...*



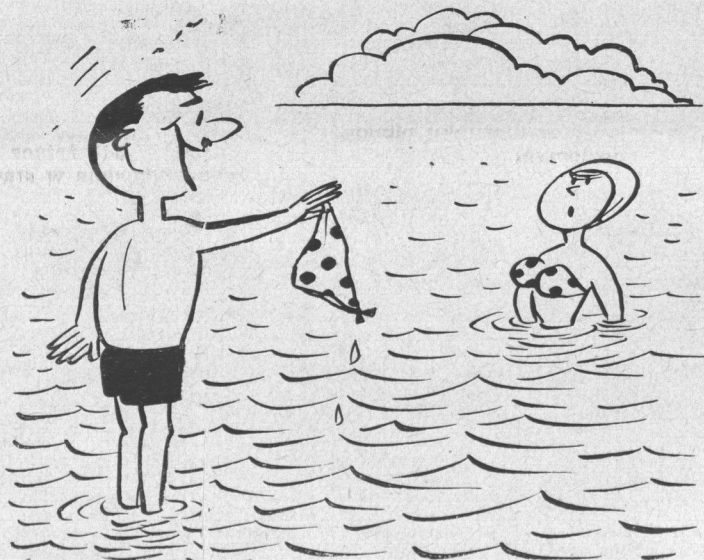
— Tak, ale za to mnie nigdy nie ukradziono ubrania na plaży!
— *Oui, mais à moi on ne m'a jamais dérobé mes vêtements à la plage!*



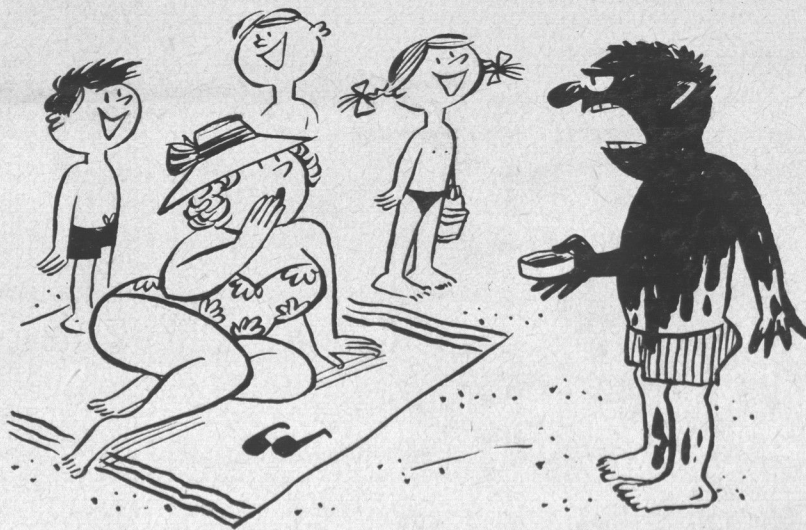
— To śliczna dziewczyna, szkoda, że jej nie widziałeś w sukni!
— *C'est une fille vraiment belle, dommage que tu ne l'aies pas vue en robe!*



— Zdaje się, że kupiliśmy za mały namiot, kochanie!
— *Chérie, il me semble qu'on a acheté une tente d'un num.ro trop petite!*



— O, co ja znalazłem! Proszę sobie to odebrać!!
— *Regardez ce que j'ai trouvé! Mais venez donc le chercher!!*



— Kto na pudełku z pastą do butów napisał „Krem do opalania”?!
— *Qui est-ce qui a écrit sur la boîte à cirage „crème à bronzer”?*

Nowe filmy

PARIS N'EXISTE PAS



Réalisation, scénario, adaptation et dialogues: ROBERT BENAYOUN. Principaux Interprètes: Danièle GAUBERT, Richard LEDUC, Serge GAIN-SBOURG, Monique LEJEUNE, Henri DEUS.

L'Histoire: Paris 1968. Simon Devereux, jeune peintre en colère traverse une crise d'inspiration qui se répercute sur sa vie sexuelle. Sa maîtresse Angéla, rédactrice dans un magasin de modes, tente en vain de l'arracher à sa neurasthénie, avec l'aide de leurs ami Laurent.

Mais Simon s'aperçoit, au travers d'hallucinations étranges, qu'il peut remonter le temps par la pensée. Cherchant à contrôler ce pouvoir extraordinaire (peut-être imaginaire), il explore son propre passé, entrevoit des bribes de son avenir, fait revivre son appartement au cours de cinq années de vie amoureuse avec Angéla, puis remonte plus loin, jusqu'à l'appartement tel qu'il existait avant lui, dans les folles années de l'avant-guerre.

Une jeune femme, Félicienne, lui apparaît dans son intérieur baroque et romantique. Simon s'éprend et cette évocation envoûtante, et bientôt commence pour lui une sorte de vie à trois: à ses côtés, Angéla co-existe sans le savoir avec Félicienne, dans d'équivoques confrontations. Simon les aime toutes les deux, et se partage entre ces deux images complémentaires de la Femme.

En même temps, il explore les rues de Paris pendant trente ans d'histoire tumultueuse, et cette aventure l'expose à de nombreux dangers, ceux-là physiques. Il risque de se faire tuer en „accidents de parcours”, mais Angéla et Laurent le sauvent, réussissant à l'arracher à ses visions et à son rêve.

Simon, récupéré, guéri peut-être, va reprendre la vie normale après ce qui fut sans doute un moment de délire. Mais une preuve lui parvient de son „réel” passage dans le passé. A tout moment, tout peut recommencer pour lui. Entre ses deux partenaires, entre ces deux vies, que sera son choix?



Bohater filmu, młody malarz, neurastenik Simon Devereux, popada w stany halucynacji spowodowane chorobliwą i wybujałą wyobraźnią twórcy szukającego natchnienia... Wizje jego stają się tak wyraźne i sprecyzowane, że przeżywa je jak normalną realną akcją... Przenosi się w przeszłość własnego życia, a także i w przeszłość Paryża, w którym żyje na przestrzeni 30 lat wstecz...

Ta dziejąca się w wyobraźni Simona akcja filmu mimo swej euforyczności jest bardzo konkretna i tak dalece realna, że sugestii tej ulegają również najbliższe mu osoby (Angéla i Laurent), którym udaje się wreszcie z dużym wysiłkiem wyrwać go z tego stanu... Nie wiadomo jednak na jak długo, bo Simon czuje jakby wewnętrzną potrzebę wzbogacania swego życia tą drugą równoległą akcją.

Film ten, przedstawiony poza konkursem, uzyskał bardzo duże uznanie na ostatnim Festiwalu w Cannes. Realizator Robert Benayoun jest jednocześnie autorem wielu książek: „Bouillon d'onze heures”, „Anthologie du Nonsense”, „La science met bat” „L'érotique du surréalisme”, „John Huston” etc.

